

# "Wszyscy jesteśmy podejrzani"

## Joanna Chmielewska

- OSOBY

Wielobranżowa Pracownia Projektowa, twór nietypowy, obdarzony łonem, w którym to łonie pomieszczono, co następuje:

### I. ZESPÓŁ ARCHITEKTONICZNY

1. Witek - kierownik zespołu, a zarazem kierownik pracowni oraz dyrektor. Prywatnie - kawaler obdarzony nieprzeciętną aparycją i skomplikowanym charakterem.
2. Kazio - prawie stuprocentowy bon viveur, żonaty, dzieciaty, wyjątkowo utalentowany w dziedzinie pokonywania przeciwności życiowych.
3. Alicja - uosobienie roztargnienia, kobieta samodzielna, przepełniona poczuciem humoru i niechęcią do kierownika pracowni.
4. Ryszard - rozwiedziony szaleniec z córeczką, opętany manią wyjazdu w egzotyczne kraje.
5. Witold - rażąca plama na tle reszty, jedyny człowiek normalny.
6. Janusz -kawaler w ostatnim stadium, podrywacz, zamierzający od dnia ślubu przeistoczyć się w statecznego obywatela.
7. Wiesio - najmłodszy z zespołu, od niedawna żonaty, bezdzietny, cicha woda.
8. Leszek - melancholik, z artystyczną duszą, niezrozumiany przez otoczenie, a głównie przez żonę.
9. Marek - osobnik niezwykle urodziwy, zsyłany do pracowni przez siły nadprzyrodzone we właściwych chwilach.
10. Joanna - autorka przedstawienia, ofiara własnej wyobraźni.

II. Zespół konstrukcyjny 11. Kacper - człowiek pełen osobliwych fantazji i dziwactw, o aparycji don Kichota i sercu jak wulkan.

12. Anka - przedstawicielka współczesnej, pozytywnej młodzieży, świeżo poślubiona nie temu, komu by chciała.

III. Zespół sanitarny 13. Zbyszek - kierownik zespołu i naczelny inżynier pracowni. Prywatnie - ostatni egzemplarz błędnego rycerza, wzór cnót, kochający ojciec jedynego syna, gnębiony nielegalnym uczuciem do kobiety.

14. Stefan - awanturnik z dobrym sercem, szarpany okropną niepewnością: wstydić się wieku czy chwalić wnukiem.

15. Andrzej - porządny, solidny i pracowity młodzieniec, prawie taki wzór jak Zbyszek.

16. Tadeusz Stolarek-ofiara.

IV. ZESPÓŁ ELEKTRYCZNY 17. Włodek - kierownik zespołu, masochista i histeryk, naczelny plotkarz biura.

18. Kajtek - prywatnie syn Kacpra, młody człowiek, uprawiający ciemne interesy, przyjaciel ofiary.

V. ZESPÓŁ KOSZTORYSÓW 19. Jarek - szlachetny typ warszawskiego cwaniaka, również uprawiający ciemne interesy i również przyjaciel ofiary.

20. Danka - rozwiedziona, z dwojgiem dzieci, nieco zaniedbana przez nadmiar zmartwień swoich i cudzych, przyjaciółka Jadwigi.

VI. ADMINISTRACJA 21. Olgierd- główny księgowy, nieskazitelnie wytworny, przedwojenny starszy pan, czujący się w gąszczu finansowych komplikacji jak ryba w wodzie.

22. Matylda - prywatnie siostra Olgierda, służbowo - ideał sekretarki.

23. Monika - kierowniczką administracyjną, wdowa z dwojgiem dzieci, kobieta piękna i ognista, przedmiot uczuć Kacpra.

24. Jadwiga - ofiara ciosów życiowych i byłego męża-brutala, kochająca matka ukochanej jedynaczki, dla dziecka gotowa na wszystko.
25. Wiesia - śmiertelna nieprzyjaciółka Jadwigi, przepełniona jadem, żółcią i nienawiścią do świata nie wiadomo dlaczego.
26. Pani Glebowa - woźna, sprzątaczką i herbaciarką, uważająca nas wszystkich za dopust boży i karę za grzechy.

Spoza łona dokooptowano (wbrew protestom) osoby następujące:

1. Kapitan - przedstawiciel władz śledczych, człowiek normalny.
2. Prokurator - wybryk natury, przedstawiciel władz jak wyżej, a ponadto czynników nadprzyrodzonych.

Uroczyście i obłudnie oświadczam, że wszystkie osoby i sytuacje w niniejszym utworze są fikcją, a jakakolwiek zbieżność z rzeczywistością jest najzupełniej przypadkowa.

Jak NIE napisałam powieści Od najmłodszych, najdawniejszych lat pokutowało we mnie gorące pragnienie napisania powieści. Było tak dawne, zastarzałe, tak głęboko zakorzenione, że chyba urodziło się razem ze mną, Nie marzyłam ani o karierze gwiazdy filmowej, ani o mariażu z księciem z bajki. Nie, nic z tych rzeczy. Marzyłam o napisaniu powieści. W zamierzonych czasach wczesnego dzieciństwa miałam zamiar napisać wstrząsającą powieść o miłości. W miarę możliwości nieszczęśliwej, bo w szczęśliwej nie widziałam nic interesującego. Sama miałam wystąpić w charakterze głównej bohaterki, młodej dziewczyny cudnej urody i nieprzeciętnych zalet, obdarzonej płomiennym uczuciem przez jakiegoś bliżej mi nie znanego faceta. Facet był ognistym brunetem o czarnych, gorejących oczach i równie czarnych wąsach. Łączył mnie z nim pierwszy pocałunek w okolicznościach nieco niezwykłych: na karych koniach, w nocy, w czasie szalejącej burzy, gradobicia i wyładowań atmosferycznych, na skraju mrocznego lasu. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego to wszystko było takie atramentowo-czarne! Stopniowo, trwając nadal w zamiarze uwiecznienia nadnaturalnych uczuć, zmieniłam nieco pewne rekwizyty. Burzliwą noc zamieniłam na pogodny, księżycowy wieczór, zgoliłam facetowi wąsy i zlikwidowałam konie. Potem poczyniłam dalsze zmiany zarówno w powierzchowności, jak i w zachowaniu się dwojga głównych bohaterów, ale, pomimo najszczerzych wysiłków, poza ową scenę pierwszego pocałunku nigdy nie udało mi się wyjść. Z czasem bowiem drobny na pozór fakt wybił mnie z tematu. Miałam wówczas już pewnie ze dwanaście lat. Późnym wieczorem siedziałam w domu, przy stole, pod palącą się lampą, w towarzystwie matki i jej siostry, a mojej ciotki. Czytałam wspaniałą, krew w żyłach mrozący kryminał pod tytułem "Straszny garbus". Kryminał był tak przerażający, że wlażłam z nogami na krzesło, tkwiąc na nim w bardzo niewygodnej pozycji i usiłując zajmować jak najmniej przestrzeni. Bałam się śmiertelnie i wołałam w żadną stronę nie wysuwać kończyn, najbardziej na tajemnicze niebezpieczeństwo narażonych. Musiałam mieć zapewne błędny i wystraszony wyraz twarzy, bo ciotka, spojrzawszy na mnie raz, oderwała się od układanego pasjansa i już nie spuszczała ze mnie wzroku. Potem gestem wskazała mnie matce i powiedziała spokojnym, normalnym głosem, tak jakby mówiła o pogodzie: - O, stoi za tobą.

Wrzasnęłam okropnie i zleciałam z krzesła. Przez trzy następne doby żadna siła na świecie nie zmusiłaby mnie do wejścia do ciemnego pokoju. Oprzytomniawszy nieco i wydobywszy się spod wpływu lektury o garbusie rozmyślałam czas jakiś, aż doszłam do wniosku, że jednak zbrodnia jest elementem bardziej frapującym niż miłość, nawet nadziemską. Od tego momentu zapragnęłam napisać kryminał. Płynęły lata, czas leciał, wyszłam za męża, zakończyłam edukację, ale cokolwiek się działo, ciągle chciałam napisać powieść. Niestety, z upływem lat wyrosła we mnie przeszkoda nie do przezwyciężenia. Podły los obdarzył mnie nadmierną wyobraźnią, która utrudniała mi nie tylko ewentualną twórczość, ale także i życie. W życiu powodowała komplikacje małżeńskie. Pewnego dnia doszłam nagle do wniosku, że powinnam wzbudzić w mężu nieco zazdrości. Na żadne rzeczywiste działania nie miałam czasu, ale wyobrazić mogłam sobie wszystko, cokolwiek mi tylko strzeliło do głowy. Wyobraźnia zaczęła więc działać i zanim się zdażyłam obejrzeć, już zobaczyłam siebie przy boku szalenię przystojnego blondyna, który, wpatrzony we

mnie olśnionym spojrzeniem, czynił wysiłki, żeby mnie poderwać. Oczywiście wszelkie jego starania były już z góry skazane na niepowodzenie, bo przecież nie o romanse mi chodziło, tylko o demonstrację. Udawałam szalone nim zainteresowanie wyłącznie w tym celu, żeby mąż się wreszcie zaniepokoił. Długo to trwało, blondyn się zniecierpliwiał, mąż na powrót, tak jakby zapłonał uczuciem, więc w końcu uznałam, że czas przystąpić do sceny puszczania blondyna kantem i całą rzecz wyjaśnić. Stałam nad deską i prasowałam dziecinne koszule. Oczywiście wyobraźni widziałam wewnątrz kawiarni Krokodyl, na piętrze, sala w głębi, po schodkach. Siedziałam z blondynem przy stoliku pod ścianą i wyjaśniałam mu subtelnie, że służył tylko za narzędzie, a moje płomienne uczucia do niego były wyłącznie przemyślaną fikcją. Równocześnie wyrażałam nadzieję, że mi to wybaczy i że pozostaniemy w przyjaźni. Blondyn okazał się człowiekiem kulturalnym i na poziomie, nie wpadł przede mną w przesadną rozpacz, wybaczył i toczyliśmy konwersację w doskonałej zgodzie i znakomitym humorze. Zamierzałam sobie dalej wyobrazić, jak mąż, szalejący z rozpacz i odrodzonego uczucia, robi mi piekielną awanturę, jak mu padam w ramiona, jak wszystko się wyjaśnia i w idealnej harmonii gramy z blondynem w brydża. Czwartym mógł być byle kto. Tymczasem w trakcie rozmowy z blondynem patrzyłam na wejście i nagle, ujrzałam, jak w tym wejściu staje mój mąż w towarzystwie szalonej blondynki... Zdenerwowało mnie to nieco, bo tej sceny nie miałam w programie. Sięgnęłam po następną dziecinną koszulę i cofnęłam się do początków wyjaśnień z blondynem. Dojechałam do tego samego momentu konwersacji, spojrzałam na wejście i znów ujrzałam męża z szaloną blondynką. Postanowiłam nie walczyć z obrazem, tylko patrzeć, co będzie dalej. Mąż z blondynką weszli i usiedli przy stoliku, mąż w lansadach, blondynka godna i królewska. Zaniedbałam mojego blondyna i przyglądałam się im w milczeniu. Mąż wstał i poszedł do bufetu. Podniosłam się, podeszłam do blondynki, usiadłam obok i spytałam: - Bardzo panią przepraszam, co pani łączy z tym panem, który pani towarzyszy? Blondynka spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem. - To mój mąż - odpowiedziała spokojnie. Nie wierzyłam własnym uszom. Niesłychanie zdumiona obejrzałam się na faceta przy bufecie. Nie, no mój własny mąż, jak byk!

- Przecież ten pan jest żonaty! - zawołałam ze zgrozą.

- Ach, proszę pani - odparła blondynka pobłażliwie. - Cóż znaczą papierki wobec uczucia... To było już zbyt wstrząsające! Nie wiem, co uczyniłabym za chwilę w Krokodylu, gdyby nie to, że pod żelazkiem z sykiem roztopił mi się guzik z masy plastycznej. Gwałtownie oderwana od męża z blondynką, wyprowadzona z równowagi, podniosłam żelazko i przez chwilę nie wiedziałam, co z nim zrobić. Usiłowałam je postawić na maselnicy, potem je umieściłam na filiżance z wodą do moczenia koszul, i wreszcie oprzytomniałam, kiedy zleciało z hukiem na podłogę. Obraz blondynki był tak natrętny, że nie mogłam się go pozbyć i przez kilka dni odnosiłam się do męża podejrzliwie i nieufnie, co w połączeniu z naprawą żelazka spowodowało przejściowe niesnaski. Miałam przyjaciółkę, a przyjaciółka miała brata. Brat z kolei miał motocykl, żonę i antytalent mechaniczny. Żona była czarującą kobietą, przy której nasi panowie wyraźnie nabierali wigoru. Jeszcze mój mąż jako tako trzymał, bo, acz piękna, była nie w jego typie, ale mąż przyjaciółki na sam widok rzeczony Danusi ogniem z-nozdrzy parował i iskry krzeszał, a możliwe, że zdarzało mu się nawet zarzeć, kiedy nikt nie słyszał. Wszystkie trzy pary miały motory i snuliśmy plany wspólnego spędzenia wędrownego urlopu. Zważywszy istotnie wyjątkowy antytalent mechaniczny brata przyjaciółki i jego doskonałe w tej dziedzinie nieróbstwo, obaj nasi mężowie już z góry zaprzysięgli się, że w razie awarii nie będą mu pomagać. Zaprzysięgali się tak już wielokrotnie w różnych okolicznościach i zawsze łamali przysięgę, robiąc za niego i warcząc, ale tym razem to miało być co innego.

- Ty sobie to wyobrażasz? - mówił marząco mąż przyjaciółki do mojego: - Tadeusz robi dętkę, a my nic! Tadeusz koło odkręca, oponę zdejmuję, a my sobie na trawce, w rowie... Masz pojęcie? - Pompuje... - dodawał mój mąż równie marząco.

- A my nic!... Jadąc trolejbusem i patrząc przez okno na zalaną słońcem ulicę, ujrzałam nagle doskonale mi znany widok: długa, szara szosa, drzewa po obu stronach, z boku szosy stoją trzy motory... Przy jednym z nich opływający potem nieszczęsny Tadeusz szarpie się z opornym kołem. Na zboczu zielonego, trawiastego rowu dwaj nasi mężowie promienni, tryskający humorem, szarmancko

obskakują roześmianą Danusię. Istna sielanka! A my obie z przyjaciółką na uboczu, opuszczone, zapomniane, samotne... Sugestywny obraz zasłonił mi cały świat. Weszłam w rolę? Z niesmakiem przyjrzałam się rozflirtowanej grupie w rowie, a potem rzuciłam okiem na przyjaciółkę. Patrzyła również na nich, a na obliczu jej widniała ponura wściekłość. Uznałam, że przepełniają nas jednakowe uczucia, wobec czego mogę oczekiwać od niej pełnego zrozumienia. Traciłam ją w łokieć i gestem wskazałam nasz motor, stojący z kluczykiem w stacyjce. Przyjaciółka bez słowa kiwnęła głową, w oczach jej zapłonął mściwy blask. Podeszliśmy do motoru, zepchnęłam go z podnóżka i kopnęłam rozrusznik. Zapalił natychmiast, co mogło się zdarzyć tylko w mojej fantazji, bo w rzeczywistości był wyjątkowo oporny w zapalaniu, ale nie miałam teraz czasu uwzględniać głupich fanaberii pojazdu mechanicznego. Zanim promienne towarzystwo w rowie zdążyło zwrócić na nas uwagę i zareagować, już silnik ryknął, już przyjaciółka siedziała za mną i wspaniałym zrywem ruszyliśmy w siną dal. Ze złości leciałam stową i nie było mowy o tym, żeby nas mogli dogonić, zresztą istotnie nasz motor ciągnął najwięcej, ze wszystkich. Po pewnym czasie dojechałyśmy do PTTK-u, w którym już uprzednio mieliśmy zamiar się zatrzymać. Ilości przejechanych kilometrów bliżej nie sprecyzowałam, jak również czasu jazdy, zważywszy, że i tak nie wiadomo było, kiedy Tadeusz skończy robić koło. Zadovolone z przedsięwzięcia, usatysfakcjonowane, zostawiłyśmy motor, zjadłyśmy obiad i czekałyśmy na pogębionych panów i władców, siedząc na schodkach budynku i obserwując widoczną w dali szosę. Wyraźnie widziałam przed sobą sznur rosnących wzdłuż szosy drzew, bliżej krzewy, które zasłaniały zakręt i jeszcze bliżej znów szosę. Usłyszałam warkot motorów. Zbliżał się, narastał i nagle zza krzewów, zza zakrętu wypadły dwa znajome motocykle. Na jednym jechał mąż przyjaciółki z jej bratem, a na drugim... mój mąż z Danusią!!! No nie, tego widzieć nie miałam zamiaru. Oni powinni byli przyjechać we właściwym zestawie, skruszeni, zaniepokojeni, zażenowani swoim poprzednim, najzupełniej idiotycznym zachowaniem... A nie tak! Wróciłam do punktu wyjścia. Znów siedziałyśmy w oczekiwaniu, znów usłyszałam w dali warkot. Zza zakrętu wyleciały dwa motory i znów to samo: mój mąż z Danusią! Szlag mnie trafił. Opanowana sugestywnym obrazem zerwałam się z miejsca i popędziłam do motoru.

- Jedziesz?! - krzyknęłam z furją do przyjaciółki.

Przyjaciółka solidarnie popędziła za mną. Nieprzytomna z wściekłości ruszyłam w dalszą drogę. Dalej nastąpiły przedziwne komplikacje. Ponieważ od początku nie przewidziałam zabrania ze sobą plecaka, już go nie zdołałam umieścić w polu widzenia i byłyśmy pozbawione podstawowych rzeczy. Na dobitek nie sposób było ustalić miejsca ponownego spotkania, bo zbyt głęboko tkwiło we mnie przekonanie, że nasi mężowie są pozbawieni zdrowego rozsądku i nie potrafią nas znaleźć. Miałyśmy ich szukać? Wykluczone, ostatnia hańba! Nie, nie mogę pozwolić na takie zamieszanie tylko dla tego, że temu bałwanowi spodobało się jechać z Danusią, muszę temu wreszcie przeszkodzić! Z uporem wróciłam po raz trzeci do tej samej sceny. Bezskutecznie! Po raz czwarty, piąty, szósty... Za każdym razem zza krzewów wypadała na motorze Danusia za moim mężem! Ile się namęczyłam, żeby ją z tego motoru zrzucić, to przechodzi ludzkie pojęcie! Niestety, wyobraźnia była silniejsza ode mnie. Wsiadłam z trolejbusu nieprzytomna z wściekłości, o dwa przystanki za daleko i tego samego dnia wieczorem zrobiłam mężowi bez żadnego powodu okropną awanturę. Moje szczęście małżeńskie było wyraźnie zagrożone. Ta sama historia powtarzała się w powieściach. O moich bohaterach nie myślałam, widziałam ich. Widziałam, jak chodzą, siedzą, robią różne rzeczy, całkowicie niezależnie ode mnie. Żyli własnym życiem, a ja mogłam im się tylko przyglądać. Pół biedy było, kiedy ich poczynania miały jakiś sens. Niestety, to byli ludzie nieobliczalni i pełni głupich pomysłów!... We wspaniałym kryminale, którego akcja zaczęła się toczyć przed moimi oczami, następowała kluczowa scena, w której bohaterowie w liczbie czterech siedzą w pokoju i toczą rozmowę, wyjaśniającą zasadnicze zagadnienia powieści. Najważniejszy osobnik, młody, przystojny blondyn (znów blondyn! Co jest, swoją drogą, z tymi blondynami!) ma się włączyć w dyskusję w dramatycznym momencie, kiedy wszystko się gmatwa i nikt nic nie rozumie, powodując przez to wystrzałowe rozwiązanie. Z zainteresowaniem patrzyłam, jak siedzą i rozmawiają, zdenerwowani, przejęci, pełni niepokoju. Wreszcie milkną, zdezorientowani, i spoglądają na blondyna. Ja też spojrzełam na

blondyna. Blondyn podniósł głowę, uśmiechnął się i zamiast zabrać głos, wstał z krzesła i wyszedł. Najzwyczajniej w świecie podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł. Nie, no, idiota! Gdzie go diabli niosą? Miał mówić rewelacyjne rzeczy, a tymczasem wychodzi! Co za kretyńskie pomysły! Zmęczyłam się okropnie, wracając w nieskończoność do tego samego momentu bez wpływu na poczynania blondyna. Za każdym razem zamiast udzielać wyjaśnień podnosił się i wychodził. Wreszcie machnęłam ręką na zaplanowaną akcję i postanowiłam patrzeć, co zrobi dalej. Może ma na myśli coś, co mnie do głowy nie przyszło? Blondyn szedł korytarzem. Zbliżył się do drzwi, zaopatrzonych napisem: WC męski, i wszedł do środka. No nie! Tego już za wiele! Istotnie, to mi nie przyszło do głowy!... Zniechęcona i rozgoryczona zmieniałam nieco temat. Przetawiałam się na nielegalny i zakonspirowany romans. Wyobraźnia miała największe pole do działania przy bezmyślnych zajęciach gospodarskich, więc tym razem trafiło mnie przy praniu. Zamiast mydlin kłębiących się w pralce ujrzałam miejsce akcji, a mianowicie piękny, piętrowy budynek, były pałac, obecnie zamieniony na siedzibę jakiejś państwowej instytucji. Dookoła budynku stary, zapuszczony park, wysokie drzewa, alejki, częściowo porośnięta trawą, zrujnowane ogrodzenie, za nim pola, łąki i lasy. W budynku mieszkała grupa ludzi, wydelegowana w te okolice przez macierzystą instytucję w celu spełnienia jakiegosbardzo ważnego zadania. Rodzaj pracy tych państwa na razie mnie nie interesował. Pośród innych osób była tam pewna pani i pewien pan, płonący ku sobie nawzajem niedwuznacznymi uczuciami. Pani miała męża, a pan żonę, przy czym obie te drugie połowy również były na miejscu obecne. Chwilowo dodawało to obrazowi miłej pikanterii, ale gdybym wiedziała, jakie komplikacje przyniesie mi później stan cywilny tych państwa, bez wątpienia starałabym się usilnie jakoś go zmienić. Za lasem, na samym skraju ujrzałam starą stodołę, spróchniałą, nie używaną i chylącą się ku upadkowi. W stodole leżało nieco siana, a na środku, między sąsiedkami, stała bardzo stara, połamana, zardzewiała sprężynówka. Ta właśnie stodoła miała być miejscem spotkania nielegalnie romansujących. Przez spotkanie przebrnęłam szczęśliwie, z powodzeniem przełamując takie trudności, jak niezbędne usunięcie z pola widzenia dwojga kantowanych małżonków oraz przedostanie się do stodoły zainteresowanych bohaterów bez świadków. Komplikacje zaczęły się po powrocie z czarującej randki. Otóż razem z powracającą panią na werandzie pałacu z niepokojem ujrzałam mundury milicji obywatelskiej. Od razu mi się to nie podobało, ale zaryzykowałam i przez chwilę pozwoliłam działać władzy ludowej a potem było już za późno. Morderstwo, popełnione w czasie nieobecności tych państwa, stało się faktem nieodwracalnym. Oczywiście dwoje głównych bohaterów nie miało alibi, bo przecież usilnie się starali, żeby ich nikt nie widział, nie dość na tym, nie mogli się nawet przyznać do przebywania w swoim towarzystwie, bo małżonkowie słuchali. A ci państwo wcale nie zamierzali się ujawniać i powodować jakichś potężnych zaburzeń matrymonialnych, bo obie pary miały dzieci, małżeństwa były bardzo zgodne i świetnie dobrane i tylko chcieli sobie trochę spokojnie poromansować. Wbrew trudnościom akcja toczyła mi się nadszpedzanie dobrze, nawet wizyta pani w stodole miała się przyczynić do wykrycia przestępcy i nagle nastąpiła katastrofa. Pani weszła do pokoju, zajmowanego wraz z mężem, i spojrzenie jej padło na stół. Na stole leżał list. Zwyczajny list w niebieskiej kopercie ze znaczkiem za 15 złotych. Pani się tym nie przejęła, ale mnie włosy stanęły dęba na głowie, bo znałam treść listu. To był anonim, który całą moją akcję rozsypał w gruzy. Do końca prania usiłowałam ten anonim zlikwidować. Chciałam go wrzucić do ognia, dać myszom na pożarcie, wszelkimi siłami starałam się sprowadzić burzę i ulewę, która by go dokładnie rozmoczyła, wszystko na próżno. List leżał niewzruszenie jak sfinks na pustyni. Przez ten przeklęty list wszystko się pomieszało. Pani już nie mogła współdziałać w wykrywaniu mordercy, znalezione na starej sprężynowce odciski palców świadczyły na niekorzyść głównych bohaterów pod każdym względem, zakochana para przestała być zakochana i zaczęła się kłócić, aż wreszcie w tym całym zamieszaniu zginął mi gdzieś nieboszczyk. W takiej sytuacji byłam zmuszona zaniechać kontynuowania tej niesłychanie skomplikowanej powieści. Po pewnym czasie podjęłam jeszcze jedną próbę. Tym razem miało to być dzieło sensacyjno-obyczajowe. Na samym początku główny bohater, młody lekarz, obarczony żoną i potomkiem płci męskiej zamierzał wyjechać na urlop nad morze, gdzie właśnie miała się toczyć wspomniana

sensacyjna akcja. Oczywiście, z uwagi na rodzinę, był zmuszony jechać sleepingiem i to mnie zgubiło. Kupowanie biletów sypialnych w okresie letnim jest czynnością trudną i skomplikowaną. Młody lekarz udał się pod Orbis w celu zajęcia miejsca w ogonku już poprzedniego dnia wieczorem i tym razem nawaliło mi całe odporne społeczeństwo. Pod Orbisem nie było nikogo, co w równym stopniu zaskoczyło mnie, jak i młodego lekarza. Po godzinie denerwowania się nietypową sytuacją z ulgą ujrzeliśmy, on i ja, zbliżającego się starszego pana z parasolem. Pan z parasolem robił wrażenie człowieka, dla którego stanie w ogonku po bilety sypialne jest chlebem powszednim. Zbliżył się do młodego lekarza, który na jego widok pełen nadziei zerwał się z parapetu "orbisowskiego" okna. Obaj panowie zamienili ze sobą kilka zdań, przy czym pan z parasolem wyraziwszy zdziwienie i oburzenie, że młody lekarz przebywa tu sam i nie dysponuje uprzednio sporządzoną listą amatorów na bilety, zastygł w zamyśleniu. Młody lekarz, z wyrazem nadziei i ożywienia na twarzy, również zastygł w oczekiwaniu na inicjatywę starszego pana. Tak mi obaj zastygli, stojąc naprzeciwko siebie w piękny, letni wieczór, przed wejściem do Orbisu na ulicy Brackiej i chyba do dziś tam stoją. Ilekroć o tej scenie pomyślę, zawsze ich tak widzę. Stoją i ani drgną, nie zmieniając wyrazu twarzy. I jak ja mogłam w tych warunkach napisać powieść?!...

Postawiłam ostatni znak zapytania. Posiedziałam jeszcze chwilę nad maszyną, smutnie rozmyślając o swoich literackich niepowodzeniach, a potem zgasiłam papierosa, wstałam i poszłam do łazienki. Puściłam wodę do wanny i odwróciłam się. Na wieszaku wisiał mój pasek od służbowego fartucha. Niebieski, świeżo uprany i uprasowany. I nagle, bez żadnego mojego udziału, wbrew wszelkim życzeniom, ujrzałam ten pasek okręcony wokół szyi nieżyjącego, uduszonego człowieka... Jezus, Mario, znów to samo! Natrętny obraz przed oczami, którego nie mogę się w żaden sposób pozbyć! Nauczona latami smutnych doświadczeń, nie usiłowałam nawet walczyć z wyobraźnią. Podałam się od razu i przyglądając się uważnie makabrycznej scenie starałam się dojrzeć ofiarę. Kto to jest? Ach, już widzę! Jeden z moich współpracowników, instalator sanitarny, Tadeusz Stolarek! Dlaczego akurat Stolarek? Zdziwiłam się nieco, bo Tadeusz nic mi nie zawinił i nie miałam żadnego powodu życzyć, mu czegoś podobnego, ale z zaciekawieniem patrzyłam dalej. Przez chwilę usiłowałam przeciwstawić się przekłętej wyobraźni i ujrzeć na jego miejscu kogoś innego, ale szybko z tego zrezygnowałam. Wyobraźnia, jak zwykle, zwyciężyła. Siedząc w wannie przyglądałam się już bez oporów obrazom, pojawiającym się na tle piecyka kąpielowego. A- więc Tadeusz zamordowany. Uduszony paskiem od damskiego fartucha. Dokoła cały personel pracowni, przerażony, zdumiony, zdenerwowany... Porucznik milicji, oparty o stół naszej sekretarki, która stanowczo zaprzecza, jakoby w ciągu ostatniej godziny ktokolwiek opuszczał biuro... Nikogo obcego, sami swoi... Wszyscy jesteście podejrzani! Dobrze, niech będzie, ale kto jest mordercą? Nie ja, bo nie widziałam siebie, duszącej Stolarka, a poza tym pasek nie jest mój. Mój wisi tu, na wieszaku. Ktoś inny, tylko kto? Kto????!!! W tym miejscu wyobraźnia zawiodła. Nie pokazała mordercy, a ponieważ wszystko odbywało się bez mojego udziału, nie potrafiłam go wymyślić. Poszłam spać, zaintrygowana, a następnego dnia, w biurze, od rana przystąpiłam do rozstrzygnięcia kwestii. - Wiesiu - powiedziałam tajemniczo. - Posłuchaj, coś ci powiem. Wiesio jadł śniadanie. Odwrócił się natychmiast, patrząc na mnie z żywym zaciekawieniem. - W sali konferencyjnej stał stół, krzesła i telefon... W oczach Wiesia pojawiło się zdumienie. Umieblowanie sali konferencyjnej było mu doskonale znane i pewnie pomyślał, że zwariowałam, skoro mu o tym tak tajemniczo opowiadam. Nie zrażona ciągnęłam dalej: - I tam, w tej sali konferencyjnej, znaleziono zwłoki Tadeusza Stolarka, uduszonego paskiem od damskiego fartucha. Kto znalazł, jeszcze nie wiem. I wyobraź sobie, Matylda zaświadczyła, że nikt w tym czasie nie wchodził ani nie wychodził z pracowni, to znaczy, że ukatrupił go ktoś z nas! Wiesio zastygł z chlebem w ręku i z osłupiałym wyrazem twarzy. Nagle wydał z siebie dziwny dźwięk, który mnie przestraszył, bo nie wzięłam przedtem pod uwagę tego, że on je i może się udławić, słuchając mojej wstrząsającej relacji. - Popij herbatą - poradziłam z niepokojem. Wiesio gwałtownie chwycił szklanke, popił i znów wpatrzył się we mnie. - Kiedy?!...

- Co kiedy?  
- Kiedy to było?!...  
- Nigdy! Ja ci opowiadam kryminalną powieść!  
- Ach! - powiedział Wiesio z ulgą. - Rozumiem. No i co?  
- No i nie wiem, kto był mordercą. Wiem, dlaczego go udusił, ale nie wiem, kto.  
W tym momencie wszedł do pokoju Janusz. - Janusz, w sali konferencyjnej leżą zwłoki uduszonego Stolarka - powiedział Wiesio. - Nie wiesz, kto go udusił?  
Janusz zatrzymał się na środku, jak rażony piorunem.  
- Co?!  
- Kto udusił Stolarka? - powtórzył Wiesio.  
- Paskiem od damskiego fartucha - dodałam. Janusz odwrócił się i patrzył na nas oszołomiony i zdumiony. - Czyście zwariowali? Kto udusił Stolarka? Gdzie?! Kiedy?!  
- Powieść tworzę - wyjaśniłam. - Mam ofiarę i motyw, nie mam mordercy. Musi być ktoś z personelu, zastanów się, kogo można zrobić? Janusz narysował wymowne kółko palcem na czole, ale temat go zainteresował. Zapalił papierosa i zaczął się zastanawiać. - A dlaczego go udusił? - spytał ciekawie.  
- Bo on coś wiedział. Posłuchajcie, jak było. Tadeusz wydawał okrzyki w pokoju: "Cha, cha, ja coś wiem! Nie macie pojęcia, co mi się przytrafiło!" i tak dalej. Drzwi do przedpokoju były otwarte. I za chwilę był do niego telefon, Tadeusz powiedział "dobrze" i wyszedł. - Wywołał go do sali konferencyjnej? I tam go załatwił?  
- Właśnie! Kto?  
- Łysy z kontroli - oświadczył Janusz stanowczo.  
- Zwariowałaś? Dlaczego?  
- Wyszło mu, że Tadeusz zarobił dwanaście patyków, a sam zarabia dwa. I przez zazdrość go udusił, taki charakter... - Wykluczone, Tadeusz ma metr osiemdziesiąt, łysy nie sięgnie! Może Włodek? - Dlaczego Włodek? - zdziwił się Wiesio.  
- Bo Włodek ma żonę i dzieci. Tadeusz był świadkiem jego nierządnych czynów i mógł to powiedzieć żonie, żona zażądała rozwodu z jego winy i odebrała mu dzieci. Wpadł w panikę i popełnił morderstwo. - Może być - pochwalił Wiesio. - A może Witek?  
- Witek? Dlaczego nie? Jako kierownik pracowni popełnił różne machlojki i bał się kompromitacji. Mógłby być Witek... - Zbyszek! - zawołał nagle Janusz. - Zabił go za to, że przyjął od ciebie podkłady, nie podpisane przez głównego inżyniera. On jest ostatnio taki nerwowo... - Nie wygłupiaj się! Nieboszczyk w sali konferencyjnej, a ty sobie dowcipy robisz. - A może ty sama? - spytał Wiesio nieufnie.  
- Nie, ja mam alibi. Tadeusz był tu żywy i zapalał mi papierosa. Potem wyszedł i kojfnął, a ja się przez ten czas nie ruszyłam z miejsca, o czym wy wszyscy trzej zaświadczyście. Leszek też będzie obecny... - Żadne takie - powiedział Janusz ostrzegawczo. - Nic za ciebie nie zaświadczam. Nie zmusisz mnie do tego! "- Za to wy nie macie alibi - ciągnęłam dalej z satysfakcją. - Każdy z was kolejno na chwilę wychodził. Zamyśliliśmy się głęboko. - Musi być facet? - spytał Janusz. - Nie może być kobieta? Matylda go zadusiła, bo się nie chciał wpisywać do książki spóźnień. - Jadwiga! - krzyknął Wiesio triumfalnie.  
- Jadwiga! - ucieszyłam się. - Ona chce wytoczyć sprawę sądową o siedemdziesiąt tysięcy złotych. Zrobiła coś, o czym Tadeusz wiedział, co jej uniemożliwi wygranę. Ona chce wyjść za mąż za jednego faceta, a bez siedemdziesięciu tysięcy on się z nią nie ożeni. Wpadła w szal i udusiła Tadeusza. Obydwaj odnieśli się do tego z uznaniem. Po chwili znów zaczęliśmy mieć wątpliwości. Siedzieliśmy już przy robocie, na szczęście akurat mało absorbującej umysłowo, tak że zajęte mieliśmy ręce, a myśl była swobodna. - A nie mogła go zabić Alicja? - spytał Wiesio z wahaniem. - Wykluczone, Alicja jest mi potrzebna w śledztwie. Ona jest roztargniona, co znakomicie urozmaici akcję. Ale jest najmniej podejrzana - oświadczył Janusz. - Mordercą powinien być najmniej podejrzany. Zaraz ci powiem: nasza herbaciarka! - O Boże, dlaczego?  
- Odmówił picia herbaty w musztardówce... - Wiesio zaczął nagle chichotać. - Czego się śmiejesz? - spytałam z niesmakiem. - Ja tu rozstrzygam poważny problem, a ty głośno chichoczesz. - Włodek go udusił kiszka pasztetowa!...

- Co? Jakim sposobem? Chyba flakiem po kiszce pasztetowej. Całej kiszki się dookoła szyi nie okręci! - Nie, nie na szyi. Wpychał mu ją do gęby...  
- Ach, to nie kiszkę! Jajko na twardo albo biały ser, to najlepiej zatyka. - Tadeusza dzisiaj nie ma - powiedział Janusz. - Najśmieszniej by było, gdyby go tak kto faktycznie udusił, tobyś dopiero ładnie wyglądała. Pierwsza podejrzana! Zaniepokoiłam się.

- Jak to nie ma? A gdzie jest?

- Nie wiadomo.

Wiesio wziął kawał papieru, napisał na nim nieforemnymi kulfonami: "Kto udusił Stolarka?! Niech się natychmiast przyzna!" i powiesił to na tablicy ogłoszeń. Obok tablicy ogłoszeń przechodzi mnóstwo osób. W ciągu kwadransa zbrodnią zainteresował się cały personel, zdezorientowany i zaniepokojony faktem nieobecności Tadeusza. Odwiedzali nas kolejno, dopytując się o znaczenie tajemniczej wiadomości. Nie ukrywaliśmy niczego, z nadzieją, że wreszcie ktoś z nich odkryje mordercę. - Ja nie mam alibi! - wykrzyknęła Alicja z radością. - Mój fartuch jest w domu, bo go wzięłam do prania razem z paskiem!

- No to co? Musiał go udusić akurat twoim fartuchem? A poza tym jak jest w domu, to właśnie masz alibi. Nie wygłupiaj się, nie psuj mi akcji, mówiłam ci, że jesteś mi potrzebna do czego innego. Jadwiga gwałtownie zaprotestowała, kategorycznie domagając się usunięcia jej kandydatury, co natychmiast wzmogło dotyczące jej podejrzenia. Reszta bez oporów zgodziła się wziąć udział w akcji. Kierownika pracowni przezornie nie pytaliśmy o zdanie. Wiesio, po

przedyskutowaniu zagadnienia, powiesił na tablicy drugą kartkę: "Jak wykazują pierwsze wyniki śledztwa, Stolarka prawdopodobnie udusił kolega Włodek, wtykając mu do gardła dwa jajka na twardo i w skorupkach". Obie kartki spokojnie wisiały. Zajęci pracą sporadycznie rzucaliśmy różne przypuszczenia. - Ja bym się upierał, że go udusił Kajtek - oznajmił Wiesio w zamyśleniu. - Pożyczył od niego jakąś oszalałającą sumę pieniędzy i chciał uniknąć oddania. - Bez sensu. Tadeusz mu ostatnio coś żyrował. Kto zabija własnego żyranta? - Może i bez sensu, ale mnie się to najbardziej podoba. ( Nagle doznałam olśnienia. - Wiem! - krzyknęłam. - Wiem, kto jest mordercą!

- No? kto?!

- Nie powiem. Myślcie sobie sami. Ja wiem i nie powiem.

- Oooo... - powiedział nagle Wiesio i zastygł ze spojrzeniem utkwionym w drzwi. Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy w tym samym kierunku. W drzwiach stała ofiara morderstwa z doskonale ogłupiałym wyrazem twarzy. - Co to ma znaczyć? Kto mnie udusił, dlaczego jajkami? Czy tu już cały personel zwariował? - Panie Tadeuszu, przyznaj się pan! - wykrzyknął Janusz. - Co pan takiego wie, że pana za to ukatrupią? Tadeusz osłupiał jeszcze bardziej. - Ktoś tu ma kota - oświadczył z głębokim przekonaniem. - Albo powiecie, o co chodzi, albo was do sądu zaskarżę. Uradowani wywołanym wrażeniem wytłumaczyliśmy mu wszystko. Tadeusz słuchał z wyraźnym niesmakiem, a potem stanowczo zażądał, żebym mu wyjawiała nazwisko mordercy. - A figę z makiem - powiedziałam. - Domyślajcie się sami. Pan najlepiej wie, kto panu tak źle życzy. Za Tadeuszem wszedł Zbyszek, kierownik zespołu instalacji sanitarnych, a równocześnie nasz naczelny inżynier. - Niech pan popatrzy - powiedział Tadeusz z goryczą. - Co oni ze mnie robią.

Nieboszczyka. - Niech pan nic nie mówi, panie Zbyszku, pan jest też podejrzany!

- Gdyby to o panią chodziło, byłbym pierwszym podejrzany - oświadczył Zbyszek, patrząc na mnie - z odrazą. - Z przyjemnością udusiłbym panią czymkolwiek. - To następnym razem, teraz ofiarą jest Tadeusz! Pełni obrzydzenia i przekonani o naszym fijoie opuścili pokój. Wrócił z miasta Leszek i też zabrał się do pracy. Wyobraźnia, zaspokojona znalezieniem mordercy, dała mi na chwilę spokój. Nie zwracałam uwagi na otoczenie, zajęta skomplikowanymi skarpami. - Nie macie czasem Dziennika-Ustaw z ochroną przeciwpożarową? - spytał nagle Janusz - Zdaje się, że Kazio miał - odparłam. - Brał wszystkie Dzienniki. Jeżeli ich nie ma w sali konferencyjnej, to znaczy, że je zabrał do domu...

Janusz z westchnieniem wstał i wyszedł. Przez chwilę była cisza i nagle drzwi za mną gwałtownie trzasnęły. Odwróciłam się.

Janusz stał, śmiertelnie blady, oparty o futrynę i patrzył na mnie bez słowa.

Wyglądał tak, jakby go ktoś przed chwilą zaprawił czymś ciężkim w ciemność.

Poczułam, jak mi się robi zimno w środku, i też patrzyłam na niego w milczeniu.



Tamci dwaj, zaniepokojeni dziwną sceną, poszli za moim przykładem. - Co ci jest?  
- spytał Wiesio. - Słabo ci?  
- Słuchajcie - powiedział Janusz nieswoim głosem.  
-Słuchajcie...  
- No słuchamy! Co się stało?  
- W sali konferencyjnej leży Tadeusz...  
Zamurowało nas. Czyżby Janusz zwariował? Teraz on zaczyna miewać natrętne halucynacje? Czy się może wygłupia?... - Wygłupiasz się? - spytał Wiesio z nadzieją w głosie. Janusz stał nieporuszony, ciągle przyglądając mi się dziwnym wzrokiem.  
- Idźcie - powiedział powoli. - Zobaczcie... Oderwał się od futryny, podszedł do stołu, usiadł i oparł głowę na rękach. Spojrzeliśmy na siebie, a potem zerwaliśmy się z miejsc i runęliśmy wszyscy troje równocześnie do sali konferencyjnej. Na podłodze, pomiędzy stołem a oknem, leżał Tadeusz Stolarek z zaciśniętym na szyi niebieskim paskiem od damskiego fartucha. Leżał twarzą do góry i szklistym, nieruchomym wzrokiem patrzył w sufit... Jak długo trwaliśmy tak we troje, upchnięci w ciasnym wejściu do sali konferencyjnej, osłupiałym wzrokiem wpatrzeni w autentyczne zwłoki Tadeusza - nie wiem. Tamci dwaj też nie wiedzieli. Po jakimś czasie ten zbiorowy słup soli zwrócił wreszcie na siebie uwagę Wiesi i Jadwigi, które siedziały przy swoich stołach w korytarzyku, służącym jako pokój administracji, i przyglądały się nam z zainteresowaniem. Wiesia pierwsza nie wytrzymała. - Co oni tam zobaczyli? - spytała z odcieniem pretensji w głosie. Podniosła się, rozsunęła nas i zajrzała do sali. Przez krótką chwilę również stała nieruchomo, a potem nagle zareagowała. Głos, który wydała z siebie, wahałabym się nazwać ludzkim. Ze straszliwym rykiem, od którego budynek zatrzęsł się w posadach, zawróciła i runęła w kierunku drzwi wejściowych, do pokoju Matyldy. Kilka następnych chwil dało nam jasny obraz tego, co się będzie działo, gdy rozlegną się trąby na Sąd Ostateczny. Najbliżej ze wszystkich miała Jadwiga i ona też pierwsza wpadła do sali konferencyjnej. Pomiędzy nią a resztą pracowników zaistniała krótka przerwa w czasie, wynikała z tego, że wszyscy najpierw podążyli w kierunku źródła hałasu, to znaczy Wiesi. Tę przerwę Jadwiga wykorzystała na wykonanie kilku nieco dziwnych czynności. Krzyknąć, owszem, krzyknęła, acz mniej przeraźliwie niż Wiesia, następnie uczyniła kilka wahaniec do przodu i do tyłu, przytupując przy tym w miejscu, co sprawiło wrażenie oryginalnego tańca, zupełnie w tych okolicznościach niestosownego. Wreszcie zdecydowała się na większe waniecie ku przodowi i padła na kolana przy zwłokach Tadeusza. To z kolei wyglądało na wybuch nieopanowanej rozpacz, której logicznym następstwem powinno być pokrycie nieboszczyka szaleńczymi pocałunkami. Jadwiga jednak nie miała w planie pocałunków, natomiast okazało się, że chciała mu zbadać puls. U Tadeusza nie było już co badać, więc wstała i spojrzała na nas błędnym wzrokiem... - Pogotowie!... - krzyknęła rozdzierająco.  
- Milicja... - odezwał się Wiesio koło mnie zdławionym głosem. W tym momencie skończyła się ta krótka chwila przerwy. Dostaliśmy dubla z tyłu i rozpoczął się sądny dzień. Personel runął doszturmu na nieszczęsną salę konferencyjną, bo nikt oczywiście nie wierzył krzykom Wiesi i każdy chciał zobaczyć zwłoki na własne oczy. W chwilę potem przestawali wierzyć także własnym oczom. i Wepchnięty przemocą do środka Leszek wyrwał Jadwidze z ręki słuchawkę telefonu z okrzykiem: - Milicja! Jaki jest numer milicji?!  
- Pogotowie! - krzyknęła Jadwiga i na powrót wyrwała mu słuchawkę. - Człowieka ratować! - Co pani chce ratować? Nie widzi pani, że sztywny?!  
-Sam pan jest sztywny! Lekarza!...  
- Głupia pani jest! Milicję!:...  
Ten ożywiony dialog toczył się przy akompaniamencie przeraźliwego hałasu. Matylda dostała spazmów pod damskim WC, a Wiesia konsekwentnie przy drzwiach wejściowych. Leszek z Jadwigą z krzykiem wydzielali sobie z rąk słuchawkę, tak jakby w całym biurze był tylko ten jeden telefon. Stefan, kolega po fachu Tadeusza, zgięty w pół opierał się tyłem o szafkę biblioteczną i bardzo głośno jęczał Coś niewyraźnego. Równie niewyraźnie wypowiadał się główny księgowy, który ze zdenerwowania zaczął się nagle strasznie jąkać i stojąc nad głową nieboszczyka wyrzucał ręce do góry, jakby się gimnastykował. Z tyłu za nami

rozległ się brzęk tłuczonych szklanek, co oznaczało, że wiadomość o nieszczęściu dotarła do naszej herbaciarki. Przez kłębiącą się gromadę przepchnęli się Witek i Zbyszek, obaj na chwilę zaniemówili, a potem Zbyszek gwałtownie zwrócił się do mnie. - To pani?... - krzyknął równocześnie z gniewem i z rozpaczą. - To pani pomyśl?!... Nic nie mówiąc nerwowo postukałam się palcem w czoło. Chwiejący się obok mnie Włodek zemdlał nagle, zwiększając zamieszanie. Zamiast go ratować wszyscy zgłupieli ostatecznie i miotali się bezmyślnie po pokoju albo zastygli w miejscu, przyglądając się na zmianę sobie i nieboszczykowi otępiałym wzrokiem. Jedną tylko Alicja była na razie nieobecna. Przebywała w damskiej umywalni, skąd wyszła, słysząc wzmagające się krzyki i zaraz pod drzwiami natknęła się na spazmującą Matyldę. Niepomniecznie zdumiona usiłowała czegoś się od niej dowiedzieć, ale Matylda wykrzykiwała tylko histerycznie: "Tam! Tam!..." i pokazywała palcem komórkę z kuchenką. Alicja przytomnie liznawszy, że z Matylda sprawa jest beznadziejna, na wszelki wypadek zajrzała do komórki, w której jako żywo nic szczególnego się nie działo i dopiero potem dotarła do sali konferencyjnej. Przepchnęła się do środka i również osłupiała. - Co to? - spytała z najwyższym zdumieniem, przenosząc wzrok z Tadeusza na Włodka. - Zwłoki, jak pani widzi - odparł nieżyczliwie Andrzej, który zaczynał już powoli przytomnieć. - Jak to?! Obydwaj?!...

- Nie, jeden. Drugi mu leży do towarzystwa.

- Dajcie trochę wody, jednego może da się ocucić - - powiedział niepewnie Kazio, stojący na środku z założonymi na brzuchu rękami i wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzy. Wciśnięty dotąd nieruchomo w kącie Wiesio nagle jakby się ocknął, z determinacją odsunął stojących mu na drodze i wylał zemdlonemu Włodkowi na głowę wodę z wazonika do kwiatków. Woda stała już długo i nieco się zaśmierdła, toteż skutek był piorunujący. Alicja przyjrzała się jeszcze uważnie Tadeuszowi i zaczęła się wydostawać z sali konferencyjnej. Z trudem wypchnęłam się za nią. - Niesamowite - powiedziała po krótkiej chwili milczenia, zapalając w swoim pokoju papierosa. - Co ty na to? Wielki Boże, a cóż ja mogłam na to?! Tak samo jak inni byłam skłonna nie wierzyć własnym oczom i uznać raczej, że wszyscy ze mną na czele zwariowali, niż że Tadeusz istotnie nie żyje. Mnóstwo razy słyszałam o takich wypadkach zbiorowej hipnozy. W tym stanie niedowierzania oczywistym faktom jedyne, co mi się wyraźnie tłukło po głowie, to myśl, że trzeba być ostatnią świnią, żeby go udusić rzeczywiście paskiem od fartucha, dokładnie tak, jak to przedtem przepowiadałam. Pierwszy raz w życiu moja wyobraźnia okazała się zgodna z rzeczywistością i nie bardzo wiedziałam, co mam z tym fantem zrobić. Tadeusz Stolarek nie żyje... Tadeusz naprawdę nie żyje, a ja to przedtem wymyśliłam... Wymyśliłam? Czy spowodowałam?... - Słuchaj - powiedziałam z rozpaczą - czy jesteś pewna, że to prawda? Czy może ja mam nadal idiotyczne halucynacje? Tadeusz tam rzeczywiście leży? Uduszony paskiem od cholernego fartucha?

- Tadeusz tam rzeczywiście leży, uduszony paskiem od cholernego fartucha - powtórzyła Alicja stanowczo. - Trudno przypuszczać, że tyle osób naraz cierpi na halucynacje. Oprzytomniejiesz sama, czy mam ci dać w mordę? - Daj lepiej papierosa...

- Mam wrażenie, że trzeba chyba gdzieś zadzwonić? Na milicję albo coś w tym rodzaju...

Bezpośredni telefon był w pokoju Matyldy. W korytarzu panowała nadal Sodomą i Gomorą, bo dopiero teraz do akcji włączył się Ryszard, domagając się kategorycznie, żeby Stolarkowi zastosować sztuczne oddychanie. Ryszard w normalnych warunkach mówił głosem, który słychać było piętro wyżej i piętro niżej, tym razem ze zdenerwowania zwiększył jeszcze natężenie, reszta usiłowała go przekrzyczeć, tłumacząc, że niczego nie należy ruszać, a już zwłaszcza nieboszczyka, i w rezultacie panował hałas, którego nie powstydzilyby się trąby pod murami Jerycha. Alicja rozmawiając z milicją też wrzeszczała, niepomna na to, że hałas panuje tu, a nie tam. Wiesia, ciągle skulona pode drzwiami, wydała z siebie dźwięki nieco już cichsze, ale za to bardzo przenikliwe. Trzymałam się Alicji, bo jej obecność wyraźnie dodawała mi otuchy. W środkowym pokoju było kilka osób, które już dokonały oględzin miejsca zbrodni. Zbyszek czule i troskliwie wprowadził Stefana, gnącego się jak nadłamana lilia i nadal jęczącego, teraz już znacznie wyraźniej i nader dziwnie. - Co ja zrobiłem... -

mamrotał z najgłębszą rozpaczą. - Co ja zrobiłem... - Zwariował? - spytała Alicja ze zdumieniem. - Co on mówi? Zbyszek ostrożnie posadził Stefana na krześle, a potem potrząsnął nim jak workiem z kartoflami. - Opamiętaj się, Stefan, co mówisz? Ty go zabiłeś czy co?! - Co ja zrobiłem..

- Proszę państwa, co to właściwie znaczy? - spytał zdenerwowany Kazio, wchodząc do pokoju. - Czy ten Stolarek rzeczywiście nie żyje, czy to jakieś wygłupy? Jak widać, moja reakcja nie była odosobniona. Zaraz za Kaziem weszła Anka z wyrazem zdumienia i przerażenia na twarzy i od razu zwróciła się do mnie. - Słuchaj, ja nic nie rozumiem, czy ty wiedziałaś o tym, że go ktoś udusi? Skąd wiedziałaś? Zbyszek nagle oderwał się od jęczącego Stefana. - Teraz pani sama widzi, do czego prowadzą idiotyczne dowcipy! - warknął do mnie z wściekłością. Kazio tyłem zbliżał się do swojego stołu przyglądając mi się coraz bardziej zaintrygowany. Alicja grzebała w torbie w poszukiwaniu papierosów nie spuszczać ze mnie wzroku. Monika, która poprzednio siedziała oparta łokciami o stół i patrzyła w okno, teraz odwróciła się na kręconym krześle i również spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem - zgrozy, zaciekawienia, podziwu i wdzięczności, pomieszanych razem. Leszek, na niskim stołku, oparty o ścianę, ze skrzyżowanymi ramionami i nogami wyciągniętymi na środek pokoju przyglądał mi się trochę też ze zgrozą, a trochę z jadowitą satysfakcją. Doprawdy, na całym świecie nie było chyba dla nich nic bardziej interesującego do oglądania niż ja! Pomyślałam sobie, że gdyby ktoś się uparł wymyślić głupszą sytuację, byłoby mu niesłychanie trudno. I że bezwzględnie muszę coś powiedzieć, bo inaczej im oczy powyłażą z głowy i będzie następny kłopot. - Odczepcie się - mruknęłam niechętnie. - Pierwszy raz w życiu mnie widzicie? Jeżeli wam się wydaje, że dam się w to wrobić, to popełniacie fatalną pomyłkę. To ich wreszcie wyrwało z tej kontemplacji.

- No dobrze, ale skąd wiedziałaś...? - upierała się Anka.

- Bo ostatnio miewam nadprzyrodzone jasnowidzenia! Idiotka, skąd miałam wiedzieć?!... Monika z głębokim westchnieniem odwróciła się z krzesłem na powrót do okna, a Kazio dotarł wreszcie do swojego stołu. - Wiecie, państwo, to okropne - powiedział z zakłopotaniem, wyciągając z szuflady bułkę z polędwicą. - Jak jestem zdenerwowany, to zaraz muszę jeść... - Gdzie dostałeś polędwicę?! - wyrwało się Alicji z nagłym zainteresowaniem. - Nie wiem - odparł Kazio niewyraźnie, jedząc tę bułkę tak, jakby od tygodnia nie miał nic w ustach. Stał naprzeciwko Stefana i przyglądał mu się z nieukrywaniem zaciekawieniem, wyraźnie zamierzając coś powiedzieć, ale nie był w stanie przerwać jedzenia. Stał, patrzył i jadł coraz zachłanniej. Nieboszczyk w sali konferencyjnej nie przedstawiał sobą szczególnie pociągającego widoku, toteż wszyscy, kolejno wycofywali się stamtąd i wchodzili w najbliższe drzwi, to znaczy do środkowego pokoju. Po paru minutach prawie cały personel był w komplecie. Po pierwszych wybuchach energii wszystkich ogarnęło otumanienie, zwłaszcza że dopiero teraz zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że śmierć Tadeusza nie jest czymś idiotycznym dowcipem, tylko smutnym faktem. Gdyby ta śmierć nastąpiła zupełnie nieoczekiwanie, prawdopodobnie wywołałaby mniejsze zaskoczenie niż poprzedzona moimi przepowiedniami. Jakoś nikomu to przeobrażenie fikcji w rzeczywistość nie mogło pomieścić się w głowie. - Dlaczego on tak żre? - spytała mnie szeptem Danką, spoglądając nieufnie na Kazia, który, skończywszy swoją bułkę, natychmiast napoczął śniadanie Alicji. - Atawizm - odparłam bez zastanowienia. - Miał przodków ludożerców. Zobaczył nieboszczyka i od razu mu się jeść zachciało. Danką spojrzała na mnie z przerażeniem i wstrętem, ze zgrozą na Kazia, zzieleniała i nagle wybiegła z pokoju. - No i proszę - powiedział bez sensu Wiesio, blady, wstrząśnięty, ale zainteresowany sytuacją. - Rzeczywiście. Co teraz?

- Proszę państwa, to straszne - jęknęła rozpaczliwie Matylda, padając na krzesło i wciąż płacząc. - To straszne, ja w to nie mogę uwierzyć!

- To niech pani nie wierzy - mruknął niechętnie Andrzej. - Może go to wskrzesi...

Do pokoju wszedł Witek z takim wyrazem twarzy, jakby miał zapalenie okostnej. Spojrzył na nas z boleścią i spytał cicho i głupio: - Kto to zrobił?

- Ja nie! - zawołał kategorycznie Leszek, bo w chwili pytania Witek patrzył akurat na niego. Witek skrzywił się jeszcze bardziej i spojrzył na mnie. - Ja też nie - oświadczyłam natychmiast równie kategorycznie. - Wybij to sobie z

głowy! - No to kto? - krzyknął z rozpaczą Zbyszek, odrywając się nagle od Stefana. - Kto, do wszystkich diabłów?! - Kto? - zawtórowała mu Matylda z jeszcze większą rozpaczą. - Boże mój, kto?! - Właśnie, kto? - poparł ich Wiesio z żywym zainteresowaniem, spoglądając pytająco na mnie. Poczulałam, że i mnie ogarnia rozpacz. Pierwsza podejrzana!... - Nie wiem! - krzyknęłam z wściekłością. - Odczepcie się ode mnie, co ja jestem? Duch Święty?! - Jak mogliście zrobić coś podobnego! - jęknął Witek z bolesnym wyrzutem, rezygnując widać na razie z natychmiastowego wykrycia przestępcy i nie słuchając naszych okrzyków. - W obecnej sytuacji!... W Alicję nagle wstąpiło ożywienie. - To go skończy - mruknęła z głęboką satysfakcją. - Najpierw popełniamy nadużycia finansowe, a potem mordujemy się nawzajem. Ładnie rządzi pracownią! - Prawdę mówiąc, to byłaby zupełnie niezła metoda likwidacji przedsiębiorstwa - powiedział Kazio w zamyśleniu, przestając wreszcie jeść. - Nie dam głowy, czy to nie on sam... Ta uwaga znalazła natychmiastowy oddźwięk. Na skutek kompresji etatów personel naszej pracowni powinien ulec wydatnemu zmniejszeniu i Witek miał straszne kłopoty z wyrzucaniem najbliższych kolegów i przyjaciół. Każde wymówienie wydawało się krzyczącą niesprawiedliwością i myśl, że zmniejsza stan zatrudnienia za pomocą wysyłania współpracowników z tego padołu na lepszy, okazała się niesłychanie ponętą. - No dobrze, ale dlaczego Stolarek? Z sanitarnymi nie ma takich kłopotów, powinien mordować architektów. - Zaczął od sanitarnych dla odwrócenia podejrzeń... - To ja wolę wymówienie - oświadczył stanowczo Leszek. - Mam parę rzeczy do załatwienia i jeszcze bym chętnie trochę pożył. - Co za świnia oblała mnie tą śmierdzącą cieczą? - spytał z goryczą i wyrzutem Włodek, wycierając chustką do nosa resztki wody po kwiatkach. Siedział w kącie, między stołami, na krześle Alicji. Twarz miał nadal w pięknym bladozielonym kolorze. Prawie cały personel siedział jak na naradzie produkcyjnej, tyle że na naradach mieliśmy jednak na ogół nieco inny wyraz twarzy. Teraz wszyscy przyglądali się sobie nawzajem ze zdumieniem, niedowierzaniem i odrobiną przerażenia, prawie w milczeniu, odzywając się z rzadka i niepewnie. W powietrzu wisiał wielki znak zapytania. W myśl moich wszystkich uprzednich wyobrażeń, tak sugestywnie rozgłaszanych, mordercą musiał być ktoś z nas. Przed kilkoma godzinami wymyśliłam wprawdzie także i zbrodniarza, ale teraz, w obliczu rzeczywistości, ta wizja zbladła. Złożyłam sobie w duchu gratulacje, że rozwiązanie zagadki, wówczas fikcyjnej, zachowałam w tajemnicy i na wszelki wypadek przyjrzałam się im dokładnie. Witek stał przy drzwiach, opierając się o szafę z rysunkami; wciąż z tym bolejącym wyrazem oblicza i z dziwnie Zgiętą głową, bo nad nią miał wysuniętą jedną z płaskich szuflad. Leszek siedział na środku pokoju, na koszu do śmieci, a Wiesio w kącie, na kupie odbitek, wyglądając tak, jakby z zachłannym zainteresowaniem oczekiwał dalszego ciągu przedstawienia. Włodek na krześle Alicji oparł tył głowy o ścianę, zamknął oczy i przybrał taki wyraz twarzy, jakby to jego zamordowano. Niewątpliwie ta przesadna demonstracja miała obrazować jego niesłychane przeżycia wewnętrzne, był bowiem histerykiem i bardzo lubił urządzić przesadne demonstracje. Stefan poniechał już intrygujących jęków i chwycił się tylko co jakiś czas rękami za głowę. Kajtek za stołem Kazia bawił się nerwowo zapalkami, wysypanymi z pudełka, a dalej siedział na własnym miejscu jego ojciec, Kacper, który palił papierosa, opierając się łokciami o deskę i w milczeniu patrzył w okno. Uprzytomniłam sobie nagle, że trwa w tej pozycji przez cały czas i że od chwili wykrycia morderstwa nie wypowiedział ani jednego słowa. Największe zdumienie wzbudził we mnie Ryszard, który również siedział na swoim miejscu, opierał się o ścianę. ze schyloną głową i najwyraźniej w świecie - spał!!! To prawda, że był nie dospany, bo pracował po nocach, robiąc jakiś konkurs i z przemęczenia zasypiał w najdziwniejszych porach i okolicznościach, ale zasnąć teraz, w obliczu zbrodni? Jego snu nie mąciły szlochania Wiesi i Matyldy, które siedziały przy małym, trójkątnym stoliku i wytrwale płakały. Za nimi, oparty o futrynę stał główny księgowy, w przeciwieństwie do reszty dziwnie czerwony na twarzy, i nerwowo coś mamrotał, przy czym z dźwięków, które wydawał, najwyraźniejsze było szczerkanie zębami. - Niedobrze mi - powiedziała nagle z niesmakiem Monika. - Komu dobrze? - odparł w filozoficznym zamyśleniu Kazio, oparty o stół obok niej. - Słuchajcie, a może byśmy tak zrobili kawę? - zaproponowała Alicja. -

Gdzie pani Gleba? Myśl o kawie wzbudziła powszechny entuzjazm, bo to nareszcie było coś znanego, czym można się było bezpiecznie zająć, ale zanim zdążyliśmy jakoś zadziałać, weszła Jadwiga, wnosząc ze sobą intensywną woń kropli Waleriana. - Jezus kochany, dlaczego pani tak śmierdzi? - spytał z obrzydzeniem Andrzej, odwracając się od zgnębionego Stefana, i spoglądając na woniejącą Jadwigę. - Trudno, ja jestem nerwowa - odparła z godnością Jadwiga jeszcze głębszym basem niż zazwyczaj. - Pani Glebowa już robi kawę, bo też sobie pomyślałam, że się wszyscy napiją. - Za darmo?-spytał z nadzieją Leszek. - Co pan? Ma pan źle w głowie? - powiedziała Jadwiga z politowaniem. - Mogliby nas wszystkich po-. dusić, a od pani Glebowej kawy by pan darmo nie zobaczył. - Słuchajcie, czy ktoś już dzwonił po milicję? - spytał Zbyszek. - Trzeba ich było zawiadomić. - Cholernie jestem ciekawa, kto to zrobił - mruknęła Alicja. - A może jednak ktoś obcy? - powiedział z nadzieją Andrzej. - Pani Matyldo, czy pani jest pewna, że nikogo obcego nie było w pracowni? - Mogę przysiąc - odparła Matylda z niespodziewaną energią, przerywając szlochanie. - Może przeoczyłaś?... - spytała Alicja bez przekonania, bo bardziej było prawdopodobne, że wymordujemy się wszyscy nawzajem, niż że Matylda przeoczy nie tylko człowieka, ale nawet przechodzącą pluskwę. Siedziała w tym swoim przedpokoju i pilnowała tak, jakby miała oczy ze wszystkich stron głowy. - Nie przeoczyłam. Mogę przysiąc - powtórzyła z uporem. - No to nie ma siły - oświadczył Leszek z satysfakcją. - Morderca jest wśród nas. Na te głupie słowa zapadło grobowe milczenie, a wszystkie oczy skierowały się znów na mnie. Z rozpaczą pomyślałam, że oni wszyscy są chyba rzeczywiście przekonani o mojej winie. Dla jakichś tajemniczych celów, w napadzie szaleństwa zamordowałam Tadeusza, robiąc z tego możliwie dużą sensację. Jeżeli prawdziwy zabójca nie zostanie wykryty, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się powiesić, bo nikt z nich nigdy w życiu nie uwierzy, że to jednak nie ja. A równocześnie uderzył mnie fakt, że ustawicznie pada pytanie "kto", a ani razu nie padło pytanie "dlaczego". Nie dość na tym, wszyscy są jacyś dziwni... Jakby przy całym wzburzeniu i zdenerwowaniu usiłowali być ostrożni i pilnowali, żeby czegoś przypadkiem nie powiedzieć. Czego? Patrzą na mnie, oczekując ode mnie wyjaśnienia, a robią takie wrażenie, jakby wiedzieli znacznie więcej niż ja... Jakby wiedzieli nie tylko, że ja go zabiłam, ale także, dlaczego to uczyniłam. A ja, nieszczęsna ofiara wyobraźni, nie wiem nic! Wymyślone przeze mnie morderstwo stało się nagle faktem. Popełnił je ktoś, przez cały czas obecny w pracowni. A ci tutaj, zdawałoby się, inteligentni, przedsiębiorczy ludzie, siedzą jak stado owiec i zamiast próbować coś wykryć, przeprowadzić jakieś badania, na gorąco szukać zbrodniarza, patrzą na mnie!... Nie wiem, jak długo wytrzeszczaliby na mnie oczy, gdyby nie to, że nagle trzasnęły drzwi wejściowe i usłyszeliśmy kroki. W trwającej nadal okropnej ciszy wszystkie oczy zwróciły się teraz na drzwi, w których po chwili stanął Marek, najprzystojniejszy facet w naszej pracowni. Niegdyś pracował na pełnym etacie, wobec czego niejako należał do rodziny, ale ostatnio przeniósł się na pół i jego udział w naszym służbowym życiu uległ pewnemu ograniczeniu. - Co to, zebranie robocze? - spytał, zatrzymując się w progu. - Przepraszam, że pozwoliłem sobie przeszkodzić... - Mamy zwłoki - powiedział Leszek, patrząc na niego bezmyślnie z kosza na śmieci. - Co macie? - Zwłoki... - Zwłoki w czasie? W sensie przestojów roboczych? - Nie, w sensie nieboszczyka. - Doprawdy? - powiedział Marek z życzliwym zainteresowaniem. - A kto umarł? - Stolarek. Nie tyle umarł, co został zamordowany. - Nie rozumiem - powiedział Marek po chwili zastanowienia, podczas gdy wszyscy nie wiadomo czemu patrzyli w niego jak w tęczę. - Czy nie moglibyście tego jakoś przystępniej sprecyzować? - Moglibyśmy - odparła z przekonaniem Alicja. - Stolarek został uduszony na śmierć przez nieznanego sprawcę paskiem od fartucha. - Damskiego - podkreślił Wiesio z satysfakcją. - I nikogo obcego nie było w pracowni - uzupełnił uprzejmie Andrzej. - Nie! Poważnie mówicie? - Skąd, żartujemy! Mamy taki nowy rodzaj dowcipów...

Marek patrzył na nas przez chwilę w zamyśleniu, a następnie bystro rzucił okiem na Witka, którego twarz dobitnie świadczyła o prawdziwości informacji. Potem znów popatrzył na nas. - Tego jeszcze nie było - powiedział z uznaniem. I dodał z głębokim zdziwieniem: -Dlaczego akurat Stolarek? - A, tego to już nie wiemy... - Świeć, Panie, nad jego duszą... Czy jesteście zupełnie pewni, że nie zaszła jakaś pomyłka co do osoby ofiary? - Niczego nie jesteśmy pewni poza tym, że w sali konferencyjnej leżą zwłoki Tadeusza. - Jak to leżą? - zaniepokoił się Marek. - To kiedy ten smutny fakt nastąpił? - Przed chwilą. To znaczy pewnie z pół godziny temu Zaraz powinna przyjechać milicja. - A nie, to ja wychodzę. Państwo wybaczają... Mordujcie się sami, ja opuszczam ten lokal. - Zostań, napijesz się kawy. Fakt jest wstrząsający i trzeba się pokrzepić przed śledztwem. Pani Glebowa już robi. - Bardzo wam dziękuję za zaproszenie, ale nie przepadam za piciem kawy w towarzystwie nieboszczyków. Pozwólcie, że jednak wyjdę, zanim nasze drogie władze tu przybędą i zaczną mnie podejrzewać. Wolałbym nie być wmieszany w duszenie instalatorów sanitarnych... Skłonił się nam wytwornie i bez przesadnego pośpiechu, ale stanowczo zawrócił do drzwi wejściowych. Równocześnie weszła pani Glebowa z tacą zastawioną szklankami z kawą, zrobiło się lekkie zamieszanie, bo Leszek, siedzący na środku pokoju jak niewzruszona skała zdecydowanie utrudniał komunikację. Obie z Alicją wyjrzałyśmy za Markiem. Był już przy stole Matyldy, kiedy drzwi otworzyły się przed nim i weszła władza ludowa w ilości trzech osób, w tym dwóch w mundurach i jednego w cywilnym ubraniu... Marek zatrzymał się gwałtownie, a potem z ciężkim westchnieniem zawrócił. Na twarzy miał wyraz łagodnej rezygnacji. - Przepadło - powiedział spokojnie. - Fatum. Nie będziemy walczyć z przeznaczeniem...

Sympatycznie wyglądający pan w cywilnym ubraniu stał na środku pokoju i przyglądał się nam w zamyśleniu. Od chwili swego przybycia bez żadnego trudu zdołał ustalić kilka faktów. Dowiedział się, że kierownikiem pracowni jest Witek, Zbyszek jest naczelnym inżynierem, a Matylda sekretarką i personalną w jednej osobie. Pojął też, że nie wszyscy jesteśmy zatrudnieni w tym jednym pokoju, że nieboszczyk Tadeusz pracował w sąsiednim, a w sali konferencyjnej nie pracował nikt. Wykrył osobę, która zawiadomiła milicję, bo Alicja przyznała się do tego bez oporów. Odebrał od Matyldy przysięgę, że nikt obcy nie wchodził ani nie wychodził z pracowni, po czym zażądał opisanego przebiegu wypadków i tu go zastopowało. Zadziwiającym sposobem wszystkim nagle odjęło mowę. Kilka osób próbowało coś powiedzieć, ale po pierwszych słowach zaczęli się plątać, milkli i spoglądali na mnie. Wreszcie zapadła martwa cisza. Bardzo dobrze wiedziałam, o co im chodzi. Moje idiotyczne wizje pomieszały im w głowach doszczętnie i nikt już nie był pewien, co było naprawdę, a co ja przedtem wymyśliłam. A przy tym wahali się, czy należy mnie wkopać opowiadając wszystko od początku, czy też raczej trzeba się ograniczyć do rzeczywistych faktów, które z kolei nie bardzo dawały się oddzielić od fikcji. Ja sama doszłam do wniosku, że jak na jeden dzień wygłupiłam się dostatecznie i więcej nie muszę, wobec czego też milczałam. Przedstawiciel władzy nie był ani ślepy, ani niedorozwinięty. Znakomicie zauważył rzucane na mnie niepewne spojrzenia drogich przyjaciół i prawdopodobnie nabrał radosnego przekonania, że śledztwo ma już z głowy. Stał sobie i również milczał, a cały zespół wpatrywał się w niego w nabożnym skupieniu. - Kto pierwszy znalazł zwłoki? - spytał nagle, zwracając się do Witka. Witek drgnął nerwowo. - Nie mam pojęcia - odparł z zakłopotaniem. I dodał, odwracając się do mnie: - Joanna?... - Janusz - powiedziałam ponuro, wyraźnie widząc, że nic mnie już nie uratuje. Chcąc nie chcąc będę w tej sztuce grała główną rolę. Janusz miał rację, jestem pierwsza podejrzana... - Jeden z kolegów - dodałam niechętnie, bo pan w cywilu patrzył na mnie z pytaniem wyraźnie wypisanym na obliczu. - Siedzi w tamtym pokoju. - Pracuje?!... -krzyknął Witek z radosną nadzieją. - Nie, trzyma się za głowę - odparł rzeczowo Wiesio, który był już w naszym pokoju i widać postanowił sobie na wszelki wypadek trwać przy ścisłej prawdzie. Pan w cywilu zwrócił się znów do Witka: - Proszę spowodować powrót wszystkich na swoje miejsca. Chciałbym zobaczyć biuro w normalnym stanie. W normalnym stanie rzadko kto siedział na swoim miejscu, ale skoro on to sobie tak wyobrażał, to

nie mieliśmy zamiaru wyprowadzać go z błędu. Poganiani przez Witka, który nagle zrobił się demonstracyjnie praworządny, ruszyliśmy ku drzwiom, podtrzymywani na duchu nadzieją, że jeśli coś ciekawego zdarzy się w innym pomieszczeniu, współpracownicy niewątpliwie nam to przekażą. Na razie nasz zespół był wygrany z uwagi na usytuowanie Janusza. Posłusznie weszliśmy do siebie. Nikt z nas nie pamiętał o jednym skromnym drobiazgu. Nie dalej jak poprzedniego dnia opętany chandrą Leszek namalował monstrualnych rozmiarów obraz na wielkiej płycie pilśniowej. Cały dzień nic innego nie robił, tylko malował. Zналиśmy już jego nastroje i nawet Witek, widząc jego zajęcie, nic nie mówił, machnąwszy ręką z rezygnacją, bo wiedział, że i tak w tym stanie ducha żadnego pożytku by z niego nie było. Obraz, utrzymany w żywych kolorach, przedstawiał potworną mordę z wyszczerzonymi zębami, do której była doczepiona figura, mająca zapewne wyobrażać kobietę. W dole obrazu znajdowało się coś, co przypominało zmaltretowanego, klęczącego osobnika płci męskiej, z gębą zwyrodniałego kretyna, w którego głowę kobieta owa wbijała wielki gwóźdź. Jakby mało było tej makabry, po opuszczonej ręce kobiety zbiegały w dół, do klęczącego osobnika całe stada białych myszek. Straszliwe to dzieło stało oparte o ścianę na wprost naszych drzwi wejściowych. Pan w cywilu wszedł i zatrzymał się nagle, bowiem pierwszą rzeczą, na jaką padło jego oko, był właśnie ów obraz. Wbrew naszym nadziejom nie krzyknął i nie uciekł, przybladł tylko nieco i przez dobrą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wreszcie odetchnął głęboko, oderwał wzrok od wstrząsającej dekoracji, rozejrzał się po pokoju i dostrzegł Janusza. Obok Janusza, przede mną, znajdowało się puste miejsce nieobecnego Witolda, który siedział na desce. Brzmi to nieco dziwnie, ale jest faktem. Twierdził, że ma jakiś szczególny gatunek reumatyzmu, który pozwala mu zginać nogi tylko pod jednym określonym kątem, a każdy inny kąt wygięcia powoduje nieznośne bóle w kolanach. Zwykle krzesła, stojące na podłodze, były za niskie do stołów kreślarskich, nasze kręczone krzesła, odpowiednio wysokie, siłą rzeczy zmieniały mu ów kąt w nogach, wobec czego położył na podłodze deskę kreślarską, na niej postawił zwykłe krzesło i tak siedział. Kąt miał, wysokość miał i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że deska pod stołem, prawie niewidoczna, ale za to wystająca, tworzyła coś w rodzaju niskiego stopnia, o który się każdy potykał. Z szalonym zaciekawieniem przyglądaliśmy się teraz, czy panu w cywilu uda się uniknąć tej pułapki, czy nie. Otrząsnąwszy się z wrażenia wywołanego arcydziełem Leszka, nie spodziewając się zapewne już niczego gorszego podszedł do Janusza i zatrzymał się przy jego stole. - To pan znalazł zwłoki? - pytał. Janusz trwający dotąd w niezmienionej, dramatycznej pozycji, podniósł głowę i rozejrzał się błędnie wokoło. - Nie ma pan papierosa? - spytał. Wyglądało na to, że treść słów przedstawiciela władzy jeszcze do niego nie dotarła. Przedstawiciel władzy westchnął ciężko, wyjął papierosy i obaj zapalili. - Pan się o coś pytał? - ocknął się nagle Janusz.

- Tak, pytałem, czy to pan znalazł zwłoki.

- Zwłoki? Tadeusza? A ja, ja, niech to jasny szlag trafi!... - Niech pan opowie, jak to było.

Słuchaliśmy z ogromnym zainteresowaniem, bo dotychczas nikt się jeszcze z Januszem nie zdołał porozumieć i byliśmy zarówno zaciekawieni, jak i zaniepokojeni tym, co też on może powiedzieć. - No co jak było, zwyczajnie - odparł niechętnie Janusz. - Poszedłem do tej cholernej sali konferencyjnej... - Po co pan tam poszedł?

- A bo ja wiem? Diabli mnie zanieśli, widać miałem zaćmienie umysłu! - Po ochronę przeciwpożarową - odpowiedziałam ponuro.

- Co? A tak, słusznie, po Dzienniki Ustaw z ochroną przeciwpożarową. Zupełnie zapomniałem, że Tadeusz tam leży... - Jak to? - przerwał mu szybko pan w cywilu.

- To pan o tym wiedział? - No jasne, przecież od początku Joanna mówiła, że Tadeusza zadusili w sali konferencyjnej...

Słabo mi się zrobiło. Janusz najwyraźniej w świecie zwariował od wstrząsu. Już chyba nic gorszego nie mógł wymyślić, niż akurat w tej chwili pomieszać fikcję z rzeczywistością! Zamarłam, śmiertelnie spłoszona, i nie przychodziło mi do głowy absolutnie żadne wyjście. Pan w cywilu spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. Możliwe, że po chwili załamałabym się pod ciężarem tego spojrzenia i wzięła na

siebie nie popełnioną zbrodnię, gdyby nie uratował mnie Wiesio, który, uświadomiwszy sobie absurdalność sytuacji, wydał z siebie krótki chichot. Chichot zabrzmiał iście szatańsko, toteż pan w cywilu spojrział na niego z niesmakiem. To mi pozwoliło szybko popukać się w głowę na konto wpatrzonego we mnie baranim wzrokiem Janusza. - Kretynie, oprzytomnij! - wysyczałam jadownicę. Pan w cywilu otworzył usta, ale nie zdążył się odezwać, bo z kolei wystąpił nagle Leszek. - Najmocniej pana przepraszam - powiedział wdzięcznie i rzewnie. - Czy można wiedzieć, w jakiej pan jest randze? Bo niewątpliwie jest pan w jakiejś, a ja chciałbym móc pana tytułować nawet w myślach, z uwagi na to, że jednak wszyscy w życiu zajmujemy jakieś miejsce i nie powinniśmy wykraczać poza ramy, nie możemy, choćbyśmy nawet chcieli, życie, cóż, takie jest życie... Mówił to wszystko ze śmiertelną powagą i jednym ciągiem i wreszcie go, szczęśliwie, zatchnęło. Istny obłęd! Dla Leszka takie dziwne uwagi były chlebem powszednim i wygłaszał je w najlepszej wierze, ale pan w cywilu nie musiał o tym wiedzieć! Jedyne, co teraz można było przewidywać, to to, że oskarżą nas o kpiny z władzy. Pan w cywilu przyjrzał się uważnie Leszkowi, na którego twarzy widniało przygębione zamyślenie. - Kapitan - powiedział krótko po chwili milczenia i zwrócił się znów do Janusza, powoli odzyskującego przytomność. - No więc, jak to było? Skąd pan wiedział, że tam leży denat? - O to chodzi, że właśnie nie wiedziałem - odparł Janusz z gniewem. - Gdybym wiedział, tobym tam przecież nie poszedł, poczekałbym, aż się kto inny wygłupi ze znajdywaniem zwłok! - Jak to, przed chwilą pan powiedział, że pan o tym zapomniał! - No, bo rzeczywiście zupełnie zapomniałem o tej całej hecy z zamordowaniem Tadeusza i jak tam wszedłem, to mnie trzasnęło jak grom z jasnego nieba! Cud, że mnie szlag nie trafił! - Zaraz, spokojnie - kapitan obejrzał się, sięgnął po krzesło Witolda, potknął się wreszcie o jego deskę na podłodze, oparł się ręką o rajzbret, przechylił rajzbret, w ostatniej chwili chwycił butelkę z tuszem, która zjeżdżała po pochylonej płaszczyźnie, huknął łokciem w moją lampę i wrócił do równowagi. Usiadł na krześle Witolda, na jego podwyższeniu, odetchnął i rzucił okiem na twórczość Leszka. - Zaraz, spokojnie - powtórzył. - Niech pan mówi jaśniej. Co pan wiedział o tym morderstwie przed odkryciem zwłok? - Nic. - Co? - Nic. - Przecież pan mówi, że pan wiedział! Janusz patrzył na niego wyraźnie stropiony i nieco skołowany. - Ja mówię, że wiedziałem? - zdziwił się. - No to musiałem chyba coś pokręcić. Myśmy w ogóle wszyscy wiedzieli tylko to, co Joanna wymyśliła. Nie, teraz już wszystko się pomieszało, Joanna, wyjaśnij to temu panu, ja nie potrafię! - Niemożliwe - odparłam wprawdzie przygębiona, ale stanowczo. - Tego się nie da wyjaśnić normalnemu człowiekowi. I w ogóle nie wyręczaj się mną, jak cię ten pan pyta, to odpowiadaj. - Co ja mam odpowiadać, jak ja już sam nic nie wiem! - A co pani o tym wiedziała? - spytał kapitan ostro, przyglądając mi się coraz bardziej niezyczliwie. - Nie wiem - wyznałam w przypływie szczerości. - Przypuszczam, że nic. Gdybym coś wiedziała, to przecież nie wygłupiałabym się tak przeraźliwie, żeby to rozgłaszać awansem po całej pracowni! Kapitan zaczął nabierać coraz dziwniejszego wyrazu twarzy. Nie wiadomo, czemu znów rzucił okiem na nieszczęsny obraz i spytał Janusza: - Kiedy pan tam poszedł? W tym momencie do pokoju wszedł Jarek z zespołu kosztorysów. - Bardzo przepraszam - powiedział gdzieś w przestrzeń między Januszem a kapitanem. - Janusz, do ciebie przyszło dwóch facetów z gumy. Nie wiem, co zrobić. Kapitan nagle zamknął oczy, ale szybko je otworzył, bo zadziwiająca informacja Jarka poderwała Janusza z miejsca. - Rany boskie! - jęknął, chwytając się za głowę. - Cholera ciężka! Już nie mieli kiedy przyjść! - Chwileczkę - powiedział kapitan bezradnie. - Co przyszło?... - Dwóch z gumy - powtórzył Jarek. - Diabli ich nadali!...-jęczał Janusz. - Co to znaczy? Z jakiej gumy?!... - Wszystko jedno! - krzyknął Janusz w rozpacz. - Rany boskie! Witek ich widział? - Kto ich wpuścił?! - krzyknął kapitan, rezygnując widać na razie ze sprecyzowania rodzaju gumy. - Nikt, czekają w holu i cholernie się awanturują...



- A jeszcze przyjdzie piwo - powiedział Leszek proroczo i z ponurą satysfakcją. Janusz wpadł w ostateczną panikę. - O rany, to koniec!! Panie władzo, ja z nimi muszę!... Jarek, idź do nich, powiedz, że zabili Tadeusza, nie, powiedz, że to mnie zabili, Witka zabili, wszystkich zabili! Niech idą do diabła, jutro wszystko dostaną, tylko niech zamkną gębę i niech mu się nie pokazują na oczy! - O co tu chodzi?! - krzyknął kapitan, wyraźnie tracąc zimną krew. - Nigdzie pan teraz nie pójdzie, z nikim pan nie będzie rozmawiał! Tu jest śledztwo, nie rozumie pan tego?!... - Sodoma i Gomora -. powiedział Wiesio uszczęśliwiony. Wszystko razem, rzeczy, ludzie i zbiegi okoliczności, sprzysięgło się, żeby zrobić jak największe zamieszanie. Dziwaczna zbrodnia na terenie miejsca pracy oszołomiła nas i nikt jeszcze na razie nie zdawał sobie sprawy ze skutków, jakie mogła mieć w dalszej przyszłości. Jeden skutek się właśnie objawił. Z różnych przyczyn pracownia nie była w kwitującym stanie. Projekty dla Zjednoczenia Przemysłu Gumowego i Przemysłu Piwowarskiego były opóźnione, co pociągało za sobą liczne wizyty rozwścieczonych przedstawicieli inwestora. Zarówno owe wizyty, jak i opóźnienia Janusz i Leszek starannie ukrywali przed Witkiem, usiłując załatwić rzecz drogą nieoficjalną, znacznie bezpieczniejszą od oficjalnej. Opóźnioną dokumentację dostarczali kawałkami i właśnie teraz mieli na ukończeniu od dawna obiecywane resztki, po które przedstawiciele owej gumy i piwa chcieli się zgłosić poprzedniego dnia. Wśród tysiącznych umizgów zostali przestawieni na dziś, a dziś właśnie ktoś udusił Stolarka! Zrozpaczony Janusz zgłupiał z tego do reszty, Jarek na środku pokoju patrzył na nas w bezmyślnym otępieniu, kapitan był bliski apopleksji, a w holu czekali faceci z gumy. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko wyjaśnić władzy dramatyczną sytuację. - Mów, Januszek - powiedziała zachęcająco, bo zgnębiony Janusz wyraźnie się wahał. - Lepiej przyznać się do wszystkiego całemu regimentowi milicji niż Witkowi. Zatruje ci życie... - Może masz rację - westchnął Janusz i zaczął relację, w której z zapalem wzięliśmy udział wszyscy, usiłując opowiadać możliwie przystępnie i zrozumiale. Po długich i obrazowych wyjaśnieniach kapitan wreszcie przejął się tematem. - Dobrze, rozumiem - powiedział. - Niech pan sobie z nimi porozmawia, ale w mojej obecności. Jak pan się z nimi dogada, to już nie moja rzecz, chodźmy, załatwimy to od razu. Janusz uczynił nagle ruch, jakby chciał mu się rzucić na szyję, ale zamiast tego zerwał się z miejsca i wypadł z pokoju. Kapitan pośpiesznie wypadł za nim. Następną kilka chwil ujawniło nową komplikację. ! Ciągłe jakby nieco oszołomiony Jarek usiadł i wytrzeszczył na nas oczy z wyrazem osłupienia. - Słuchajcie, co się tu dzieje? Na cyku trochę jestem, przed chwilą przyszedłem i już sam nie wiem, czy to ja jestem taki pijany, czy wszyscy powariowali. Rzeczywiście, Stolarek coś tego?... - Nie tylko coś, ale nawet zupełnie. Załatwiony odmownie. - Niech ja skonam - powiedział Jarek, baraniejąc jeszcze bardziej. - A kto go wykończył? - Prawda! - przypomniałam sobie. - Panie Jarku, to pana nie było? Jarek się wyraźnie stropił. - Kiedy właśnie o to chodzi, że byłem... - Jak to?...

- No, urzędowo byłem, a nieurzędowo wręcz przeciwnie. Po cichu sobie wyszedłem, jak Matylda była u Witka w gabinecie, i teraz nie wiem, co zrobić. Przyznać się, czy nie... - Nie wpisałeś się do książki wychodków?

- No pewnie, że nie! Za cholerę nie wiem, co zrobić...

- Lepiej mów prawdę - poradził mu Wiesio. - Jeżeli w tym czasie nic nie ukradłeś na mieście, to możesz się przyznać, że cię nie było. - Ukraść nie ukradłem, ale ubijałem jeden interes taki trochę nie tego... - Ale jak cię nie było, to nie mogłeś załatwić Tadeusza. Masz alibi.

- Ale jak powiem, że mnie nie było, to muszę to udowodnić. Jak? - Nie masz świadków?

- Mam, tego jednego, z którym ubijałem interes. On się za nic w świecie do mnie nie przyzna. - No to rzeczywiście leżysz martwym bykiem. Ubiłeś go chociaż? - Ubiłem, cholera, i nawet wziąłem pieniądze...

- Nie?! - krzyknął Leszek i zerwał się z miejsca. - I dopiero teraz to mówisz? Pięć stów do pierwszego! - Z byka spadłeś? Co ty myślisz, że ja bank ograbiłem czy co? Dwie maksymalnie. Krakowskim targiem stanęli na dwóch i pół. Leszek schował pieniądze i pokręcił głową. - Może i rzeczywiście lepiej, żebyś się nie

przyznawał. Ostatecznie kiedyś to się przecież wyjaśni. - A kto to mógł zrobić? Jak myślicie?

- No proszę - powiedział Wiesio z głębokim zadowoleniem. - Nareszcie mamy powód, żeby się nad tym rzeczywiście zastanowić. Zaczęliśmy się zastanawiać, rzucając różne przypuszczenia równie chaotyczne jak głupie, streszczając jednocześnie Jarkowi przebieg wydarzeń. Wracający z Januszem kapitan przerwał nam te rozważania i wypłoszył Jarka z pokoju. Na twarzy Janusza malowała się głęboka ulga i był już z kapitanem wyraźnie zaprzyjaźniony. - No to może teraz zaczniemy wszystko od początku - powiedział przedstawiciel władzy, siadając znów na miejscu Witolda. - Kto w rezultacie odkrył zbrodnię, pan czy pani? - Janusz oczywiście, już pan słyszał. Poszedł do sali konferencyjnej i znalazł zwłoki. Rzecz w tym, że to wszystko było wcześniej omawiane z licznymi szczegółami. - Co było omawiane?

- No zbrodnia. Jeszcze za życia Tadeusza i nieboszczyk sam brał w tym udział. - Nic nie rozumiem - powiedział kapitan niecierpliwie. - Obawiam się, że będziemy musieli przystąpić do przesłuchania. Jak się pani odpowiedzi zacznie protokołować, to będzie pani mówić z większym sensem. - Nawet gdyby pan je rył w kamieniu, to sensu pan w nich nie znajdzie, bo to jest za głupie, żeby w to można uwierzyć. Myślę, że trzeba panu jakoś wytłumaczyć od początku... W trakcie opisywania kapitanowi poczynań mojej rozszalałej wyobraźni dokonaliśmy licznych cennych odkryć. Najpierw ustaliliśmy godzinę znalezienia zwłok. Jak się okazało, tuż przed wyjściem Janusza z pokoju Wiesio nastawił radio, przy czym spojrzawszy na zegarek i stwierdził, że było dziesięć po pierwszej. Mówiąc o tym, wstał i urządził przedstawienie, odtwarzając swoje dalsze czynności, w których skład wchodziło narysowanie dwunastu kółek różnej wielkości. Narysował te kółka w skupieniu i z szalonym zainteresowaniem. Chyba jeszcze nigdy kreślenie drzew na planie zagospodarowania terenu nie było dla nikogo taką atrakcją! Za pomocą dwunastu kółek stwierdziliśmy, że Janusz wyszedł z pokoju o trzynastej trzynastej, po czym natychmiast dokonał swojego makabrycznego odkrycia. Ustawienie w czasie żywego Tadeusza było nieco trudniejsze. Leszek wrócił z miasta dokładnie w chwili, kiedy grali hejnał. O wpół do dwunastej Jadwiga pytała mnie o godzinę. Nieboszczyk Stolarek był w naszym pokoju i sprzeczał się o swoją śmierć pomiędzy pytaniem Jadwigi a powrotem Leszka. Tym razem ja zrobiłam mało ruchliwe przedstawienie, przypomniałszy sobie skarpe, którą wtedy kreśliłam. Odtworzywszy ją, doszłam do wniosku, że po raz ostatni widzieliśmy Tadeusza około jedenastej czterdzieści pięć. - Czyli prawie półtorej godziny - powiedział kapitan w zamyśleniu. - Jak to jest możliwe, żeby przeszło godzinę leżał w waszym biurze trup i żeby nikt tego nie zauważył? - Cicho leżał, to się nie rzucał w oczy... - mruknął Leszek również w zamyśleniu. Spojrzeliśmy na niego z niesmakiem i wyjaśniliśmy kapitanowi, że sala konferencyjna przeważnie stoi pustką i nikt się tam nie pęta. Chyba że się przeprowadza jakieś rady techniczne, koordynacje międzybranżowe, rozmowy z inwestorami albo ktoś chce z kimś spokojnie pogadać. Niekiedy panuje tam okropny rejwach, ale bywają dni, że żywa dusza do niej nie zajrzy. Gdyby nie to, że Januszowi akurat były potrzebne Dzienniki Ustaw, zbrodnia mogłaby zostać odkryta dopiero następnego dnia rano w czasie sprzątania przez panią Glebową. - To może i lepiej, że ja go znalazłem? - powiedział Janusz z powątpiewaniem. - Jakby tak padło na panią Glebową, to nie wiadomo, czybyśmy nie mieli dwóch nieboszczyków? - Na pewno lepiej - stwierdził stanowczo kapitan. Następnym odkryciem, jakiego dokonaliśmy, był fakt zaginięcia z tablicy ogłoszeń pisanych przez Wiesia kartek. Z pewnością nie zabrał ich Witek, który odnosił się do naszej twórczości z najwyższym wstrętem i nigdy nie dotykał własnoręcznie żadnego z przedmiotów, wywieszanych tam przez nas. Nikt z nas czworga ich nie ruszał, musiał je zdjąć ktoś inny. - Najpewniej Włodek - powiedział Wiesio. - Rzucaliśmy tam na niego podejrzenia. - Coś ty - odparłam z niesmakiem. - Jajkami na twardo?... - Jajkami, nie jajkami, mógł to uznać za niebezpieczne dla siebie. - Tobo je jeszcze gwoździami przybił, żeby móc potem niewinnie cierpieć. Przecież to masochista! Już prędzej Zbyszek, bo jemu się ta cała zbrodnia od początku nie podobała. - A ja wam mówię, że zdjął sam morderca - oświadczył stanowczo Leszek. - Skąd wiesz? - zainteresował się Janusz. - Powiedział ci to? Leszek spojrzawszy na niego z wyższością. - Myśleć trzeba, panowie, tu - to mówiąc poklepał się po czole. - Musiał zdjąć ktoś, komu na tym

zależało. Witkowi, owszem, zależało, ale sami wiecie, że raczej by sobie rękę odrąbał, niż dotknął czegoś takiego. Zbyszek jest ostatnio zdenerwowany i głupstwa mu nie w głowie. A cała reszta prędzej by tu coś dowiesiła, niż zdjęła. Jeden morderca miał powód, a jaki, to już nie wiem. - To pan istotnie ekstraordinaryjnie wymyślił - powiedziałam pogardliwie. - Pewnie, z panią się równać nie mogę. Już jak pani co wymyśli, to rzeczywiście ho, ho! Wszystkie te rozważania prowadziliśmy w tonie miłej, towarzyskiej konwersacji, zupełnie nie przypominającej śledztwa. Kapitan, o którym niemal zapomnieliśmy, siedział i przysłuchiwał się w milczeniu, z rzadka tylko wtrącając jakieś pytanie. Równocześnie pilnie nam się przyglądał. - A jak państwo myślicie - powiedział wreszcie z łagodnym zaciekawieniem. - Dlaczego go zamordował? Kto miał jakiś powód? Patrzyliśmy na niego nic nie mówiąc, bo odpowiedź na to pytanie była szalenie skomplikowana, Dlaczego właściwie Tadeusz został zamordowany?... - Pani miała powód - powiedział nagle Leszek jadownicie, spoglądając na mnie. . - Jaki?!...

- Jak to jaki? Żeby wywołać sensację, udowodnić swoje talenty jasnovidza... czy jasnovidzowej?... Jak to się mówi? I przejść do potomności... - Do potomności to pan przejdzie jako naczelny głupek naszych czasów - powiedziałam gniewnie. - Musiałabym upaść na głowę, żeby dusić Tadeusza. Dałabym nie wiem co za jego zmartwychwstanie! - Dlaczego? - spytał ostro kapitan.

Zamilkłam, uprzytomniwszy sobie, że zasadniczy dowód mojej niewinności, przyczynę, dla której życzyłabym Tadeuszowi najdłuższego życia i największego w tym życiu powodzenia, muszę starannie ukryć przed władzami śledczymi. Za nic w świecie nie mogę się do tego przyznać! Milczałam, a tamci trzej, zorientowani nieco w moich kontaktach z nieboszczykiem, przyglądali mi się z zaciekawieniem i niepokojem.

- On robił moje instalacje - powiedziałam powoli po namyśle. - Termin nam wisi nad karkiem, jeśli teraz ktoś to będzie po nim przejmował i zapoznawał się z tematem, to krewa. Nawalimy, jak Bóg na niebie. - No, chyba śmierć projektanta zwalnia z terminu?

- Nie, drogi panie, nie zwalnia - odparłam smutnie, przypominając sobie nasze wszystkie wielokrotnie powtarzane dowcipy, że główny projektant, określając termin, powinien "przewidzieć wszystkie możliwe kataklizmy z własną śmiercią włącznie. Byłam w tym przypadku głównym projektantem. Głupie dowcipy stały się koszmarną rzeczywistością... - No tak... - powiedział kapitan. - A inni?

- Diabli wiedzą - odparł Janusz. - Rany boskie, co tu się będzie działo! Guma, piwo, twoje osiedle, przedszkole Witka... Wszystko, co robił Tadeusz! Straszne rzeczy! - Z tego widać, że dla dobra biura powinien raczej żyć - stwierdził kapitan. - Myślę, że jak znajdziemy powód zabójstwa, to znajdziemy i sprawcę. - Niech pan nie będzie taki pewny - powiedziałam uprzejmie i lekkomyślnie. - Dlaczego pani tak sądzi?

- No, tak jakoś... Mam przeczucie...

- Aha, pani przeczucia są szalenie interesujące, jak widać. Zwłaszcza że się dziwnie sprawdzają. Myślę, że sobie jeszcze porozmawiamy, na razie zechcą państwo uprzejmie zostać na swoich miejscach... Podniósł się i wychodząc z pokoju, w drzwiach, odwrócił się jeszcze raz i przyjrzał się arcydziełu Leszka długim, przeciągłym spojrzeniem...

- No i co teraz? - spytał Janusz. Siedział przy swoim stole odwrócony tyłem do deski i palił jednego papierosa za drugim, patrząc na nas niepewnie. Wiesio mieszał patykami tusz w kałamarzu, dosypując do niego po trochu grafitu z ołówka. Tylko wstrząs wywołany niecodzienną sensacją sprawił, że nikt z nas nie zaprotestował przeciwko tej czynności, bo zazwyczaj pilnowaliśmy tuszu jak oka w głowie. Ciągłe go brakowało, a dysponująca wszystkimi materiałami Matylda do próśb o butelkę tuszu odnosiła się tak, jakby nas podejrzewała o wypijanie go albo wylewanie za okno. Leszek rysował miękkim ołówkiem jakieś gryzmoły na nie dokończonym rysunku, przypiętym na desce. - Trzeba się zastanowić - powiedział stanowczo. - To jest poważna sprawa, żadne tam takie śmichy-chichy. Może tu ktoś ma obsesję i Tadeusz to tylko początek? Kolejno podusi nas wszystkich? - Może drogą eliminacji? - zaproponował Wiesio.

- Ja mam alibi - oświadczyłam stanowczo. - Od przyjscia Tadeusza do wyjścia Janusza nie ruszyłam się z miejsca, co milicja, mam nadzieję, wykryje. Wierzę we władzę ludową. On ma rację, myślm! - Szczerze mówiąc, to ja wierzę, że to nie ty - przyznał uczciwie Janusz. - Ile ci nieboszczyk był jeszcze winien? - Pięć i pół patyka. Mogę teraz na tym krzyżyk położyć.

- A możesz, możesz. Wprawdzie jesteś niepoczytalna, ale nie wierzę, żebyś z lekkim sercem traciła tyle forsy. Nie, nie zabiłaś go, ja ci to mówię! - No widzisz, to ja odpadam. Jedźmy dalej. Skąd zacząć?

- Kolejno, pokojami - powiedział Wiesio. - Ja nie!

- Tak to każdy może powiedzieć - odparł Leszek z dezaprobatą. - Udowodnij, że to nie ty. - W Polsce Ludowej trzeba udowodnić winę, a nie niewinność! - A ja twierdzą, że to on! No i co?

- Wiesiu, na litość boską! Mam nadzieję, że to nie ty! Udowodnij mu! - Nie mogę - powiedział Wiesio niepewnie. - Wychodziłem z pokoju. - No to co? Janusz też wychodził i Leszek też...

- Zaraz, czekajcie! Obliczmy może sobie od razu, kiedy kto z nas wychodził, czy to się zgadza... Pośpiesznie zaczęliśmy sobie przypominać swoje czynności, przy czym bezcennym skarbem okazało się radio. Janusz podniósł się z miejsca przy słowach: "... których wymagają pomieszczenia dla knurów..." i po drodze przestawił na inną Warszawę. Leszek wyszedł w czasie śpiewu Ireny Santor, a wrócił na samym początku zapraszania do aparatów klas szóstych i siódmych. Wiesio Irenę Santor przesiedział, a za to od początku do końca stracił Fogga. Mieliśmy aktualną prasę i na podstawie programu radiowego bez trudu uzyskaliśmy dokładne godziny ich wędrówek po biurze. Okazało się, że wszyscy trzech mieli szansę zamordowania Tadeusza. - Właściwie to wybronić się mógłby tylko Leszek - przyznał Wiesio. - On był najmniej zorientowany w temacie. Jak omawialiśmy to morderstwo, to go jeszcze nie było. - A co? - zaciekał się Leszek. - Tak dokładnie się wszystko zgadza?

- Jak w pysk dał - powiedział Janusz. - Mówię ci, przewidziała każdy szczegół, jakby była przy tym. Leszek wpatrzył się we mnie z wyraźnym podziwem. Bardzo zdegustowana przerwałam mu tę kontemplację. - No dobrze, to trzech podejrzanych już mamy. Szukajmy dalej, może teraz od góry. Witek? Popatrzyliśmy na siebie w zamyśleniu. - Kto wie? On wygląda na zdolnego do czegoś takiego.. Niby taki gładki, maminsynek, a w gruncie rzeczy zimny zbrodniarz. - I to nawet do niego pasuje... Tylko dlaczego? Motyw?

- A kto z was może powiedzieć, że go dobrze zna? Kto wie, co on robi? - Z przyczyn służbowych go nie wykończył, w to już nie uwierzę. Musiałby mieć z nim jakieś kontakty prywatne... - A skąd wiesz, że nie miał?

- A skąd wiesz, że miał?

- Czekajcie - powiedział nagle Janusz. - Mnie coś chodzi po głowie... - Insekty?... - zaniepokoił się Leszek.

- Nie, czekaj, coś mi się tak majaczy... Ja ich chyba widziałem razem poza biurem i nie w godzinach pracy... Nie mogę sobie przypomnieć... - Wysil umysł, bo to bardzo ważne.

- Dlaczego ważne? Co z tego, że ich widział? Nie mogą razem chodzić po mieście? Janusz podniósł głowę i spojrzał na mnie. Patrzyłam na niego przez cały czas i dam sobie głowę uciąć, że myśleliśmy o tym samym. O bardzo niemiłej sprawie, o której ani Leszek, ani Wiesio nie wiedzieli.

- Mało prawdopodobne - powiedziałam w odpowiedzi na jego spojrzenie. Janusz niechętnie pokręcił głową. - Diabli go wiedzą. No, ja za niego ręczyć nie będę...

- Bardzo dobrze, jest czwarty podejrzany - powiedział Wiesio z zadowoleniem. - Następny kto? Zbyszek? - Gdyby to pani zwłoki tam leżały - oświadczył Leszek, milknąc na chwilę i wyraźnie delektując się tą myślą. - Gdyby to pani zwłoki...

- .. tam leżały - podpowiedział Wiesio.

- .. to gotów byłbym nawet przysięgać, że to Zbyszek!

- Nie - zaprzeczył Janusz. - Wykluczone. Gdyby go Zbyszek zabił, to ja wam mówię, że on by się do tego przyznał. To jest taki facet, że w zdenerwowaniu zadusiłby cały personel, a potem sam oddałby się w ręce milicji.

- A dziecko? - zaprotestowałam.

- Co dziecko?

- Zbyszka dziecko. Myślicie, że on by dopuścił do tego, żeby jego syn żył z piętnem ojca mordercy?! - A rzeczywiście, masz rację. To co?...

Po długich wahaniach przyjęliśmy jednak kandydaturę Zbyszka, chociaż nie mogliśmy znaleźć dla niej żadnego rozsądnego uzasadnienia. Ale jego charakter pozwalał mu przypisać zabójstwo w afekcie, więc nie mogliśmy z niego tak od razu zrezygnować. Następnie wzięliśmy się za resztę architektów, z których uniewinniliśmy jedynie Alicję. Z zespołu konstrukcyjnego Anka odpadła, natomiast Kacper został przyjęty przez aklamację. Z sanitarnych nieboszczyk został automatycznie wykluczony, Andrzejowi daliśmy spokój, wiedząc, że czekał właśnie na robotę od Tadeusza i został tylko Stefan. Z elektryków Kajtkę przyjęliśmy do kolekcji radośnie, a o Włodka wybuchła potężna awantura. Leszek i Janusz opowiadali się za jego niewinnością, natomiast my oboje z Wiesiem odsadzaliśmy go od czci i wiary. W rezultacie stanęło na tym, że jest najbardziej podejrzany ze wszystkich. - Kosztorysy - powiedziałam. - Danką, moim zdaniem, odpada, a Jarka nie było, nie ma o czym mówić. Administracja! - Olgierd! - krzyknęli wszyscy trzej równocześnie. - Dlaczego? - zdziwiłam się, bo główny księgowy jakoś mi nigdy nie wyglądał na zbrodniarza. - Każdy główny księgowy musi być podejrzany - oświadczyli mi na to i musiałam się zgodzić. Następnie uniewinniliśmy jeszcze Wiesię i Jadwigę, uznawszy, że żadna z nich nie dałaby rady Tadeuszowi. To nam pozwoliło przy okazji nabrać nowych wątpliwości. - Ja tego nie rozumiem - powiedział Janusz z niesmakiem. - Jak on mógł dać się tak głupio udusić? Nawet niech będzie od tyłu, to jak? - Zwyczajnie - odparł Leszek. - Jak ci zarzucę sznurek od tyłu i zacisnę, to co zrobisz? - Odwrócę się i dam ci w mordę. Możesz być pewien, że zdążę! - Figę, zdążysz. Spróbuj - No spróbuj! Od słowa do słowa przystąpili do odtwarzania zbrodniczych czynności z takim zapałem, że obydwójce z Wiesiem zaniepokoiłiśmy się, czy grono nieboszczyków nie powiększy nam się zbyt szybko. Leszek dusił Janusza moim własnym szalikiem, przy czym, będąc niższy od niego, zarzucał mu go nie na szyję, a na oczy, wykazując tym całkowitą nieudolność morderczą, natomiast zdenerwowany nieudanymi próbami Janusz zamiast zgodnie z zapowiedzią odwrócić się i lunąć go w pysk, zaczął go również dusić. Wreszcie zreflektowali się i poniechali tych wysiłków. - Rzeczywiście - przyznał niechętnie Leszek, rozcierając szyję.

- To jak on to zrobił? Bo z tego widać, że równie dobrze mógł zostać uduszony morderca. - A może to właśnie tak było? - zainteresował się Wiesio. - Może to Tadeusz kogoś dusił, a skończyło się odwrotnie? Omówiliśmy problem pokrótce, nie wgłębiając się weń zbyt, bo trudno było snuć jakieś przypuszczenia przy samych niewiadomych. Wszystko tu było dziwne i musieliśmy się z tym pogodzić. - Panowie, wracamy do tematu! Ilu mamy razem podejrzanych? - Zdaje się, że większość. Obliczmy lepiej, ilu mamy niewinnych. Dokonaliśmy spisu pracowników, dzieląc ich na dwie grupy i stwierdziliśmy niezbitcie, że władze śledcze w naszym biurze będą zagrożone obłędem. Z dwudziestu czterech osób, obecnych w pracowni w chwili popełnienia zbrodni, podejrzanych mieliśmy trzynaście sztuk! - Trzynaście, feralna liczba - powiedział Wiesio z przejęciem. - Jak oni dojdą? Joanna, w tobie cała nadzieja, przecież już znalazłaś mordercę. Mówiłaś, że wiesz kto! Oczywiście, że wiedziałam, kogo przedtem wymyśliłam, ale postanowiłam za żadne skarby świata tego nie zdradzić. Zaczynałam odczuwać zabobonny lęk przed własną, przeklętą wyobraźnią. Przyszło mi na myśl, że, być może, publicznym snuciem swoich makabrycznych wizji wywarłam jakiś wpływ na tego kogoś, kto zabił Tadeusza. Może nosił się już wcześniej z tym zamiarem, ale nie wiedział, jak go zrealizować? Może to ja poddałam mu pomysł, zachęciłam go, sprowokowałam?... Gdyby nie moje idiotyczne pomysły, może nie byłoby tej zbrodni?... Poczulałam się bardzo nieswojo. Nie ma co ukrywać, jestem współwinna. Jeszcze tak niedawno Tadeusz był tu, w pokoju, rozmawiał z nami, pukał się palcem w czoło, słuchając naszych głupich dowcipów, a teraz leży martwy w sali konferencyjnej... Leży martwy, zamordowany przez kogoś, kto kilka godzin temu uczestniczył w radosnych wybrykach mojej imaginacji... A potem wprowadził je w czyn. Ktoś z nas, ktoś z tego całego sympatycznego, żywego zespołu... Kto???!... Patrzyłam na Leszka, Wiesia i Janusza, kłócących się zażarcie o metody duszenia, i żadnego z nich nie mogłam sobie wyobrazić w roli zbrodniarza. Nie, z nich żaden! A inni? Tamci z pozostałych pokoi? Ktoś to przecież zrobił!

Nie mogę teraz siedzieć jak pomnik na cokole i czekać miłosierdzia pańskiego, skoro sama to zabójstwo sprowokowałam. Trudno, wygłupiłam się i teraz muszę coś zrobić. Muszę wykryć mordercę, który znajduje się tu gdzieś, w promieniu kilkunastu metrów ode mnie, który jest człowiekiem dobrze mi znanym i który zabił innego, równie dobrze mi znanego człowieka... Pchnięta absolutną koniecznością natychmiastowego działania, niepomna nakazu władz śledczych, podniosłam się i nie zwracając już żadnej uwagi na tamtych trzech, wyszłam z pokoju. Zaraz za drzwiami natknęłam się na Alicję, która również złamała zakaz opuszczania miejsc pracy. - Napijesz się kawy? - spytała i dodała z ożywieniem: - Kacper zwariował. - Pewnie, że się napiję. Jak to zwariował? - Jeszcze jedną małą kawę! - krzyknęła Alicja w kierunku komórki z kuchenką. - Nie wiem właśnie, myślałam z początku, że jest pijany, ale nie. Wyjątkowo trzeźwy. Odmówił zeznań. Poczułam się głęboko przejęta i zainteresowana. - Żartujesz! Jak odmówił? - Przez cały czas milczał, aż ten facet zadał mu jakieś pytanie. Nawet nie dosłuchał do końca, tylko natychmiast oświadczył, że odmawia odpowiedzi. Płyta mu się zacięła i powtarzał to w kółko, niezależnie od potrzeb. Odmówił odpowiedzi nawet na pytanie, jak długo tu pracuje. Stanął mi w oczach obraz Kacpra patrzącego w okno i w milczeniu, z zaciętą twarzą, palącego papierosa za papierosem. Zaczęło mi się robić nieprzyjemnie. W czasie zachodzących później wydarzeń często robiło mi się nieprzyjemnie, ale teraz to było pierwszy raz i jeszcze do tego nie przywykłam. Polecenie pozostawania na swoich miejscach złamali już prawie wszyscy, w przedpokoju administracji nie było ani Wiesi, ani Jadwigi. Za to pętali się tam ustawicznie milicjanci, przeprowadzający jakieś tajemnicze badania, a z sali konferencyjnej błyskał flesz, widoczny w chwili otwierania drzwi. Ulokowałyśmy się z kawą przy stole Jadwigi, bo przedstawiciele prawa przeszkadzali nam znacznie mniej niż nasi współpracownicy. - Myślę, że on kogoś kryje - powiedziała Alicja, kiwając głową w zamyśleniu. - Nie przepuszczam, żeby to on, ostatecznie znam go dwadzieścia lat... Jeśli kryje, to jedno z dwojga: albo ją, albo jego. - Monikę albo Kajtkę? A jego samego wykluczasz? - Wykluczać nie wykluczam, Kacper jest zdolny do wszystkiego. Ale nie wydaje mi się... Alicji się mogło nie wydawać, ale Kacper był istotnie zdolny do wszystkiego. Szarpała nim tragiczna sprzeczność między duszą a ciałem. Ciało miało 49 lat, dusza - 20. Dusza czyniła go człowiekiem gwałtownym, nieobliczalnym, skłonny do imponujących uczuć... No dobrze, ale przecież nie do Tadeusza! Tadeusza ani nie kochał, ani nie nienawidził, chodził z nim wprawdzie na wódkę, ale to nie powód do zabójstwa! Alicja zrelacjonowała mi przebieg śledztwa w ich pokoju. Na dobrą sprawę wygłupili się wszyscy. Zapytany o jakiś drobiazg Kazio zaczął wygłaszać niezrozumiałe i sprzeczne zdania na temat korzystania z różnych aparatów telefonicznych na terenie pracowni. Nikt nie mógł pojąć, o co mu chodzi, aż się wreszcie okazało, że w ten dziwny sposób usiłuje wytłumaczyć swoją nieobecność w pokoju. Zagmatwał wszystko doszczętnie, po czym stanowczo odmówił pokazania zawartości swoich szuflad. Nikt na razie nie chciał tych szuflad oglądać, ale na takie dictum kapitan natychmiast nabrał na to ochoty i zajrzawszy tam wbrew protestom Kazia znalazł siedem pustych butelek po wysokoprocentowym alkoholu, bardzo ładnie poukładanych. Rozbudzony już Ryszard ni z tego, ni z owego wpadł w furję i wykrzyczał do zdumionego kapitana, że nie pozwoli na zrujnowanie sobie życia przez byle durnia. W pierwszej chwili nie wiadomo było, kogo ma na myśli, ale dalsze okrzyki wykazały, że chodziło mu o nieboszczyka Tadeusza. Można to było zrozumieć w ten sposób, że go właśnie usunął ze świata w celu uniknięcia tej ruiny życia. Dalej oświadczył gromko, że wyjedzie, żeby nie wiem co, wtedy, kiedy będzie chciał i to z dzieckiem, co dla niewtajemniczonego kapitana musiało brzmieć mało zrozumiale. - Co to ma do rzeczy? - spytałam z niesmakiem, bo te dziwactwa mąciły mi tok myślenia. - Co ma wspólnego morderstwo z jego wyjazdem? - Pewnie nic, ale ta mania już go widocznie tak opętała, że dostaje fijoła. Teraz wyjeżdża w przyszłym miesiącu. Ryszard od czterech lat wyjeżdżał na Bliski Wschód przez Polservice. Uważał to za swoją jedyną szansę życiową i jedyny cel, któremu podporządkował całą teraźniejszość, traktowaną lekceważąco. Żył daleką przyszłością i cudownymi mirażami, na co dzień nie posiadając nawet własnych narzędzi pracy, bo mu się

to, w związku z wyjazdem, nie opłacało. W ową cudowną podróż zamierzał zabrać uwielbianą córkę, którą zatrzymał przy sobie, rozwiódłszy się z żoną. - Zawracanie głowy - powiedziałam z gniewem. - Tadeusz mu przeszkadzał wyjechać czy co? Niech się przestanie wygłupiać, bo zrobi tylko jeszcze większe zamieszanie. - Niech się przestanie - zgodziła się Alicja i ciągnęła relację. W czasie nieobecności kapitana, już we własnym zakresie, tak samo jak my, stwierdzili, że każdy z nich wychodził z pokoju na dłużej lub krócej. Najgorzej wpadła Anka, która swoją nieobecność tłumaczyła poprawianiem garderoby w damskim WC-cie. Sądząc z ilości czasu, jaki na to zużyła, musiałyby się kilkakrotnie przebierać w balowe suknie i gorsety. Bardzo mnie to zdziwiło. - Co ty powiesz, Anka? A myśmy ją uznali za niewinną!

- My też. A kogo podejrzewacie?

- Pół pracowni. Razem z Anką będzie czternaście osób. A najgorsze jest to, że to całe morderstwo w ogóle nam się wydaje niemożliwe... Z różnych stron podeszły równocześnie Anka i Monika, przerywając nam rozważania. Monika asystowała przed chwilą rozmowie kapitana z Matyldą i była pełna ponurych przeczuć. - Słuchajcie, Matylda goni w piętke. Trzyma kurczowo książkę wychodków i zamiast odpowiadać na pytania, co chwilę podtyka mu ją pod nos. Upiera się, że tam jest napisana sama prawda. - No to w ten sposób ich wykończy. Jarka nie było, a w książce się nie zapisał i teraz nie wie, do czego ma się przyznać. - Co ją napadło? Przecież narobi dodatkowo bałaganu...

- Zdaje się, że dla niej najgorszym ciosem jest zużytkowanie sali konferencyjnej niezgodnie z przeznaczeniem. Zbrodnia jest indywidualna... - Gdyby była masowa, toby się z tym łatwiej pogodziła?

- Piętnastu nieboszczyków? Zbiorowa śmierć uczestników konferencji? - Jasne, miejsce po temu stosowne...

- Jedna rzecz mnie ciekawi... - powiedziała Alicja, ale nie dokończyła zdania, bo zza drzwi wyjrzał bardzo zdenerwowany Kazio. - Alicja, pozwól na chwilę... Wróciła Jadwiga, więc opuściliśmy jej stół i przeniosliśmy się pod drzwi mojego pokoju, przyglądając się poczynaniom milicjantów, których ilość dziwnie wzrosła. Myślę, że musieliśmy im chyba wszyscy nieco przeszkadzać, bo patrzyli na nas z wyraźnym wstrętem. Jadwiga miała nowe wiadomości.

- Przyjechał prokurator - powiedziała tajemniczo. - Jest w gabinecie i magluje Witka. Młody i cholernie przystojny. O, to ten!... Wszystkie trzy spojrzaliśmy z zainteresowaniem na wchodzących do przedpokoju facetów, bo słowo "prokurator" zawsze brzmi gromko w uszach każdego, nawet najbardziej niewinnego obywatela. Spojrzaliśmy - i oko nam zbielało! Razem z porucznikiem w mundurze i znanym nam już kapitanem wszedł jeszcze jeden, wysoki, szczupły, czarny, z niebieskimi oczami, w czarnych spodniach i czarnej koszuli. Pomimo intensywności kolorów nie miał w sobie nic agresywnego, był łagodnie piękny. Nieznaczną asymetrię twarzy dodawała mu wdzięku i sprawiała, że ta zbytnia łagodność była jednak męska. A przy tym miał niebieski ślad po goleniu. Stałyśmy akurat pod przeciwległymi drzwiami, wprost na widoku, wszystkie trzy jakoś wyjątkowo porządnie uczesane, wszystkie niewątpliwie interesujące, i co najważniejsze, każda inna. Czarna, ognista, dysponująca pełnią kształtów Monika, szczupła, jasnowłosa, zielonooka Anka, no i ja, coś pośredniego między nimi, ale też nie taka ostatnia. Prokurator spojrzął i chociaż oblicze jego wyrazu nie zmieniło, to jednak w oczach zapłonął mu blask, dobrze mi znany. Nie było wątpliwości, stuprocentowy mężczyzna! - O, cholera... - szepnęła Monika z głębokim uznaniem.

Trzej panowie zajrzeli na chwilę do sali konferencyjnej, a potem skierowali się do ostatniego pokoju, aktualnie pustego, bo Monika stała z nami, a Olgierd siedział u Witka w gabinecie. Patrzyłyśmy za nimi w milczeniu, wstrząśnięte nieprzeciętną urodą prokuratora. - No? - powiedziała Jadwiga z triumfem. - Nie mówiłam?

- Ho, ho - powiedziała Anka, co można było rozmaicie zrozumieć. I po chwili dodała z powątpiewaniem: - On jest chyba nietypowy? Trwałam wraz z nimi w kontemplacji, aż nagle tknęła mnie wspianiała, odkrywcza myśl. Zostawiłam je i na palcach weszłam do damskiego WC-tu. Każde biuro ma swoje tajemnice. W damskim WC-cie było takie miejsce koło umywalni, w którym można było usłyszeć każdy szmer w pokoju głównego księgowego, pod warunkiem zajęcia pozycji w kucki albo na czworakach. Przypadkowo wiedziałyśmy o tym tylko we dwie z Alicją, odkrywszy

ten sekret, kiedy Alicji rozerwały się korale. Zastygłam teraz w tym mało reprezentacyjnym miejscu i równie mało reprezentacyjnej pozycji i słuchałam... Kapitan, którego poznałam po głosie, kończył właśnie opisywać szczegóły zbrodni i topografię biura, przy czym udało mi się usłyszeć wyjaśnienie najbardziej niezrozumiałego drobiazgu. Dowiedziałam się, że Tadeusz został ogłuszony od tyłu twardym przedmiotem, ostrożnie opuszczony na podłogę, a następnie doduszony owym nieszczęsnym paskiem. Twardym przedmiotem okazał się nasz służbowy dziurkacz, jedyny przedmiot w sali konferencyjnej, na którym nie znaleziono żadnych odcisków palców... - Niech pan weźmie pod uwagę - mówił kapitan - że został uderzony dość lekko, tak, że uległ prawdopodobnie tylko chwilowemu zamroczeniu. Skóra na głowie jest wprawdzie przecięta, ale kość nienaruszona. Ta zbrodnia została zainscenizowana w określony sposób. Z jakichś powodów mordercy zależało na tym, żeby to wyglądało dokładnie tak, jak było pierwotnie przewidywane... Zamarłam na czworakach pod tą umywalnią i zimny dreszcz przeleciał mi po krzyżu. W świetle jego wypowiedzi sama sobie wydałam się najbardziej podejrzana. Panowie w sąsiedztwie rozmawiali dalej, więc usunęłam na bok te niemiłe myśli i skupiłam się, żeby nic nie stracić. - .. Kto tego ostatni używał?

- Jeszcze nie wiem, musimy to sprawdzić... Pokiwałam sobie głową, melancholijnie i ze współczuciem. Badanie na temat, kto ostatni używał dziurkacza, mogłoby w naszej pracowni potrwać do sądnego dnia. W normalnych warunkach, nie wiadomo dlaczego, nikt się nigdy nie chciał przyznać do używania żadnej z ustawicznie potrzebnych rzeczy, a jeszcze teraz, po zbrodni?... Wyprą się, jak amen w pacierzu! Kapitan mówił dalej, wzbudzając we mnie coraz większe zainteresowanie:

- Wśród rzeczy, znalezionych przy denacie, znajdowało się to!... W pokoju głównego księgowego zapanowała na chwilę cisza, a potem któryś z panów gwizdnął przeciągle. Opanowała mnie szaleńcza ciekawość. Co, na miły Bóg, takiego mogli znaleźć przy Tadeuszu?!... Trzej panowie ciągle jeszcze milczeli.

- Ciekawe... - mruknął wreszcie któryś. - Ho, ho...

- Trzeba to dokładnie przestudiować, znakomity punkt zaczepienia... O mało nie oszalałam w tym WC-cie. Dałabym nie wiem co, żeby tam bodaj na chwilę zajrzeć! Niesłychanie przejęta słuchałam dalej, jak trzej panowie komentują wypowiedzi Marka na temat "dlaczego akurat Stolarek?" i biorą pod uwagę możliwość pomyłki co do osoby ofiary, jak postanawiają sprawdzić, czy nie chodziło o rzucenie podejrzeń specjalnie na mnie i jak oceniają naszą psychikę na podstawie obrazu Leszka. - .. Musi pan to koniecznie zobaczyć - powiedział kapitan. Potem usłyszałam nieżyczliwe zdanie o Jarku, który wyraźnie coś kręci z obecnością w biurze, i wreszcie prokurator, którego głos już odróżniałam, powiedział: - No trudno, panowie, musimy postąpić trochę niezgodnie z procedurą. Zaczynamy przesłuchanie na miejscu. Jeżeli ich wypuścimy do domu, to przepadło, niczego się nie dowiemy. Zajmiemy gabinet i tę salę konferencyjną, jak tylko wyniosą zwłoki... Nie dowiedziawszy się w rezultacie, co za osobliwość znaleziono przy Tadeuszu, wyszłam z WC-tu, głęboko zaintrygowana. W środkowym pokoju panował nastrój niemal towarzyski. Liczne zgromadzenie komentowało poczynania władz śledczych i omawiało metody znalezienia mordercy. Alicja proponowała sprowadzenie osła z ubłoconym brzuchem celem zastosowania znanego, arabskiego sposobu. - Po co? - zaprotestował Kazio. - Nie wystarczy ci osłów na miejscu? - Wystarczy, ale żaden nie da sobie ubłocić brzucha... Propozycje padały rozmaite i zupełnie nierealne. Zbyszek odwrócił się do mnie. - Pani Joanno, chciałem panią przeprosić.

- Za co?!

- Za to, co mówiłem. Niech mi pani wybaczy, byłem cholernie zdenerwowany. - Panie Zbyszku, po pierwsze dobrze pan wie, że mam do pana słabość i wszystko panu przebaczę, a po drugie nie przesadzajmy. Wszyscy byli zdenerwowani i wszyscy mówili różne głupstwa. - Ale ja rzucałem na panią podejrzenia.

- Drobiazg. Jeżeli to ma ulżyć pańskiemu sumieniu, to również chętnie rzucę na pana podejrzenie. Chce pan? - Nie, dziękuję pani, już lepiej nie. Wolę sumienie...

- Z tej wypowiedzi można wnosić, że jesteś gorsza od wyrzutów sumienia - powiedział uprzejmie Marek. Siedział przy małym stoliku, pił kawę i z filozoficzną rezygnacją palił papierosa. - Czy nie orientujecie się, jak długo będą nas trzymali w tym przymusowym zamknięciu? - A, właśnie! -przypomniałam



sobie. - Coś ty najlepszego narobił? Dałeś im do zrozumienia, że nastąpiła pomyłka w wyborze ofiary... - Czyżbyś sama była innego zdania?

- Nie wiem, nie omawiałam tego z mordercą. Na razie szukają wrogów Tadeusza, ale lada chwila zaczną szukać wrogów Witka. - Bez trudu skompletują sobie piękną kolekcję. Nie mówiąc o tym, że nie dałbym głowy za niewinność kierownika pracowni. Albo głównego księgowego. Z racji zajmowanych stanowisk są to dla mnie osoby najbardziej podejrzane. Quo usque tandem?... - Aż znajdą złoczyńcę - odparłam. - W naszym własnym interesie leży dać się jak najszybciej złapać. Aha, Alicja, co cię tak ciekawi? - Zaraz - powiedziała Alicja. - Panie Zbyszku, co właściwie oznaczały, te dziwne okrzyki Stefana? To on zabił Stolarkę? - Przeciwnie - odparł Zbyszek z westchnieniem. - Pożyczył mu pieniędzy... - Jak to? - wyrwało się Kaziowi. - On też?!...

- Ach - powiedziała Alicja i gwizdnęła przeciągle. Spojrzałyśmy na siebie z nagłym zrozumieniem. - Zdaje się, że czegoś tu nie pojmuję - powiedział Marek z łagodnym zainteresowaniem. - Mam wrażenie, że ostatnio wyrosły w pracowni różne tajemnice. Może byście tak uchyliły rąbka?... Albo nie, to już lepiej po śledztwie, niedobrze jest wiedzieć za dużo. Na razie nie zwracaliśmy na niego uwagi. Alicja wyglądała, jakby zaczęło jej się coś kłuć w głowie, więc przyglądałam się jej z zaciekawieniem. Prawdopodobnie ja wyglądałam tak samo, bo istotnie też mi się zaczęło coś kłuć i ona również przyglądała mi się z nie mniejszym zainteresowaniem. - No? - powiedziałam niecierpliwie.

- Właśnie - odparła Alicja. - Wiesz co? Marek jest po pierwsze inteligentny, a po drugie niewinny. Omówmy z nim ten temat... Ostatnio zachodziły w pracowni pewne wydarzenia, w zasadzie drobne, nie rzucające się w oczy, ale w świetle zbrodni nabierające monumentalnych rozmiarów. Okrzyk Kazia ukazał nam nagle niejako ich drugie oblicze. Prawie wszyscy współpracownicy mieli z nieboszczykiem konszachty finansowe i to po większej części niezupełnie legalne. Tylko że to jakoś dziwnie wyglądało. Nikt nie był nic winien Tadeuszowi, za to Tadeusz był winien wszystkim. Gdyby zginął wierzyciel, można by przypuszczać, że zamordowano go zbiorowo w celu uniknięcia konieczności oddawania pieniędzy, ale tu zginął dłużnik. Gdzie kto widział, żeby wierzyciele zabijali dłużnika?! Informację o pożyczaniu Tadeuszowi pieniędzy Marek powitał najwyższym zdumieniem. - Czekałcie - powiedział. - Zaczynam się czuć nieco oszołomiony. Nie przypuszczałem, że stan finansowy pracowni przedstawia się aż tak optymistycznie! - Ale co ty mówisz, jakie optymistycznie! Myślisz, że to były nasze własne pieniądze? - A czyje?!

- Różnie. Nielegalnie zdobywane i to najczęściej właśnie przy pomocy świętej pamięci nieboszczyka. Stefan pożyczał pieniądze z kasy Rady Zakładowej. Włodek forszę jednego faceta, który wystawił rachunek na jego nazwisko ze względu na Urząd Skarbowy... - Duży błąd...

- Pewnie, bo Włodek jest i tak źle widziany w Urzędzie Skarbowym. Kajtek zrobił szalenie skomplikowaną kombinację. Wziął od Włodka skuter na raty, spytał kogoś za gotówkę i tę gotówkę wepchnął w Tadeusza. A najśmieszniejsze jest to, że Włodek wziął ten skuter też na raty i jeszcze nie ma prawa go przerejestrować... - Cóż za gniazdo przestępców!...

- Właśnie, jak sam słyszałeś, Kazio też... Parę osób żyrowało mu różne rzeczy i teraz za to twardo płacą. - Czy to był jakiś nowy rodzaj filantropii? - zainteresował się Marek. - Może dałoby się to dalej stosować? Chętnie bym go zastąpił. Zaczynam dochodzić do wniosku, że denat był człowiekiem genialnym... To kto właściwie mu nie pożyczał? - Ty - powiedziałam do Alicji. - Ja! - krzyknęła Alicja z irytacją. - Akurat! Okazuje się, że ja też. Pożyczyłam tysiąc złotych Wiesi, a ona je natychmiast oddała Stolarkowi. Potem przyszła i powiedziała, że on mi odda... - Zaraz - przerwał Marek z coraz większym zainteresowaniem. - A on te pieniądze oddawał? - Rzadko, niechętnie i w nikłym stopniu.

- Zdumiewające. No, teraz nie odda na pewno. Czekałcie, pozwólcie mi pomyśleć...

- Widzisz, mówiłam, że on jest inteligentny! - ucieszyła się Alicja. Marek przyglądał nam się przez chwilę w zamyśleniu. - Wygląda na to, że należy szukać tego kogoś jednego, komu nieboszczyk nic nie był winien. Jeżeli taki istnieje... - Istnieje, Witold - powiedziałam. - Jest na urlopie, wraca jutro... - Odpada. Nikt więcej?

- Chyba nikt... Może jeszcze Matylda.

- Na własne oczy widziałam, jak pożyczyla mu dwadzieścia złotych! - To raczej niedużo, nie zabiła go przecież chyba, żeby uniknąć dalszych pożyczek. A właściwie dlaczego mu pożyczaliście? - Ja bezwiednie - powiedziała melancholijnie Alicja, - Wiem, dlaczego ja - "powiedziałam równocześnie. - Ale nie wiem, dlaczego inni. Może to były wspólne interesy? - Takie dziwnie jednostronne? Niemożliwe, w tym coś musi być... Cała pracownia pożyczła pieniądze facetowi, który ich nie oddaje... A dlaczego ty? - Popełniłam przestępstwo przy współudziale Tadeusza - odparłam z westchnieniem. - Teraz się będę gimnastykować, żeby to ukryć przed milicją... W tym miejscu nam przerwano, bo zostałam wezwana na przesłuchanie. Widocznie ostatnią uwagę uczyniłam w złej godzinie. Kto wie, do jakich rezultatów doszlibyśmy, gdybyśmy dłużej toczyli tę wstępną konferencję, jak się bowiem później okazało, byliśmy na bardzo dobrej drodze. Do mety było wprawdzie daleko, ale wystartowaliśmy z bezbłędnym wyczuciem... Trzej panowie, kapitan, prokurator i sierżant MO urzędowali w gabinecie. Sierżant siedział przy maszynie Matyldy i uwieczniał padające wypowiedzi. Zaczęli oczywiście znów od moich porannych imaginacji. Opowiadając jeszcze raz szczegółowo wszystkie fikcyjne i rzeczywiste wydarzenia przyglądałam się im i mimo woli zaczęłam sobie snuć liczne refleksje. Jak też muszą się czuć w tej głupiej sytuacji? Na terenie małej, nietypowej pracowni, gdzie wśród żytych ze sobą i znających się nawzajem jak łyse konie ludzi popełniono nietypowe morderstwo... Ostatecznie zabójstwa pracowników państwowych nie występują chyba w naszych biurach nagminnie. A jeśli już, to należałoby raczej oczekiwać, że ofiarą będzie jakiś dyrektor albo może ktoś z kontroli, a nie zwyczajny instalator sanitarny. Mało, natychmiast po przybyciu na miejsce dowiedzieli się, że zbrodnia została uprzednio zaplanowana i publicznie omówiona przez liczne grono osób. Co mogli sobie o tym pomyśleć normalni ludzie, jakimi bez wątplenia są pracownicy władz śledczych? Zaraz na wstępie natknęli się na nasze rozmaite dziwactwa i stanęli w obliczu najtrudniejszej dla siebie sytuacji: nieboszczyk i dwudziestu podejrzanych. Dwadzieścia osób, z których każda miała szansę go zabić, a żadna właściwie nie miała powodu. Albo też każda mogła mieć powód... Zorientowali się już niewątpliwie, że śmierć Tadeusza przyczyni nam mnóstwa zmartwień i kłopotów... A korzyść? Czy znajdą kogoś, komu ta śmierć przyniosła jakąś korzyść? Co teraz zrobią? Będą badać nasze prywatne życie, sprawdzać alibi?... Jakim sposobem znajdą sprawcę? I kto z nas, do diabła, jest tym sprawcą?!... Wypełniła mnie paląca ciekawość i gorące pragnienie znalezienia się chociaż na chwilę na ich miejscu, po ich stronie. Gnębiona tymi uczuciami przyjrzałam się pięknemu prokuratorowi. Rzeczywiście, istny wybryk natury! Kto to widział, żeby prokurator tak wyglądał! Może by go poderwać i tą drogą uzyskać jakieś możliwości uczestniczenia w śledztwie? Już niejeden mężczyzna wygłupił się dla kobiety... Nie, nic z tego, tak nieprzyzwoicie przystojny facet jest z pewnością odporny na damskie umizgi, nie warto nawet próbować... Wybryk natury, siedzący na skraju biurka Witka, przerwał mi moje rozmyślenia, zmuszając do skupienia. - Niech nam pani wyliczy szczególnie wszystkie rozmowy telefoniczne, prowadzone w waszym pokoju... Od rana. Poczulałam lekki niepokój. Rozmowy telefoniczne? Święci pańscy, przecież sama wymyśliłam poprzednio, że Tadeusz został wywołany do sali konferencyjnej telefonem! Czyżby i to było prawdą?... Było prawdą! Z dalszych pytań pojęłam niezbicie, że o dwunastej trzydzieści pięć przeklęty telefon wywabił ofiarę z pokoju, usuwając ją zarazem definitywnie z pola widzenia, pozostałych przy życiu współpracowników. Na domiar złego wyraźnie było widoczne, że podejrzewają mnie o jego autorstwo. - Nie, proszę panów - powiedziałam kategorycznie. - Przyjmijcie do wiadomości raz na zawsze: poza wymyśleniem wszystkiego wstępnie nie kiwnęłam palcem w tej sprawie. Nie ruszyłam się z miejsca. Siedzę w pokojuz trzema facetami, którzy wprawdzie wychodzili, ale pojedynczo. Nigdy wszyscy razem! Jeden siedzi przede mną, jeden za mną, a jeden obok mnie. Przynajmniej dwóch musi mnie widzieć. Czy świadectwo dwóch osób wam wystarczy? - Na razie jeszcze nie mamy tego świadectwa - mruknął kapitan. Pomyślałem sobie, że jeżeli ten cymbał, Leszek, w przypływie poczucia humoru oświadczy, że nie zwracał na mnie uwagi i że nie zauważyłby, nawet gdybym stała na głowie, to nie pozostanie mi nic innego, jak tylko udowodnić, że nie miałam powodu. To znaczy przyznać się do

przestępstwa! Przesłuchanie zaczęło się robić coraz bardziej interesujące i nieco zagadkowe. Pytania o reakcję i poczynania wszystkich obecnych, o prywatne kontakty i powiązania z nieboszczykiem były zrozumiałe. Jasne, że usiłują znaleźć jakiś rozsądny motyw, słusznie powatpiewając, że go ktoś zabił za opóźnienie projektu. Zrozumiałe jest też, że badają nasze alibi, starając się wreszcie kogoś wyeliminować, bo dwadzieścia sztuk zbrodniarzy to stanowczo za dużo, nawet dla ludzi otrzaskanych z przestępstwami. Ale stopniowo zaczęły padać pytania zdumiewająco celne! Tajemniczym sposobem kojarzyli ze sobą różne sprawy i osoby, trafiając w sam środek tarczy. Łączyli Kacpra z Moniką, Włodką z pewną panią, dziwnie dużo wiedzieli o dodatkowych zarobkach Kazia, o interesach Kajtka i Jarka... Skąd? Kto, u diabła, mógł im o tym powiedzieć? Byłam mniej więcej zorientowana, co usłyszeli w czasie wstępnego badania personelu w poszczególnych pokojach. Nikt się nie rozwodził nad prywatnymi sprawami. Przede mną odpowiadał w gabinecie tylko Janusz, ale Janusz nie mógł ich o tym poinformować z tego prostego powodu, że sam wiedział mniej niż oni. Żadnych badań poza terenem pracowni nie zdążyli jeszcze przeprowadzić, więc co, u licha? Niesą przecież jasnowidzący? Tak mnie to zaintrygowało, że zapomniałam o ostrożności, odpowiadając na pytania szczegółowo i z wielkim przejęciem, kiedy nagle padły słowa, które zabrzmiały mi w uszach nadzwyczaj niemile: - A pani? Czy nie prowadziła pani przypadkiem jakichś interesów finansowych z zamordowanym? Trafiona celnym strzałem milczałam, udając, że sobie przypominam, bo nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wiedzą czy nie?... Skąd wiedzą?!...

- Czy nie zaciągała pani przypadkiem jakiejś pożyczki? - spytał z jadowitą uprzejmością prokurator. - Od denata? - Albo może wspólnie z denatem?... Trwałam w rozterce i nadal w milczeniu. Z jednej strony nie miałam najmniejszej ochoty stawiać przed sądem w charakterze oskarżonej o przestępstwo natury finansowej, a z drugiej owo przestępstwo zdejmowało ze mnie podejrzenie o zamordowanie Tadeusza. Nie miałam pojęcia, co wybrać. Uznałam, że jeśli wiedzą, to i tak mi nic nie pomoże, a jeśli nie, to zawsze jeszcze zdążę się wyprzeć, więc tym bardziej na razie milczałam. - Dziękujemy pani - powiedział nagle prokurator i zanim zdążyłam oprzytomnieć, przesłuchanie okazało się skończone. Podpisałam kilometrowy maszynopis sierżanta i wyszłam z gabinetu głęboko zaniepokojona. "Przede mną pytali tylko Janusza, który znał moje interesy z Tadeuszem. Janusz im powiedział?... Niemożliwe! - Janusz, coś ty im nagadał? - spytałam, siadając przy swoim stole. - Sprawdzaliśmy szyje, czy ktoś nie ma śladów duszenia - odparł Janusz. - Wyobraź sobie, wszyscy mają czyste! Jakaś mania mycia, czy co? - Zostaw szyje...-przerwałam.

- Ale kartki zginęły - przerwał mi z kolei Wiesio. - Pytałem wszystkich i nikt się nie przyznaje. Ciekawe, co się z nimi stało. - Zeszły same z tablicy ogłoszeń i ze zmartwienia utopiły się w wychodku - powiedziałam z gniewem. - Przestańcie się wygłupiać! Słuchaj no ty, odpowiadaj natychmiast, dlaczego mnie wsypałeś? - Ja cię wsypałem? - oburzył się Janusz. - No wiesz! Bronilem cię jak idiota! Wstrętem mnie już ogarniał, ale musiałem cię uniewinniać. Zaświadczyłem, że nie widziałem, żebyś wychodziła z pokoju i dusiła Tadeusza, za to jak sam wychodziłem, to mnie głupio spytałaś, ile jest sześć minus dziewięć. - A, to rzeczywiście świetny dowód mojej niewinności! A coś im mówił o moich machlojkach z Tadeuszem? O tych pięciu patykach? - Nic, jak Boga kocham! Zwariowałaś? Za kogo mnie" masz?! - W ogóle cię o to nie pytali?

- Pytali, co nie mieli pytać. Powiedziałem, że nic nie wiem. Tadeusz, owszem, przychodził do pokoju, wszyscy przychodzili, rozmawiali z tobą prywatnie i służbowo, ale o czym, to ja nie wiem. Nie przysłuchiwałem się. - No to skąd wiedzą, do diabła?! - Jak to? Wiedzą?!...

- Wiedzą. Przypomnij sobie dokładnie, może ci się coś wyrwało? - No przecież nie jestem pijany! Przysięgam, że pary z gęby na ten temat nie puściłem! Wygłupiłem się za to zupełnie z czym innym... - Z czym? Janusz odwrócił się, pisnawszy kręconym krzesłem, sięgnął po papierosa i z zakłopotaniem popatrzył na płonąca zapałkę. - Skołowali mnie trochę. Najpierw wypierałem się tych wiadomości o tobie, potem dowiedziałem się od nich, że Kacper się rozwodzi, jak Boga kocham, nic o tym nie wiem, a potem mnie spytali, co miał prywatnie Witek do Tadeusza. Coś wreszcie musiałem wiedzieć i trochę to głupio wyszło, bo przyznałem się, że

ich razem widziałem, a do tej pory nie wiem, gdzie i kiedy to było. Zdaje się, że się plątałem w zeznaniach. - No to można ci pogratulować - powiedziałam zgryźliwie i zamyśliłam się. Więc z Januszem to samo co ze mną... Celne strzały w nasze prywatne życie. - Cholernie głodny jestem - oświadczył nagle Leszek z niezadowolaniem. - Wy nie? Nie zjedlibyście na przykład kurczaka? Z nadzionkiem? - Ten znów swoje zaczyna - powiedziałam gniewnie, wyrwana z zamyślenia, bo mnie zawsze denerwowały kulinarne marzenia Leszka. - Już pan nic innego nie ma w głowie, tylko kurczaki z nadzionkiem? - Jeszcze zajaczki... - wtrącił Wiesio. - A zwykłej kiełbasy nie łaska? - Nie ma kiełbasy - westchnął Leszek smutnie. - Jak byłem rano w sklepie, to był tylko pasztet. - Jaki pasztet? - zainteresował się Janusz. - W puszkach czy w tubach? - W słoiku i na wagę. - Pasztet w tubach? - spytał Wiesio z niedowierzaniem. - Gdzie ty widziałeś coś takiego? Sprzedała pasztet w tubach? - No pewnie i to bardzo dobry lepszy niż te inne. Sprzedawali, a jak teraz, to nie wiem. - Gdzie?! - Na Żoliborzu. Na placu po prawej stronie. - Co ty mówisz, gdzie plac ma prawą stronę? - A rzeczywiście. Czekał, jakby ci tu wytłumaczyć?.. - Zlokalizuj w stosunku do stron świata - zaproponowałam, bo też mnie zainteresował pasztet w tubach. - Jak stoisz twarzą do północy, to gdzie? - A gdzie jest północ? - zaciekawił się Janusz. - Na Bielanych. - Bielany są na wschodzie - Zaprotestował Wiesio. - Na Marymoncie. - Na jakim Marymoncie?! W Łomiankach! No, jak stoisz głową do Gdańska, do morza! - Aha, do Szwecji? - Tak, a tyłem do Krakowa. - Rozumiem - powiedział Janusz z wyraźną ulgą. - To po lewej. - Tam jest bardzo dużo sklepów spożywczych - powiedział Wiesio powoli i w zamyśleniu. - Chyba z pięć... - Ja to widziałem z miesiąc temu... - ciągnął Janusz, również popadając w zamyślenie. - Nie, więcej... - dodał Wiesio po chwili ciągle tym samym tonem, patrząc w okno niewidzącym spojrzeniem, Janusz się nagle do niego odwrócił. - Skąd ty wiesz, kiedy ja tam byłem? - spytał z urazą. - Chyba ja wiem lepiej? - Ja mówię, że więcej sklepów! - No to obejdz wszystkie - poradziłam mu i też się zamyśliłam, usiłując wrócić do tematu, z którego wytrącił mnie pasztet w tubach. Janusz się nagle znów odwrócił. - Złamałem się - oświadczył ze skruchą. - To było mniej niż miesiąc temu. Jak wyjeżdżał ten mój kumpel, Jugosłowianin, to razem kupowaliśmy ten pasztet... - Gdzie on mieszkał? - przerwał mu Wiesio. - .. w tubach - dodał rozpedzony Janusz. - W tubach mieszkał?! - Nie, w tubach kupował... Zniecierpliwili mnie tym wreszcie. - Na litość boską, przestańcie prowadzić tę idiotyczną rozmowę z opóźnionym zapłonem, bo nie mogę sobie przypomnieć, o co mi chodziło! - A, właśnie - ożywił się Janusz. - To nie tobie chodziło, tylko mnie. Teraz sobie właśnie uprzytomniłem, gdzie ja widziałem Witka z Tadeuszem. Właśnie na placu Wilsona przy tym pasztecie w tubach! - Odpowiedział Wiesio z umiarkowanym zainteresowaniem. - Też go kupowali? - Głodny jestem - powtórzył Leszek niecierpliwie. - Chyba spróbuję ich namówić, żeby mnie puścili do sklepu. - Jak cię puszcza, to kup dla wszystkich, może być ten pasztet... Zaprzątnięty bez reszty myślą o jedzeniu, Leszek wyszedł. Skupiliśmy się wszyscy troje przy stole Janusza, na nowo pogrążeni w śledczych rozważaniach. Witek był na ogół tajemniczy i nikt z nas nie przypuszczał, żeby go cokolwiek, poza biurem, miało łączyć z Tadeuszem. A Janusz widział ich razem późnym popołudniem... - Teraz już to sobie dokładnie przypominam, w, oczach mam ten widok. Stali obaj koło wozu Witka i Witek tak jakoś wyglądał, jakby chciał odejść, a Tadeusz go zatrzymywał. Mówił coś do niego. Witek był chyba zdenerwowany, chociaż po nim to nie bardzo widać... Ale tak mi się jakoś wydało. A potem się nagle odwrócił, jakby go piorun strzelił, popatrzył na Tadeusza i obaj wsiedli do samochodu... - A ciebie nie widzieli? - Nie, bo ja byłem w sklepie. Po ten pasztet... - Co mu takiego mógł powiedzieć?

- A cholera go wie. Od Witka się nie dowiesz, a od Tadeusza tym bardziej. - Słuchajcie, w tym coś musi być. Te gliny, tam w gabinecie, wiedzą, co robią. Przez cały czas doszukują się naszych prywatnych powiązań z nieboszczykiem i mam wrażenie, że w tym chcą znaleźć motyw zabójstwa... - No przecież bez powodu nikt go chyba nie udusił - powiedział Wiesio krytycznie. - Właśnie. Zastanówmy się szybko, czy był jakiś służbowy powód. - Dlaczego szybko?

- Bo na pewno nie było, zrzucimy to z głowy i będziemy się mogli skupić na prywatnych powodach. Po krótkich rozważaniach uznaliśmy niezbitcie, że z przyczyn służbowych raczej by go każdy chętnie wskrzesił. A prywatnie?... - No to bierzmy się za tego Witka. Co on mógł mieć prywatnie do Tadeusza? - Może... - powiedział Janusz i nie dokończył, bo z sąsiedniego pokoju dobiegł nas nagle potężny rumor i jakieś niezwykle hałasy. Bez namysłu zerwaliśmy się z miejsc i popędziliśmy tam, popychając się nawzajem. Widok, jaki ukazał się naszym oczom, był tak osobliwy, że na chwilę nas zamurowało. Na środku pokoju klęczał przed Moniką Kacper, całował ją po rękach i jęczał rozdzierająco: - Przebac! Przebac!... Monika, wyglądająca jak wcielenie furii, usiłowała wydrzeć mu ręce, a za nią stał Kajtek, -którego oblicze najwyraźniej w świetle wskazywało, że przed chwilą dostał w pysk. Źródłem największego hałasu był Stefan, wytrząsający pięściami nad głową skulonej na trójkątnym stołku, śmiertelnie zapłakanej Wiesi. Wytrząsał pięściami i zduszonym głosem wrzeszczał rozmaite niezbyt cenzuralne rzeczy, mające zapewne obrazować jego o niej opinię. Zdenerwowany Zbyszek usiłował go uspokajać, czyniąc to zarówno bezskutecznie, jak i bez przekonania. Wszystko to razem tworzyło zdumiewającą scenę, której przyglądaliśmy się w osłupieniu, wetknawszy głowy w drzwi. - Ho, ho - powiedział Wiesio z wyraźnym uznaniem. Tkwiący obok niego oniemiały Janusz nagle jakby się ocknął. - Spokój!!! - ryknął głosem niczym trąba jerychońska.

Całe zgromadzenie na moment zamarło i wytrzeszczyło na niego oczy. Przez kilka sekund ten żywy obraz trwał w bezruchu, aż Janusz, równie nieoczekiwanie, jak krzyknął, odwrócił się i uciekł. To spowodowało natychmiastową zmianę konfiguracji i dziwna scena uległa zakończeniu. - Co to było? - spytałam z szalonym zaciekawieniem, ale przyjrząwszy się im dokładniej, uznałam, że odpowiedzi mogę oczekiwać tylko od Alicji. Wszyscy inni najwyraźniej w świetle stracili przytomność umysłu. - Co tu było, na litość boską, natychmiast odpowiedz! - domagałam się usiłując ją oderwać od bliskiego apopleksji Stefana. - Jeszcze go szlag trafi - odparła Alicja z niepokojem. - Nie wiesz, czy tu ktoś nie ma kieliszka wódki? - Do tej pory?! nawet jeśli mieli, to z pewnością już dawno wypili. Daj mu trochę wody i niech głęboko oddycha.

- Po co ma głęboko oddychać? To pomaga?

- Nie, ale zajmie się tym i wściekłość mu przejdzie. Po krótkim namyśle, Alicja kiwnięciem głowy przyznała mi słusność. Zrezygnowałam na razie z uzyskania wyczerpujących informacji, przyniosłyśmy wody od razu w kilku szklankach i rozdałyśmy wszystkim obecnym, nie wyłączając Marka, który dopiero w tej chwili wszedł do pokoju. - Co to? - spytał z lekkim zdumieniem, podejrzliwie oglądając otrzymane naczynie. - Woda? Czy ja to muszę wypić? - Nie pij, jak nie chcesz, zostaw sobie na wszelki wypadek. Nie wiadomo, co tu jeszcze będzie. - Myślałem, że picie wody należy do specjalnego rytuału śledztwa, coś tak jak ten osioł z brzuchem... W pokoju wciąż jeszcze panowało potężne zamieszanie. Z największym trudem, po długich wysiłkach zdołałam się wreszcie dowiedzieć, o co chodzi, i to niedokładnie. Zaraz po mnie wezwali na egzamin Stefana, jako najbliższego współpracownika ofiary. Trzeba szczęścia, że wzywając go trafili akurat na chwilę, kiedy Wiesia publicznie oznajmiała rewelacyjne rzeczy. Oświadczyła mianowicie, że Tadeusza zabił Stefan z zazdrości o nią, a jako drugą wersję przyjęła popełnienie morderstwa przez Monikę, która jej zdaniem pragnęła ukryć w ten sposób fakt współżycia równocześnie z Kacprem i z Kajtkiem. W myśl wypowiedzi Wiesi Stolarek o tym wiedział i Monika w sposób radykalny zamknęła mu usta na wieki. Wiesia wygłaszała to wszystko, stojąc tyłem do drzwi w pokoju sanitarnych, a za nią stał pan kapitan, cierpliwie wysłuchujący jej oracji. Stefan nie zdążył zareagować na przemówienie Wiesi, bo został wepchnięty do gabinetu, ale natychmiast po wyjściu stamtąd powetował to sobie. Wynikiem piekielnej awantury, z którą wpadł do środkowego pokoju, gdzie schroniła się wystraszona Wiesia, była wspaniała furia Moniki i zdumiewający czyn Kacpra,

który ni z tego, ni z owego lunął w pysk swego potomka i padł na kolana przed Moniką z owym rozzwierającym krzykiem: "przebacz, przebacz". Tego już nikt nie mógł zrozumieć, a Kacper, przyszedłszy do siebie, odmówił jakichkolwiek wyjaśnień. Najmniej zdziwienia wzbudziło we mnie sponiewieranie Kajtka, bo znałam nieco oryginalne metody wychowawcze Kacpra. Tresował swoich synów, łagodnie mówiąc, staroświecko. Dorośli faceci całowali ojca w rękę i z pokorą przyjmowali iście szlacheckie lanie na kobiercu, co im nie przeszkadzało chodzić ze srogim rodzicem na wódkę. Całe biuro o tym wiedziało i wszyscy już do owych osobliwości przywykli. Natomiast nigdy dotychczas w tak dziwny sposób zdobytych wiadomości, bo tę właśnie chwilę władze śledcze wybrały na wyniesienie zwłok Tadeusza z sali konferencyjnej. Zaprzątnięte awanturą grono zapomniało niemal o zasadniczej przyczynie wszystkich wydarzeń, zwłaszcza że owa przyczyna ciągle jeszcze wydawała się nam kompletnym absurdem. Najbardziej zaprzyjaźnieni z Tadeuszem byli Jarek i Kajtek. Jarek, w oparach świeżo nadużytego alkoholu, miał spóźnione reakcje i fakt śmierci Stolarka jeszcze do niego w pełni nie dotarł, a Kajtek milczał. Milczał nawet wtedy, kiedy dostał od ojca w pysk. Reszta reagowała w zasadzie prawidłowo, to znaczy, uznawszy katastrofę za nieodwracalną, poniechała łamania rąk i zajmowała się sprawami żywych. Nieboszczyk jest jednak nieboszczykiem, toteż teraz nagle widok zwłok, przykrytych plastikową płachtą, wynoszonych na noszach, uczynił wstrząsające wrażenie. Zanim milicjanci zdołali się przedostać przez wąskie wyjście z sali, już cały personel zdążył zgromadzić się na korytarzu i z konieczności utworzyć długi szpaler. Żegnany grobowym milczeniem nagle ucichłych współpracowników po raz ostatni świętej pamięci Stolarek opuścił progi biura. - No i koniec - powiedział z goryczą Janusz. - Był człowiek, nie ma człowieka... Wszystkim nam się zrobiło na nowo nieprzyjemnie i staliśmy tak, milcząc, w tym szpalerze, chociaż za noszami już dawno zamknęły się drzwi. Nagle na środek wystąpił Włodek, ciągle bladzielony na twarzy. - Koleżanki i koledzy... - powiedział natchnionym głosem. - Nie! - krzyknęła Alicja. - Wszystko zniosę, ale nie przemówienie! Zabierzcie stąd tego bałwana!... - Daj spokój, Włodek-powiedział znękany Zbyszek.

- Przyszła chwila... - ciągnął Włodek z uporem, nie zwracając uwagi na protesty - która jest dla nas... dla nas... - Dla nieboszczyka tym bardziej - powiedział stanowczo Andrzej, wziął Włodka za ramię i wepchnął do pokoju. - Chwała Bogu - westchnęła z ulgą Alicja. - Co za praworządny kretyn! - Cóż chcesz, miał taką wyjątkową, wruszającą okazję. Trudno przypuszczać, że ktoś dla jego satysfakcji popełni następne morderstwo - powiedział Kazio, wruszając ramionami. Opuścił szpaler i wszedł do pokoju. To był krótki antrakt. Władze śledcze zwiększyły tempo, prowadząc przesłuchania w dwóch pomieszczeniach naraz i zanim się zdążyliśmy obejrzeć, na terenie pracowni zaczęły wybuchać dantejskie sceny. Zrezygnowałam z kojącej atmosfery naszego pokoju, bo nie mając czasu myśleć, usiłowałam przynajmniej możliwie dużo zobaczyć i usłyszeć. Obie z Alicją stanęłyśmy sobie w jedynym pustym miejscu, pod lustrem koło szatni. Jak się okazało, to był znakomity punkt obserwacyjny. Najpierw z sali konferencyjnej wypadł niesłychanie zdenerwowany Kazio, który dotychczas, poza bredniami wygłoszonymi na samym początku, zachowywał filozoficzny spokój. Natychmiast za drzwiami natknął się na nas. - Słuchajcie, co to znaczy? - krzyknął w okropnym wzburzeniu. - Kto im udzielał jakichś prywatnych informacji?! Przecież to jest skończone świństwo, co to kogo obchodzi, co robiłem przed miesiącem w delegacji?! Co to ma wspólnego z tą idiotyczną zbrodnią?! - Tylko spokój może nas uratować, panie Kazimierzu - powiedziałam łagodnie. - Niech pan zachowa zimną krew i niech pan powie, o co pana pytali? - O idiotyzmy! - huknął Kazio gromko. - O idiotyzmy!

- Dobrze, idiotyzmy - zgodziła się Alicja. - Sprecyzuj te idiotyzmy. Bardzo daleki od zimnej krwi Kazio mętnie streścił zainteresowania przedstawicieli praworządności. Zrozumialiśmy z tego, że jego hulaszczy tryb życia na delegacjach budził ich poważne zastrzeżenia. - Pytali mnie, czy pamiętam tę blondynkę z Monopolu we Wrocławiu - mówił Kazio, ciągle wzburzony, ale na to wspomnienie jakby nieco łagodniejąc. - No pewnie, że pamiętam, dlaczego mam nie pamiętać, miała takie nogi, że wstyd byłoby zapomnieć. Kto wie, czy nie lepsze

niż pani, pani Joanno... No nie, może nie lepsze, ale takie same. - Dziękuję panu, panie Kazimierzu - powiedziałam z uczuciem. - Zostaw na razie jej nogi i mów dalej. Co ma blondynka do Tadeusza? - A bo ja wiem? O to samo ich spytałem. Potem mnie pytali, z czyich pieniędzy płaciłem rachunek, coś podobnego! A potem się przyczepili do takiej jednej sprawy, która przyschła już dawno temu, prowadziłem kiedyś taką jedną budowę i miałem kłopoty z materiałami... Skąd oni to wywlekli? A potem znów zaczęli o jednej brunetce z Jeleniej Góry, przyznając, że miała biust jak Lollo-brigida, ale co to ma do rzeczy? - To ja nic nie wiedziałam, że ty jesteś taki Casanovą - powiedziała Alicja z wyraźnym zaciekawieniem. Kazio machnął gniewnie ręką, ale twarz mu się zaczęła rozjaśniać. - Tylko tego brakuje, żeby to doszło do Alinki - mruknął trochę niespokojnie. Przyglądałam mu się w zamyśleniu, bo coś mglistego zaczęło mi się snuć po głowie. - Kto wtedy jeździł z panem w delegację? - spytałam nagle w natchnieniu. - Niech pan sobie przypomni. - Kto jeździł? Zaraz... We Wrocławiu był Włodek i Stefan. A w Jeleniej Górze?... Zaraz, zaraz... Raz był Włodek i Kacper, a raz Tadeusz i też Kacper. - A niech pan sobie jeszcze przypomni, czy przypadkiem we Wrocławiu Włodek się nie zalecał do tej blondynki? - A owszem, zalecał się, a skąd pani" wie?

- Taka jestem jasnowidząca... Niech się pan nie martwi, jeśli pan nie zabił Tadeusza, to panu nic nie będzie. - Kto go mógł zabić, jak myślicie? - spytał Kazio, mimo woli rzucając okiem do lustra. - Jeszcze nie wiemy, ale jak będziemy wiedziały, to ci powiemy - zapewniła go Alicja. Kazio przestał patrzeć w lustro. - Ja bym tylko chciał wiedzieć, co za świnią doniosła o tym wszystkim milicji. Niech ja go w ręce dostanę!... Tknięty nagle jakąś myślą, na nowo zdenerwowany porzucił nas i popędził do pokoju. Za chwilę dobiegły nas stamtąd gniewne okrzyki. - Co podejrzewasz? - spytała z zaciekawieniem Alicja. - Dlaczego go pytałaś o tamtych? Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, bo z drugiego przedpokoju wybiegła Danka, czerwona na twarzy, z rozwianym włosiem i ze łzami w oczach. Zmierzała do umywalni, ale po drodze trafiła na nas. - To świnią! - krzyknęła, głęboko rozżalona. - Ostatnia świnią!... - Co za urodzaj na nierogaciznę? - powiedziała zdumiona Alicja. - Istny chlew, a nie biuro... Nie mniej wzburzona niż Kazio Danka wykrzyczała do nas mnóstwo kalumnii na Jarka, który, jej zdaniem, poinformował władze śledcze o jej zupełnie, prywatnych sprawach. Drobnym fakcie, że Jarek jeszcze nie był przesłuchiwany jakoś uszedł jej uwadze. Coś mglistego zaczęło mi się snuć po głowie coraz wyraźniej. Pełne gorczy wyburzenia Danki przerwało jej spojrzenie w lustro. - Jezus, Maria! - krzyknęła i zniknęła w umywalni.

- Zaczyna mnie to ciekawić - powiedziała Alicja. - To co podejrzewasz? - Zaraz ci powiem, tylko powiedz przedtem, co cię ciekawi? - Jak to co, twoje podejrzenia?...

- Nie, przedtem mówiłaś, że jedna rzecz cię ciekawi. Co za rzecz? - A właśnie... - Idę do sklepu z eskortą - przerwał nam przechodzący Leszek. - Co pani kupić? - Wszystko jedno - odparłam w roztargnieniu, zajęta Alicją. - Chleba i pasztetu. - Mnie też! I paczkę Żeglarzy...

- No co cię ciekawi, do diabła?! W tym momencie w środkowym pokoju rozległ się potężny ryk. Tym razem przedstawienie robił Ryszard. - Mnie tu nikt nie będzie szantażował! - wrzeszczał, waląc w stół oprawionym w twarde okładki projektem wstępnym ośrodka campingowego. - Ja się szantażować nie pozwolę! Nie pozwolę!! Dość tego!!! - Bzdura! - wrzeszczał Zbyszek, usiłując go przekrzyczeć. - Pan cierpi na manię prześladowczą! - I jeden, i drugi! - darł się Ryszard nie słuchając. - Obaj nawzajem siebie warcili!... - Oszalał - powiedziała Alicja z dezaprobatą i stanowczym ruchem wyjęła mu z ręki wstępny projekt ośrodka campingowego. Ryszard, nie zwróciwszy na to żadnej uwagi, wypowiadał się dalej grzmiącym głosem.

- Co mu się stało? - spytałam z zaciekawieniem.

- Drobną różnicą zdań na temat metod działania w, stosunkach służbowych - wyjaśnił Marek uprzejmie. - Szczerze mówiąc nic z tego nie rozumiem. - Za to ja rozumiem - oświadczyła Alicja spokojnie.

- Chodź stąd, on robi stanowczo za dużo hałasu. Wszystko ci wyjaśnię. Stanawszy znów na posterunku pod lustrem poczułam się nieco skołowana. Co się dzieje w tym biurze, na litość boską? Istne trzęsienie ziemi! - Przez przedpokój przeszła

nagle Monika jak chmura gradowa, minęła nas bez słowa i zniknęła w swoim pokoju. Popatrzyłyśmy za nią i spojrzałyśmy na siebie. - Mów - zażądałam stanowczo. - Jeżeli jeszcze raz nam ktoś przeszkodzi, popełnię następne morderstwo. Tu się różne rzeczy wykrywają i to stanowczo za szybko. Nie mogę za nimi nadażyć, pomiesza mi się wszystko i w rezultacie zamiast znaleźć zbrodniarza, dostanę fijoła. Mów najpierw, co cię ciekawi. - Czekał - odparła Alicja i wykorzystując bliskość lustra wydłubała sobie z oka rzęsę. - Zaczynam się czuć oszołomiona. We mnie też się budzą dziwne podejrzenia - odwróciła się i popatrzyła na mnie trochę niepewnie. - Nigdy w życiu nie wierzyłam w duchy, ale teraz mam nieodparte wrażenie, że oni rozmawiali z nieboszczykiem... Kiwnęłam głową, bo natychmiast ją zrozumiałam. To było właśnie to, co mi się tak mgliście tłukło po głowie. Oczywiście konwersacja z nieboszczykiem była wykluczona, ale w tym tkwiło sedno rzeczy. - Skup się - powiedziałam uroczyście. - przed nami długa nocna rodaków rozmowa. W trzech zdaniach tego nie załatwimy, zacznijmy w porządku chronologicznym. Co cię od początku ciekawi? - Może byśmy gdzieś usiadły? - powiedziała Alicja. - Nie umiem rozmawiać na stojąco. - Nie ma gdzie, wszędzie koniec świata. Jutro usiądziesz. - No trudno, słuchaj. Wyobraź sobie, byłam w wychodku jeszcze przed śmiercią... - Teraz jesteś już po śmierci?... - Tadeusza!... Nie wygłupiaj się, tylko słuchaj. Miałam zamiar umyć ręce, ale zrezygnowałam z tego, bo -z pokoju Olgierda dochodziły niezwykle odgłosy. Zupełnie zaskakujące. - Olgierd się zalecał do Moniki? - Przeciwnie... - Co przeciwnie? Odpychał ją ze wstrętem? - Głupiaś. Przestań mi przerywać. Tam był Zbyszek z jakąś babką. Przemawiał do niej strasznie czule. Poczulałam się tym głęboko poruszona. - Co mówił? - Czekał, żebym nie przekręciła. Mówił: "Kiziu, nie martw się, ja to załatwię. Wszystko będzie dobrze, nikt się nie dowie"... A potem jeszcze kilka razy powtórzył "moje kochanie" z przerwami... - Moje kochanie z przerwami? Co to jest? - Nie kochanie z przerwami, tylko czynił przerwy. Między jednym kochaniem a drugim. Mało hałaśliwe, ale zupełnie jednoznaczne, nigdy w życiu nie czyniłaś takich przerw? - Co? A owszem, czyniłam... - No właśnie... Nie masz pojęcia, jak mnie to zdziwiło, bo kto? Zbyszek? Ten wzór cnót?! I cholernie mnie ciekawi, która to była. W pierwszej chwili myślałam, że Monika, ale po pierwsze nie mogłam sobie zestawić Moniki z tą Kizią, a po drugie okazało się, że Monika cały czas siedziała u Witka w gabinecie razem z Olgierdem. Jak myślisz, która to? Nic nie mówiłam, bo w ogóle nie potrzebowałam myśleć. Wiedziałam, która, równie dobrze, jak i to, że Alicja podejrzewa mnie. Pokręciłam głową. - Nie ja, wbrew twoim przypuszczeniom. Moje kontakty ze Zbyskiem należą do przeszłości, a zresztą nigdy nie weszły w stadium czułego szeptania. A w każdym razie nie na terenie pracowni. To bardzo interesująca wiadomość... - Co teraz? - spytała Alicja, bo długą chwilę milczałam, usiłując jakoś uporządkować sobie klepki. Nie bardzo mi to wychodziło, zwłaszcza że panujące dookoła zamieszanie zupełnie nie sprzyjało myśleniu. - Będę do ciebie mówiła - powiedziałam stanowczo. - Ty słuchaj i wtrącaj się w stosownych chwilach. Może coś z tego wyniknie... Ciebie jeszcze nie egzaminowali? - Nie. - To dobrze. Mnie już. I mam nieodparte wrażenie, że jeżeli tylko trochę pomyślę, to już będę wszystko wiedziała. Co za męczące uczucie!... Słuchaj, oni wiedzą o nas dziwnie dużo, znacznie więcej niż my sami. To piekło, które się tu rozpętało, znakomicie o tym świadczy. Można byłoby przypuszczać, że wszyscy sypią się nawzajem, ale ktoś musiałby zacząć pierwszy. Tymczasem pierwszy był Janusz, który nic nie wie o sprawach Danki, Kacpra, Moniki... Wiedział tylko o mnie, przysięgał, że nic o mnie nie powiedział, i ja mu wierzę. Potem byłam ja i z całą stanowczością stwierdzam, że oni okazali się lepiej poinformowani. Skąd?... - Właśnie dlatego mam to idiotyczne wrażenie, że rozmawiali z nieboszczykiem - odparła Alicja z niesmakiem i lekkim zakłopotaniem. - Obawiam się, że masz bardzo dobre wrażenie. Spróbuj sprecyzować, skąd ci się to bierze i od kiedy się zaczęło. - Wrażenie mi się od kiedy?... - Wrażenie ci się. No!...



- Mam wrażenie, że chyba przez Kacpra... Wiem na pewno, że Kacper po pijanemu szlochał w kamizelkę Stolarkowi na temat swoich uczuć do Moniki. Do mnie zresztą też szlochał... - Czekaj! - przerwałam. - Już jestem na prostej drodze! Kto wiedział najwięcej o Dance? Jarek! A Jarek poszedł dopiero teraz. Potrafisz policzyć, ile razy Jarek był ze Stolarkiem na wódce? - A muszę liczyć?... - zaniepokoiła się Alicja.

- Nie, niekoniecznie. Danka nie powiedziała, Jarek jeszcze nie zdążył. Kto znał moje machinacje finansowe z Tadeuszem? Wiesio, Janusz i ja. No i Tadeusz. Janusz nie powiedział, ja nie powiedziałam, Wiesio nie powiedział... - Skąd wiesz, że Wiesio?...

- Nie rozmawiał z nimi jeszcze wtedy... To kto zostaje? Ostatnia osoba: nieboszczyk! Dobrze, dobrze, wiem, że to nonsens, ale w tym jest coś... No, włączaj się! - Czekaj - powiedziała Alicja, marszcząc brwi. - Rzeczywiście... Czy nie znaleźli przypadkiem czegoś wśród rzeczy Tadeusza? W tym momencie spłynęło na mnie olśnienie, które powinno było spłynąć już dawno. - Alicja, jesteś genialna! - powiedziałam uroczyście i z zachwytem. - Jesteś ósmym cudem świata! - Co ty powiesz - zdziwiła się uprzejmie Alicja i patrzyła na mnie pytająco. Tadeusz miał notes. Wielki, zielony notes, cały zapisany, doskonale mi znany, ponieważ prowadził w nim między innymi rachunki ze mną. Cóż innego mogły oznaczać podsłuchane przeze mnie słowa: "trzeba to dokładnie przestudiować...", jak nie znalezienie przez milicję tego notesu?! - No dobrze - powiedziała Alicja z powątpiewaniem. - Ale nie prowadził chyba w tym notesie pamiętnika, dotyczącego spraw współpracowników? - Pozwól mi się skupić, bo znów mi się coś rysuje. Kojarzą mi się z tym takie dziwne podejrzenia... Zawahałam się nieco, bo podejrzenia były bardzo niemiłe, i ciągnęłam dalej: - Wiedział o różnych osobach same kompromitujące rzeczy. Kazio... ten Kazio wyjaśnia najwięcej... I te krzyki Ryszarda... Bo właściwie dlaczego mu wszyscy pożyczali?... Przez chwilę obie trwałyśmy nieruchomo, wybałuszając na siebie oczy, aż Alicja gwizdnęła głośno i przeciągle. - Pozwól, że ci się odwzajemnię - powiedziała z kurtuazją. - Jesteś genialna! Po dobrej godzinie intensywnych rozważań ostatecznie zdrętwiały nam nogi. Dokonałyśmy pod tym lustrem olśniewającej pracy myślowej i widać nasze napięcie nieco osłabło, bo stan nóg zaczął nam rzutować na stan umysłu. - To znaczy, że ten, co miał więcej, to miał więcej - powiedziała Alicja, rozglądając się beznadziejnie dookoła. - Na litość boską usiadźmy! Ja już dłużej nie mogę! - Usiadziemy pod warunkiem, że na siedząco będziesz dalej myśleć - oświadczyłam kategorycznie, chociaż sama wcale nie czułam się lepiej. - Na siedząco będę wszystko! - przysięgła Alicja. - Na razie przestaję rozumieć w ogóle, co do mnie mówisz. Wobec tego przestałam do niej mówić. Zanim jednak zdążyliśmy się rozstać, do przedpokoju wpadła Matylda. - Pan Włodek zasłabł! - krzyknęła w zdenerwowaniu. - Gdzie pani Glebowa, ona ma krople Waleriana! - Krople? - zdziwiła się Alicja niemrawo. - Po co! Na niego świetnie działa woda z kwiatków. Wieść o nędznym samopoczuciu Włodka sprawiła, że nagle odzyskałam wigor zarówno w nogach, jak i w głowie. Na tle wszystkiego, co zrozumiałam i czego się zdołałam domyślić, jego zasłabnięcie wydało mi się szczytem obrzydliwości. Mamrocząc głośno pod nosem popędziłam do pokoju sanitarnych, a Alicja po krótkim wahaniu popędziła za mną.

Włodek siedział na krześle, oparty o ścianę, jeszcze bardziej zielony niż dotychczas, reszta obecnych była wyraźnie wzburzona, a Andrzej z filozoficznym spokojem wachlował go rzutem zagospodarowania terenu. Spojrzawszy na rzut, stwierdziłam, że to jest moje osiedle, wyjęłam mu to z ręki i zwróciłam się jak furia do mdlejącej ofiary.

- Teraz to mdlejesz, tak? - powiedziałam jadowicie. - Ale o blondynce z Monopolu głodne kawałki wstawiać, to miałaś siłę? Oprzytomnij, niedojdo, bo jak mi Bóg miły, strzelę cię w ten bezmyślny pysk! Matylda wydała z siebie okrzyk zgrozy, a Włodek nagle otworzył oczy. - Zostaw mnie, więdźmo - wyszeptał słabo. - Czego chcesz? - Chodziłeś z nieboszczykiem na wódkę?

- Chodziłem! No to co? Nie wolno mi chodzić na wódkę? Jak z nim chodziłem, to jeszcze był żywy! - Zwierzyłeś mu się ze swoich sukcesów z blondynką z Monopolu, z brunetką z Jeleniej Góry, z rudą z Zalesia, z tą Manillą, czy jak jej tam, z Zakopanego...?! - Z Manuela! - wrzasnął Włodek, odzyskując nagle siły ku zdumieniu obecnych. - Odczep się! Co cię to obchodzi?! Zignorowałam go i

odwróciłam się do Alicji, która natychmiast po wejściu do pokoju pośpiesznie usiadła na najbliższym krześle. - Widzisz? - powiedziałam, pełna rozgoryczenia. - Nie mówiłam? Alicja bez słowa pokiwała głową. Wszystko się nam znakomicie zgadzało. Włodek, jedyny projektant-elektryk naszej pracowni, jeździł na prawie wszystkie delegacje z projektantami innych branż. Na delegacjach czynili sobie nawzajem niezliczone zwierzenia rozmaitej natury. Wszystkie te zwierzenia Włodek przekazywał potem Tadeuszowi pod wpływem alkoholu, przy czym, na skutek jego kompleksu niższości na tle płci pięknej, wszelkie kontakty jego współkolegów z przedstawicielkami tejże płci w różnych miastach Polski ulegały w jego umyśle jakiemś dziwnemu odwróceniu i opowiadał o nich jako o swoich sukcesach. Tadeusz go znał, wiedział, co o tym myśleć i, wsadzając go na tego konia, mógł od niego wyciągnąć informacje, jakie sobie tylko życzył. Włodek był źródłem wiedzy o Kaziu, Stefanie i jeszcze kilku innych osobach, źródłem, które mogło obficie zasilić zielony notes Tadeusza. Teraz urządzał przedstawienie w obawie nie o tamtych zdradzonych, a o sobie. W rozpędzie naopowiadał Tadeuszowi bredni na temat pewnej pani, która istotnie pałała do niego niestosownym sentymentem, zwiedziona zapewne szlachetnym wyrazem jego pięknych, niewinnych, błękitnych oczu. Ów sentyment był dla niego źródłem ustawicznej rozterki, z jednej bowiem strony pęczniał z dumy, a z drugiej zieleniał ze zgryzoty, gnębiony panicznym lękiem przed żoną. Ktoś nieświadomy prawdziwego stanu rzeczy rzeczywiście mógłby go posądzić o zgładzenie Tadeusza, człowieka, który groził, że Zdradzi żonie jego sekrety. O tym ostatnim upewnił mnie Andrzej., - Czy pani wie, o co oni mnie pytali? - powiedział, z narastającym zainteresowaniem przyglądając się zielonemu Włódkowi. - Skąd mam wiedzieć?

- Czy to prawda, że Tadeusz pokłócił się z Włódkiem parę dni temu, jak powiedział, że ho, ho, ho, on tylko wspomni żonie! - Panie Andrzeju, już i pan zaczyna gadać o rzeczy? Kto powiedział, czyjej żonie? - Tadeusz. Żonie Włódka. O jakimś spotkaniu z kobietą o zmroku. - A rzeczywiście tak było? Kłócili się? - Jeszcze jak! Ale powiedziałem, że nie bardzo pamiętam, bo to tak głupio wyszło... Włodek odmówił wtedy postawienia pół litra. No nie, tego już sobie nieboszczyk nie zapisywał!

- Kto im o tym mógł powiedzieć? - spytałam mimo woli, patrząc na Alicję, która bezradnie wzruszyła ramionami. - Ja - oznajmiła nagle Matylda wyzywająco i z determinacją. - Jak mnie pytają, to mówię prawdę. Ja tu nie mam nic do ukrywania. Pytali mnie, czy Stolarek się tu z kimś nie kłócił, więc powiedziałam. Panowie się tak awanturowali, że w całym biurze było słyhać! Na chwilę wszyscy zamilkli, z podziwem i zgrozą patrząc na niezłomną duchem Matyldę. Nawet Włodek, który przedtem zerwał się z krzesła i łamiąc ręce biegł po pokoju, zatrzymał się i wytrzeszczył na nią oczy. - I będę mówić prawdę! - oświadczyła Matylda z jeszcze większą determinacją, przerywając tym zapadła na krótko ciszę i wywołując ożywione i urozmaicone reakcje. - Co zrobić, Boże, co zrobić! - jęczał Włodek, na nowo zzieleniał. - Powiesić się - poradziłam mu gniewnie i jadowicie. - Wrobiłeś pół pracowni, a teraz jęczysz w obliczu dożywocia. Ale nie martw się, zabiłeś go w afekcie, dadzą ci najniższy wymiar kary... - Na miejsca!!! - ryknął nagle potężnie Janusz, wtykając głowę do pokoju. Ten wstrząs akustyczny przerwał dramatyczną scenę. - Czego ryczysz? - powiedział z niesmakiem Andrzej - Tu wszyscy nerwowi... - Na jakie miejsca? - zaciekała się Alicja.

- Pracy! Wszyscy na miejsca pracy! Polecenie władzy ludowej. Jazda, rozbiegać się! Joanna, do domu! Tego, chciałem powiedzieć, do pokoju! Zanim dotarłam do siebie, zboczyłam jeszcze pośpiesznie i zajrzałam do Moniki. Siedziała w swoim pokoju, patrząc w okno i paląc papierosa, zupełnie jak przedtem Kacper. Odwróciła się i spojrzała na mnie. - Wyjdź stąd - powiedziała lodowatym głosem. - Wyjdź stąd, bo ja zaraz kogoś zabiję. Wolałabym, żebyś to nie była ty. Pomyślałam sobie, że wobec tego będzie to chyba Olgierd, który też musi wrócić na swoje miejsce przy boku Moniki. Wycofałam się bez słowa, pełna całkowitego zrozumienia, i spełniłam polecenie władzy, tak grzmiąco przekazywane przez Janusza. Zamierzałam wreszcie trochę spokojnie pomyśleć. Konferencja pod lustrem wydała owoce. Obie z Alicją doszłyśmy wspólnym wysiłkiem do olśniewających rezultatów. Tak się szczęśliwie złożyło, że pod kątem widzenia naszych bardziej lub mniej ścisłych przyjacielskich powiązań pracownia dzieliła się dla nas na

trzy części. Jedna z tych części była lepiej znana Alicji, druga mnie, a trzecia mniej znana nam obu. O tej trzeciej części wiedziałyśmy niewiele, ale dostatecznie dużo, żeby sobie wszystko, co trzeba, wydedukować. W świetle naszych dedukcji postać świętej pamięci nieboszczyka zaczynała wyglądać mało świetlanie. Kto wie, czy nie gorzej niż nie znana nam postać jego żyjącego zabójcy... Ale nawet przy najlepszych chęciach stosowania się do zasady "de mortuis nil, nisi bene" pewnych rzeczy nie dało się ukryć. Stwierdziłyśmy niezbicie, że Tadeusz był znakomicie poinformowany o wszystkich czynach większości współpracowników. Wiedział o drobnych kłopotach Kazia. Zdarzało się bowiem niekiedy, że na drodze do podnoszenia stopy życiowej Kazio napotykał kłody, które umiał z dużym talentem omijać. Oczywiście daleki był przy tym od ławy oskarżonych, ale za to bardzo bliski utracenia nieskazitelnej opinii, która jako biegłemu sądowemu była mu bardzo potrzebna. Wiedział o beznadziejnej miłości Kacpra do Moniki i znał nastawienie żony Kacpra do owego niestosownego uczucia. Zdegustowana małżonka zagroziła Kacprowi podziałem mienia, do niej po większej części należącego, jeżeli się natychmiast nie odczepi od tej hetery. Kacper przysiągł, że się odczepi, i następnego dnia tę przysięgę złamał. Wiedział o powiązaniach opętanego myślą o wyjeździe Ryszarda z Polserviceem. Wiedział, że to właśnie Ryszard był osobą, która pewnego razu uczyniła kilka nietaktownych uwag do kogoś wysoko postawionego i te kilka uwag spowodowało w Polservicee potężne zamieszanie. Gdyby lekkomyślność Ryszarda została rozgłoszona, mógłby się na wieki pożegnać z nadzieją wyjazdu. Znał mnóstwo najzupełniej prywatnych spraw Moniki, Danki, Kajtka, Stefana, Wiesi i innych osób, nie mówiąc już o moich. Znał też nasze wszystkie wewnętrzne machlojki służbowe, godzące wprost w Witka i Olgierda. Niewątpliwie posiadał oprócz tego wiele wiadomości, które nam nie przysły do głowy i których na razie nie umiałyśmy się domyślić. Jedno tylko było pewne: każda z tych informacji mogła komuś zaszkodzić. Drugą stroną medalu stanowiły długi Tadeusza.

Wszystkim osobom, o których tak wiele wiedział, był winien pieniądze, pieniędzy nie oddawał, a jego długi wzrastały. Dlaczego, wobec tego, pożyczano mu nadal? Wytłumaczenie znalazłyśmy tylko jedno i to podbudowane szczegółowymi wiadomościami, jakie "miałyśmy o dwóch trzecich personelu. Poinformowani o jego uświadomieniu delikwenci woleli na wszelki wypadek być z nim w zgodzie i żywić głupią nadzieję, że, być może, to są istotnie pożyczki, które Tadeusz kiedyś odda... W ostatecznym wyniku konwersacji, toczonej przed lustrem, uzyskałyśmy jedną, niezbłą pewność: Tadeusza zabił ktoś, komu rozległa wiedza nieboszczyka groziła największym niebezpieczeństwem! Następnym posunięciem, jakiego postanowiłyśmy dokonać, miało być dyplomatyczne wybadanie współpracowników i uzyskanie w ten sposób danych, kto mógł być tym kimś. O kim Tadeusz wiedział najgorsze rzeczy? Co ktoś z nich popełnił takiego, o czym jeszcze nie wiemy, a co jest dla niego sprawą życia i śmierci, bezwzględnie wymagającą zachowania tajemnicy? Im więcej miał ktoś na sumieniu, tym więcej miał powodów do zabójstwa. To właśnie miała na myśli Alicja, czyniąc swoją dziwną uwagę w chwili, kiedy ostatecznie zdrętwiały nam nogi. Z dużym niesmakiem i lekkim żalem myślałam sobie, że minęły już piękne czasy średniowiecza, kiedy ustawicznie ktoś kogoś truł, bo tamten ktoś wiedział za dużo, kiedy wszystkie czyny były otaczane mrocznymi tajemnicami, kiedy w rozmaitych miejscach znajdowano zakute w kajdany kościotrupy i na każdym kroku można się było spodziewać zamaskowanego osobnika ze sztyletem. Minęły czasy zamurowywanych w wieży wiarołomnych żon i uśmiercanych pod osłoną nocy nieprawych potomków. Gdzie nam teraz, w dzisiejszych, prozaicznych czasach, do tamtego ponurego romantyzmu?!... Kto z pracowników państwowych hoduje na dnie serca jakieś śmiercionośne tajemnice? Nonsens!... A jednak Tadeusz zginął...

Wiem o tych wszystkich ludziach bardzo dużo. Tadeusz niewątpliwie wiedział więcej. Trzeba się wobec tego zastanowić na bazie posiadanych wiadomości, komu i czym groziła nadmierna reklama. Komu, w jaki sposób i w jakim stopniu mogła zaszkodzić?... Atmosfera w biurze nie sprzyjała myśleniu. Ustawicznie coś się gdzieś działo, na wszystko trzeba było zwracać uwagę, a teraz znów zanosilo się na coś interesującego. - O co chodzi? - spytałam, siadając przy stole i czując coś w rodzaju wdzięczności dla milicji, że wreszcie mnie do tego zmusili. - Dlaczego nam kazali wrócić na miejsca? - Nie wiem, pewnie coś wymyślili - odparł

Janusz, zajęty Leszkiem, który wrócił właśnie z miasta po dokonaniu zakupów. Zrobili szybkie rozliczenie finansowe i Leszek rozłożył swój posiłek na stole nieobecnego Witolda. Kupił sobie potwornej wielkości wędzoną rybę, bardzo tłustą, i teraz przyglądał się jej w podziw. - Jak myślicie, co to jest? Nie dorsz i nie flądra...

- Płastuga - oświadczył Janusz autorytatywnie.

- Coś ty? Płastuga i flądra to jedno i to samo. Chcesz kawałek? - Wcale nie jedno ito samo. Chcę, daj mi tu, na bułkę... - Tak na sucho mamy jeść? - spytałam z niesmakiem. - Herbaty też sobie nie można zrobić?

- O herbacie nie mówili, kazali siedzieć... Wiesiek, w dechę rybą, spróbuj! Leszkowi ryba mogła wystarczyć na tydzień, więc dzielił się nią bez oporów, opowiadając przy tym o swojej wyprawie do sklepu z eskortą, z której był niesłychanie dumny. - Jak żyję, jeszcze mnie taki zaszczyt nie spotkał. Mówię wam, wszyscy ludzie na mnie patrzyli. A on ze mnie oka nie spuszczał. Od dzisiaj chodzę do sklepu tylko z okazji morderstwa.... Wiesio z bułką w ręku przecisnął się na balkon. Stół Witolda stał tak, że drzwi balkonowych nie można było całkowicie otworzyć i przedostawanie się przez nie było możliwe tylko dla osób szczupłych. Do pokoju wszedł Witek. Podeszedł do stołu Janusza, popatrzył na niego w zamyśleniu i zaczął coś mówić. Janusz przestał ruszać szczękami, żeby go nie zagłuszać, bo Witek miał dziwne upodobanie do mówienia szeptem, a w stanie zdenerwowania mówił jeszcze ciszej niż zazwyczaj. Janusz słuchał z takim natężeniem, że poniechał nawet mrugania oczami. Leszek, pełen życzliwości do świata po świeżo przeżytych zaszczytach, podsunął w kierunku Witka papier z rybą.

- Panie inżynierze, świetna ryba, niech się pan poczęstuje. Proszę bardzo, tu jest kawałek bułki. Witek obejrzał się i spojrzał na rybę, usiłując ukryć obrzydzenie. - - Proszę, proszę - zachęcał Leszek. - Nie, dziękuję - odparł Witek znękanym głosem. - Ja, wie pan, w ogóle uważam jedzenie za czynność intymną. Zawsze wolę zjeść tak jakoś chyłkiem, żeby mnie nikt nie widział. Leszek zatrzymał się nagle w swoim odruchu gościnności i spojrzał na niego nieco skonsternowany. - No tak - powiedział niepewnie. - Istotnie, ja też tak uważam. Nawet już próbowałem jadać w WC-cie, ale to trochę niewygodnie... Witek chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozmyślił się, machnął ręką i wyszedł, demonstracyjnie cierpiąc. Wiesio wsunął się na powrót z balkonu z wyrazem bezgranicznego osłupienia na obliczu. - Co on powiedział? - spytał nieufnie. - On jada tyłkiem??? - Nie tyłkiem, tylko chyłkiem - poprawił go Leszek. - Słyszałeś przecież: w WC-cie, pod stołem, w szafie, różnie. Żeby go ludzie nie widzieli... - Nie wiecie, co on do mnie powiedział? - spytał Janusz, patrząc na nas ze zmarszczonymi brwiami. - Mówił coś do mnie i zdaje się, że chciał, żebym coś zrobił, ale co, to zabijcie mnie, nie wiem i Jak Boga kocham, nic nie zrozumiałem. - Co ty powiesz? - ucieszył się Leszek. - Ty też? Chwała Bogu! Bo wiecie, ja już naprawdę myślałem, że może jestem niedorozwinięty albo co. Jak on do mnie mówi, to każde słowo po kolei rozumiem, ale razem sensu za nic chwycić nie mogę. A żebyście wiedzieli, jak się staram! Janusz ponuro pokiwał głową.

- W tym chyba coś jest. On rzeczywiście mówi tak, jakby mu zależało, żeby tego przypadkiem ktoś nie pojął. I coraz z nim gorzej, to chyba ten stan cywilny tak na niego wpływa. Joanna zadanie bojowe dla ciebie: namów go, żeby się ożenił! - Lecę z mokrą ścierką, mało sobie nóg nie połamię. Żadnej dziewczynie na świecie tak źle nie życzę, żeby ją za niego za męża wydawać. - Co też pani mówi, chłopak jak brzytwa! - zawołał Leszek. - O rany, ość!... Sam bym się za niego wydał! Że mu tam te trochę włosów brakuje?... - Ja mu urody nie odmawiam, on jest nawet jeszcze piękniejszy, niż się wydaje. Widział go pan kiedy bez odzieży? - A pani widziała?! - zainteresował się Leszek tak gwałtownie, że o mało się nie udławił kawałkiem ryby. - Widziałam. Na Wiśle, na żaglówce. I na basenie. Żeby on miał taki charakter jak figurę, to ja bym mu własnoręcznie buty czyściła. - A żeby miał taką figurę jak charakter?... - Toby go pokazywali w klatce za pieniądze jako curiosum nie z tej ziemi... - Ty, daj jeszcze kawałek - powiedział Wiesio, pod-tykając Leszkowi kawałek pustej bułki. Posłuszni poleceniu władz siedzieliśmy na miejscach, wykorzystując ten czas na posilanie się i narzekając na brak herbaty. Zainteresowanie poczynaniami milicji, pierwotnie przygłuszone głodem, stopniowo wzrastało. Kapitan, który wkroczył do pokoju wraz z umundurowanym milicjantem, natychmiast skupił na sobie

naszą uwagę. Przyglądaliśmy się im z zaciekawieniem, a oni rozejrzeli się dookoła i ku naszemu nieopisanemu zdumieniu i żywej radości rozpoczęli piękną, dokładną, szczegółową rewizję. Zaczęli od pierwszej szafy z rysunkami, masochistycznie nie przyjmując zaofiarowanej sobie pomocy, w związku z czym podjęta przez nich praca urosła do rozmiarów herkulesowych czynów. W każdej z, płaskich szuflad znajdowało się co najmniej kilkanaście ciasno zwiniętych rulonów, długości blisko metra. W każdym rulonie było kilkanaście rysunków różnych formatów, niejednokrotnie ponadrywanych, z którymi trzeba się było delikatnie obchodzić, bo stanowiły bądź co bądź urzędowe dokumenty. I przy każdym ktoś z nas wydawał nerwowo okrzyk: - Ostrożnie! Dla sierżanta, pomagającego kapitanowi w tej gigantycznej robocie, był to wyraźnie dopust boży. Zwijał i rozwijał, ręce mu się trzęsły, arkusze mu wypadały, zwijało mu się krzywo, aż wreszcie nie wytrzymał nerwowo. - Obywatelu kapitanie, - powiedział z rozpaczą, ocierając pot z czoła - może jednak?... Kapitan poczuł widać przypływ miłosierdzia albo może doszedł do wniosku, że sierżant zostawiony sam sobie nie skończy grzebać w tych strzępach do sądnego dnia, bo spojrzął na nas. Wykorzystałam to natychmiast. - Niezależnie od tego, czego panowie szukają, teren za panami już jest niegroźny, prawda? To może panowie sobie będą szukać, a my będziemy zwijać, bo nam to jednak jest raczej potrzebne. Po krótkim wahaniu kapitan przyjął propozycję współpracy, dopuściwszy do łask tylko Wiesia i mnie. Zapewne dlatego, że siedzieliśmy najbliżej, i nie życzył sobie, żeby mu się zbyt dużo osób pętało na podejrzanym terenie. Wyraźnie jednak odnosił się do nas nieufnie, bo ani na chwilę nie spuszczał z nas oczu. Szukał niejako namacalnie, sięgając na oślep ręką do wybebeszonej szuflady, z czego wywnioskowaliśmy, że upragniony przedmiot musi być dość duży. Załatwiwszy szafy wewnątrz, postanowili zajrzeć na górę. Sami byliśmy ciekawi, co tam znajdą, bo wierzch szaf już od dawien dawna służył nam za magazyn odpadków. Sierżant zaczął od tego, że lekkomyślnie sięgnął i pociągnął za coś, co wystawało. Zanim zdążyliśmy krzyknąć: "Ostrożnie", zleciała mu na głowę stara makieta z gipsu, pilśni i patyków, a za nią góra odbitek nie wykorzystanego projektu typowego wszystkich branż. Kapitan z nieprzeniknionym wyrazem twarzy wlaź na krzesło, potem na jedną z szuflad i grzebał na owej górze własnoręcznie, co miało tylko ten skutek, że kiedy zszedł, rękawy jego marynarki wyglądały, jakby czyścił nimi bardzo zaniedbaną podłogę. Szukali metodycznie. Skończywszy z szafami zabrali się do naszych stołów, stojących najbliżej. - Zechce pani otworzyć szuflady - powiedział kapitan do mnie. Otworzyłam z radością wiedząc dobrze, że szuflady to jeszcze nic, bo pod stołem miałam przypięte - wielkie arkusze brystolu również wypełnione, czym tylko się dało. Z największą przyjemnością uprzyjemniłam im ten cały śmietnik, i tu wreszcie coś znaleźli. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na takie dziwne rzeczy, jak stary łańcuch od lampy, korki od butelek i karty do kabały, natomiast z ogromnym zainteresowaniem wyciągnęli bardzo brudny gałgan do wycierania tuszu i zgnieciony kawał papieru toaletowego. Zapakowali to do koperty i zaopatrzyli tajemniczym podpisem. Następnie trafili na stół Leszka, który cały czas siedział nad swoją rybą.

- Czyj to stół?

- Mój - odparł Leszek i podszedł do nich pośpiesznie. - Panowie sobie życzą? Proszę uprzejmie... Otworzył szuflady i na nieprzeniknionej dotychczas twarzy kapitana ukazał się jakiś dziwny wyraz. Zawartość pierwszej od góry była zupełnie nieoczekiwana. Po całym dniu rozmazane było stare, zjełczałe masło, po którym poniewierały się resztki zeschniętej na kość kiełbasy, kawałki nadgryzionych bułek i skórek od chleba, papierki po topionym serze i jeszcze kilka bliżej nie sprecyzowanych pozostałości po innych artykułach spożywczych. Wśród tego pobojuwiska turlał się beztrąsko słoik po musztardzie. Leszek stał, patrząc na to w zamyśleniu, i widać poczuł się zmuszony złożyć jakieś wyjaśnienie. - Zapasy - powiedział natchnionym głosem. - Na czarną godzinę. Przed pierwszym odczuwamy niekiedy pewne braki i wtedy jest jak znalazł. Kapitan przyjrzał mu się ciekawie i ruszył dalej. Wiesiowi zabrali kawałek starej skarpetki, zupełnie sztywny od tuszu, a Januszowi kołnierzyk od koszuli Kazia, który obsługiwał swoją garderobą całą pracownię. Kiedy z szuflady Witolda wyciągnęli mankiety i również zakopertowali, nie wytrzymałam i zgłosiłam protest. - Panowie, wy nas wykończycie! Przecież to są nasze narzędzia pracy!

Czym my będziemy piórka czyścić? - Wszystko państwo dostaną z powrotem - odparł zimno kapitan. Przeczesali pokój, zaglądając nawet do radioodbiornika, rozkruszyli na kawałki wielką kulę z plasteliny, która służyła Wiesiowi za tworzywo do makiet, obejrzelili zawartość koszy do śmieci i wreszcie wyszli na balkon. Do tej pory siedzieliśmy spokojnie i w milczeniu, przyglądając się z zainteresowaniem ich poczynaniom, ale teraz Wiesio się nagle ożywił. - Słuchajcie - zawołał z podnieceniem. - Oni odkrywają nasz wazon! To trzeba zobaczyć! - Rzeczywiście!... O rany!...

Z pośpiechem zerwaliśmy się z miejsc i rzuciliśmy w kierunku balkonu. Przepychając się nawzajem wytknęliśmy głowy na zewnątrz i wytrzeszczyliśmy oczy. Na balkonie stał ludowy wazon monstrualnych rozmiarów, który służył nam niejako za teren niezwykłego doświadczenia chemicznego. Od kilku miesięcy wrzucaliśmy tam różne rzeczy, z zaciekawieniem oczekując, co z tego wyniknie, i starannie przykrywając dzieło sztuki ładnie dopasowanym kawałkiem płyty pilśniowej. Wewnątrz było wszystko. Woda po kwiatkach, mleko, ogryzki od jabłek, zgniłe pomidory, niedopałki papierosów, resztki najrozmaitszych artykułów spożywczych, znacznie bardziej urozmaiconych niż w szufladzie Leszka, fusy od kawy, kawałki pilśni, nieco kiszonej kapusty i wiele innych rzeczy. Wiesio przyniósł kiedyś specjalnie do wazonu ugotowane kartofle, a Witold, zarażony naszym szaleństwem, poświęcił groch na ryby. Ja sama, nie mogąc wymyślić już nic gorszego, wrzuciłam tam surowe kości wieprzowe. Oprócz tego każdy kilkakrotnie napluł. Wszystko to czyniliśmy z nadzieją, że po stosownym upływie czasu w wazonie powstanie jakaś piorunująca mieszanina, która być może, nawet kiedyś wybuchnie. W razie nieuzyskania spodziewanego efektu mieliśmy zamiar jakoś zawartość ludowego naczynia wykorzystać, nie precyzując chwilowo sposobu tego wykorzystania. W każdym razie nastawieni byliśmy na coś potężnego, nie ulegało bowiem wątpliwości, że owa zawartość, wystawiona przez kilka miesięcy na działanie słońca, nieprzebieśnie się zaśmierdła. Już od wielu tygodni nikt nie miał odwagi podnieść przykrywy. Z szalonym zainteresowaniem patrzyliśmy teraz, jak funkcjonariusz MO sięgnął ręką do płyty pilśniowej. - Ostrożnie! - krzyknął mimo woli Leszek. Milicjant się zatrzymał i spojrzał na nas nieufnie. - Dlaczego?... - Nic, nic, niech pan sobie nie przeszkadza - powiedział Janusz. - Kolega jest trochę nerwowo.

- No! - ponaglił Wiesio niecierpliwie. Milicjant zawahał się, spojrzał na niewzruszonego kapitana, podniósł przykrywę, zajrzał do środka, wetknął patyk i zamieszał. Nic piękniejszego nie mogliśmy sobie wymarzyć. Wybuchnąć wprawdzie nie wybuchło, ale i tak efekt był nie do pogardzenia. W wazonie zakipiało i przez brzegi przelała się pienista, przeraźliwie śmierdząca ciecz, z której wyleciała wielka chmura muszek. Straszliwa woń dotarła nawet do nas, nie mówiąc o nieszczęsnym milicjancie, który rzucił się do tyłu z okrzykiem: - Rany boskie!... - po czym zatkawszy sobie nos twardo grzebał dalej. Kapitan przyglądał się temu, stojąc w przezornym oddaleniu. - Trzeba to wylać - powiedział stanowczo.

- Gdzie?!...

- Gdzieś koło śmietnika. Trudno, bierz pan.

- Zaraz, może przykryć...

Z wysiłkiem dźwignęli naczynie i zaczęli się przepychać przez drzwi. Pełni złych przeczuć cofnęliśmy się na swoje miejsca. W drzwiach było za ciasno nawet na człowieka samego nie mówiąc o człowieku, obciążonym kruchym i nieporęcznym ciężarem. Sierżant przepchnął się pierwszy, kapitan podtrzymywał wazon od strony balkonu, sierżant potknął się o deskę Witolda, usiłował chwycić wazon w objęcia i przycisnąć do łona, zaczepił o klamkę, i wazon wysnął mu się z rąk w momencie, kiedy kapitan przestał go podtrzymywać, chcąc się przepchnąć sam. Z kupy ludowych skorup rozlała się po pokoju pienista, straszliwie śmierdząca ciecz! Rzeczywiście, znaleźli najlepsze miejsce do wylania... Wszystko, cokolwiek wrzucaliśmy tam od początku, zamieniło się w jedną zgniłą masę. Pierwotny kształt zachowały tylko resztki kości wieprzowych, słoiczek po farbie i klucz, który wypadł w chwili rozbicia, odbił się i poleciał najdalej. Radość nasza, pomimo potwornej woni, nie miała granic, zwłaszcza że kapitan okrzykiem polecił nam nie ruszać się z miejsc. Przyglądaliśmy się więc beczynnemu i z satysfakcją, jak przy pomocy jeszcze jednego milicjanta zebrali to wszystko do

plastykowej płachty i nawet wytarli podłogę, starannie szukając po kątach, czy się gdzieś coś nie zawieruszyło. Pani Glebowa bez wątpienia byłaby mniej dokładna. Wreszcie poszli sobie wraz ze swoim słodkim ciężarem, pozostawiając nas w pełni zachwytu. Wazon nie zawiódł naszych oczekiwań. - Ale nie wybuchło, popatrzcie - powiedział Leszek z żalem. - Nie wymagaj za dużo - odparł Janusz. - I tak to ładnie wyszło. - Słuchajcie, czego oni szukali? Jak myślicie? - spytałam, usiłując nie oddychać, bo w pokoju wciąż jeszcze wisiała chmura koszmarnego odoru. - Widziałeś przecież, spodniej odzieży Kazia. Widocznie on jest najbardziej podejrzany i kompletują jego własność. - W całym biurze szukają - powiedział Leszek, wyrzawszy za drzwi. - Rewizja jak się patrzy. O co im może chodzić? Władze śledcze przewracały pracownię do góry nogami, w poszukiwaniu tajemniczego przedmiotu, starannie zabezpieczając wszystkie znalezione ścierki i szmaty. Siedziałam przy stole, paląc papierosa i nic nie robiąc, bo nie w głowie mi były teraz zajęcia służbowe. Przede mną leżał kawał papieru, na którym spisałam sobie wszystkie wiadomości o współpracownikach, jakie dotychczas udało mi się uzyskać. Wpatrując się w ów spis, usiłowałam wyciągnąć jakieś sensowne wnioski. Tadeusz nas szantażował, to nie ulegało wątpliwości. Wszystkich? Prawie wszystkich... Tylko dwie osoby z całą pewnością miały z nim święty spokój, Alicja i Witold. Reszta była podejrzana. Najwięcej wiedziałam o Kacprze i Monice, którzy zresztą, trzeba przyznać, wyglądali najgorzej. Monika miała szalenie skomplikowaną sytuację życiową. Jako kobieta pełna ognia i wigoru nawiązała niedawno romantyczne kontakty z młodym i nieprzeciętnie przystojnym przedstawicielem jednego z inwestorów. Następnie usilnie starała się te kontakty zerwać, ponieważ pojawiła się przed nią perspektywa korzystnego mariażu z osobnikiem posiadającym jakieś potężne pieniądze i niezwykle surowe zasady moralne. Zakochany młodzian nie bardzo chciał ustąpić z placu boju i raczej trudno jej było stracić go z oczu i wymazać z pamięci. Wieść o tym nie dokończonym romansie mogłaby definitywnie zrazić cnotliwego epuzera, a Monice ogromnie zależało na stabilizacji życia przy boku majątnego męża. Pytanie, ile z tego wszystkiego było wiadome Stolarkowi? Kacper, wytrwale uwielbiający swoje bóstwo, był wmieszany w jej wszystkie sprawy. Jeżeli Tadeusz szantażował panią jego serca, uniemożliwiając jej realizację najważniejszych planów, dlaczegoż by nie miał go zabić w potężnym afekcie? Nie mówiąc już o tym, że szantażował i jego... W zamyśleniu wpatrywałam się w swój spis błędów życiowych personelu. Były tam różne rzeczy, o których sądziłam, że poza zainteresowanymi, znam je tylko ja. Czy Tadeusz je również znał? Czy wiedział i czy oni wiedzieli, że on wiedział? Nie miałam zielonego pojęcia o jego kontaktach z kilkoma osobami, z Witkiem, z Wiesiem, ze Zbyszkim, z Jadwigą... Oczywiście, najbardziej interesował mnie Zbyszek... Siedziałam sama w pokoju, bo tamci trzej gdzieś zniknęli i jakby specjalnie zamówiony wszedł Stefan, człowiek z całej pracowni Zbyszkowi najbliższy. Natychmiast postanowiłam to wykorzystać. - Żeby pani z piekła nie wyjrzała za ten swój pomysł -z Tadeuszem - powiedział Stefan z goryczą. - Już nie miała pani kogo uśmiercić, co? I co ja teraz zrobię? Przyjdzie wózek sprzedać... - Spokojnie, panie Stefanie, nie tak zaraz. Niech pan usiadzie, ma pan papierosa i niech pan powie, dlaczego mu pan pożyczka. Stefan przysunął sobie krzesło, pogrzebał po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek i mamrocząc pod nosem zapalił. Potem spojrział na mnie ze wstrętem. - Dlaczego mu pożyczka? Dla świętego spokoju! Pani wie, co by było, gdyby on mojej starej powiedział o tej cholernej Wieście? Ja bym miał resztę życia zatrute! A ja jestem stary człowiek, mnie się wątroba do góry nogami przewraca, ja chcę mieć święty spokój! To był najgorszy lajdak, jakiego święta ziemia nosiła! Pani myśli, że on się tylko mnie czepiał? A Włodek, a Kacper, a Kajtek to co? Pies?! A Zbyszek!... Aż mnie podrzuciło na krzesło. - Jak to? - krzyknęłam. - Zbyszka też?!... - A pewnie! Natychmiast ogarnęło mnie okropne zdenerwowanie. Dotychczas miałam cichą nadzieję, że jednak Zbyszka nie. - A Zbyszka czym? Nie wie pan? - spytałam w napięciu. - Pojęcia nie mam - odparł Stefan, nie dostrzegając wrażenia, jakie uczyniły na mnie jego słowa. - Zna pani Zbyszka, on nic nie powie. Raz mu się tylko wyrwało, że ma cholerne kłopoty i że tu chodzi nie o niego. O, do diabła! Więcej mógł nie mówić, to mi wystarczyło. Wiedziałam o starannie ukrywanym romansie Zbyszka,

prawie równie dobrze jak sam Zbyszek. Sprawdziły się moje najgorsze przeczucia i zrobiło mi się okropnie ciężko i niemile na sercu... Mój smutny stan ducha przerwała władza ludowa, domagając się stanowczo konwersacji ze mną. Przeszłam przez pracownię, która przedstawiała obraz absolutnej anarchii. W sali konferencyjnej i w gabinecie nadal trwały przesłuchania. W kącie pod lustrem sprzeczali się intensywnie Witek i Kazio. W środkowym pokoju Alicja, Andrzej, Marek i Janusz grali w brydża. Ryszard spał twardo kamiennym snem, Anka ponuro wpatrywała się w jakąś książkę, a u sanitarnych Leszek, Jarek i Kajtek grali w zapalki. Pod drzwiami sali konferencyjnej siedział na krześle milicjant, co mi się wydało nad wyraz intrygujące. Trzej panowie w gabinecie wyglądali jak myśliwi na tropie. Atmosfera panowała wyraźnie gorąca, nadymione było jak na dworcu kolejowym, a prokuratorowi świeciły się oczy, przez co był jeszcze piękniejszy. - No to wracamy do autorki przedstawienia - powiedział kapitan zgryźliwie. - Mam nadzieję, że udzieli nam pani kilku ciekawych informacji. - Zupełnie prawdopodobne - odparłam. - Ja również mam nadzieję zdobyć u panów kilka cennych wiadomości, bo chyba się pan domyśla, że jako autorkę interesuje mnie zakończenie sztuki. - Z pewnością nie bardziej niż nas... Zanim zaczniemy, może uprzejmie odpowie mi pani na jedno pytanie. Prywatne. Co to było to coś w tym saganie na waszym balkonie? Odpowiedziałam mu wyczerpująco, a kapitan słuchał z wyrazem lekkiego obrzydzenia na twarzy. Byłam już doszczętnie skołowana i pewnie dlatego nagle zrezygnowałam z poprzednio powziętych zamiarów. Machnęłam ręką na własne bezpieczeństwo, wkopani przeze mnie w głupią zbrodnię niewinni współpracownicy wydali mi się stanowczo ważniejsi, a zresztą doszłam do wniosku, że ze względu na dotychczasową niekaralność i nienaganny tryb życia nie skażą mnie na nic poważnego.

- Zaraz - przerwał kapitanowi, który coś mówił. - Chciałam najpierw wyjaśnić pewną rzecz. - Prosimy...

- Panowie - powiedziała uroczyście - przede wszystkim chciałam wam powiedzieć, że ja w was wierzę. Przez tę decydującą godzinę nie ruszyłam się z miejsca, co niewątpliwie już wiecie. Wiecie zatem, że nie ukatrupiłam Stolarka. Oczywiście, możecie podejrzewać, że miałam współnika, że tę zbrodnię obmyśliłam, zaplanowałam i tak dalej, ale to przecież nonsens. W takim wypadku nie trąbiłabym o tym po całej pracowni. Nie dość na tym. Mogę wam powiedzieć więcej na dowód mojej niewinności, ale przedtem chciałabym zawrzeć z wami układ... Zawahałam się. Szybko uznałam, że jednak najpierw muszę udowodnić niewinność. Zamknęłam oczy i rzuciłam się głową naprzód w przepaść. Możliwie krótko i zwięźle wyjaśniłam im przyczyny, dla których stanowczo wolałabym, żeby Tadeusz żył długo i szczęśliwie. Wyznałam, że do spółki z nieboszczykiem popełniłam przestępstwo na niekorzyść ORS-u, polegające na tym, że nikt z nas nic nie kupił, a za to ja wzięłam gotówkę. To znaczy miałam wziąć gotówkę... Z owego matactwa nieboszczyk został mi winien pięć i pół tysiąca złotych, które z chwilą jego śmierci mogę uznać za przepadło na wieki. Musiałabym mieć kompletnego fijoła, żeby go w tej sytuacji mordować. - Jak to pani zrobiła? - spytały władze śledcze z zainteresowaniem. - Nie wiem. Tadeusz miał znajomego kierownika sklepu i przeprowadził z nim tę dziwną kombinację samodzielnie. - A dlaczego mu pani pożyczyła? - Bo nie miałam innego wyjścia. Tak zwany nóż na gardle i żadnej innej możliwości zdobycia pieniędzy. Tadeusz poszedł na ten interes z okrzykami radości, licząc na to, że będzie mógł ode mnie pożyczyć. Jak widać, słusznie, tylko że miał pożyczyć półtora patyka, a nie pięć i 4 i pół. Krótko mówiąc, wystawił mnie rufą do wiatru. - No dobrze, ale dlaczego pani, mając nóż na gardle, zgodziła się pożyczyć mu o cztery tysiące więcej? - A co miałam zrobić? On mi robił uprzejmość i to mocno ryzykowną. Procentu by ode mnie nie wziął, na wódkę bym z nim nie poszła, jak mu się miałam odwdziaczyć! To była jedyna forma. - Na upartego dałoby się znaleźć jeszcze jakąś - powiedział prokurator złośliwie. - Niewątpliwie - odparłam natychmiast. - Ale w tym wypadku wolałabym, żeby na miejscu Tadeusza był na przykład pan... Kapitan dostał nagle napadu kaszlu, a w niebieskich oczach prokuratora znów dziwnie znajomo błysnęło. - Nie omieszkałam zapamiętać pani wypowiedzi...

- Wracając do tematu, panowie, pragnę uczynić wam propozycję. Realnie rzecz biorąc można sobie wyobrazić, że nie ja jestem mordercą. Proponowałabym, żebyście zdecydowali się okazać mi odrobinę zaufania, bo zapewniam was z ręką na



sercu, że mogę się wam bardzo przydać. Jest mnóstwo takich rzeczy, których się nigdy w życiu nie dowiecie drogą normalnego śledztwa. Jak będziecie do mnie podchodzili jak do podejrzanego, to ja do was jak do wrogów, natomiast jak odwrotnie, to odwrotnie. Współdziałanie da znacznie lepsze rezultaty niż wojna, a nie macie pojęcia, jak ja cholernie pragnę wykrycia mordercy. Mam swoje powody...

Wygłosiłam do nich przejmujące przemówienie i czekałam na rezultat. Z różnych przyczyn nagle gorąco zapragnęłam włączyć się do śledztwa. Trzej panowie popatrzyli na siebie i kapitan kiwnął głową - Dobrze. Ma pani rację. Kilka osób tu można wykluczyć, bo ostatecznie cudów nie ma. Zabójstwo musiało zabrać sprawcy te kilka minut. Nawiązujemy z panią współpracę na bazie zaufania - Chwała Bogu - powiedziałam z głęboką ulgą - Pytajcie

- Zanim przystąpimy do szczegółowych rozważań, musimy załatwić jeszcze jedną sprawę. Wezwiemy panią potem trzeci raz, a na razie niech nam pani pokaże swoją chustkę do nosa

- Chustkę do nosa? - zdziwiłam się - Boże drogi, ja nie mam chustki do nosa.

- Jak to pani nie ma? Żadnej?

- Żadnej. Przeważnie zapominam o tej cholerniej chustce i nie noszę. Dzisiaj też nie mam. Jakby panom bardzo zależało, to mogę przywieźć z domu - Nie, dziękujemy. Czy pani jest zupełnie pewna, że pani nie ma? - Słowo panu daję. Nic na to nie poradzę

- A co pani robi, jak pani ma katar? - spytał z dezaprobatą prokurator - Albo jak pani płacze? - Nie pamiętam, kiedy miałam ostatni raz katar, pewnie z dziesięć lat temu. A płakać nie płaczą kobiety. Zazwyczaj płaczą przez ukochanego mężczyznę, a ja nie mam ukochanego mężczyzny - A co pani z nim zrobiła?

- Pan pyta prywatnie czy służbowo?

- A, nie, przepraszam. Prywatnie. Wycofuję pytanie

- Nie, dlaczego? Mogę panu powiedzieć, co mi szkodzi. Puścił mnie w trąbę. - To znaczy, że pani nie ma chustki - przerwał kapitan bardzo urzędowym tonem. - Szkoda. Wobec tego na razie niech pani przejdzie tam... Okropnie zaintrygowana przeszłam do sali konferencyjnej, gdzie zastałam już Wiesia i Andrzeja. - Wiesiu, co to? - zawołałam. - Was też pytali o chustki do nosa? - Miałem dwie i obydwie musiałem im oddać - powiedział Andrzej filozoficznie. - Moja była strasznie brudna, bo czyściłem nią dzisiaj buty - wyznał Wiesio. - To pewnie dalej ta obsesja na tle gałganów. Nasze wszystkie fartuchy też zabrali. Jako następna dobiła Alicja, a zaraz po niej Marek i Janusz, cała czwórka od brydża - Nie mogliście wziąć kart? - spytała Alicja z wyrzutem. - Jak to nie mogliśmy? Oczywiście, że mamy! Czekał w tej kieszeni są twoje, a tu Andrzeja. Powtórz licytację, kto mówił kiery?. Nie przejmując się nagłą utratą chustek do nosa, obsiedli mały stolik, z którego zdjęli telefon, i wrócili do gry. Ta zadziwiająca bez troska personelu tak krótko po zbrodni, w pomieszczeniu, w którym przed kilkoma godzinami leżał nieboszczyk, miała swoje źródło nie w naszej wyjątkowej oschłości serc i dusz, ale w atmosferze pracowni. Gdyby coś podobnego zdarzyło się komuś z nas indywidualnie, w jakimś innym otoczeniu, zapewne nieprędko przyszedłby do siebie. Tu, wśród przyjaciół, w miejscu, gdzie od dawna już spadały na nas rozmaite ciosy, jakoś łatwiej było pogodzić się z następnym, zwłaszcza że Stolarek był jednak tylko kolegą, i to jednym z krócej pracujących. Początkowy szok bardziej był spowodowany dokładnym spełnieniem się moich makabrycznych przepowiedni niż samym faktem. Ostatecznie krótko przedtem zdarzały się inne nieszczęścia natury zarówno prywatnej, jak i służbowej. Kazio i Stefan spędzili kilka miesięcy w szpitalu po katastrofie samochodowej, syn Zbyszka miał wypadek, po którym z największym trudem przywrócono go do życia, umarła po ciężkiej chorobie matka Alicji, córka Stefana była zagrożona bezwładem nóg po urazie kręgosłupa, ja sama niezrozumiałym cudem uszłam z życiem również z katastrofy pojazdów mechanicznych, pomniejsze przypadłości już trudno było zliczyć. Na domiar złego zaczęła się jakaś tajemnicza nagonka na pracownię, kontrole siedziały nam na głowie, każde drobne potknięcie urastało do rozmiarów piramidy i w rezultacie byliśmy zagrożeni czymś bez precedensu w naszym kraju, a mianowicie bankrutem państwowego przedsiębiorstwa. Cóż wobec tego wszystkiego mogło jeszcze nas pognębić? I chyba tylko w tej pracowni i w tym zespole dało się jakoś przezwyciężać przeciwności losu i zachować dobry humor. Jakoś to całe

towarzystwo wpływało na siebie nawzajem pozytywnie i nie dopuszczało przygnębienia Stolarek nie żyje? Trudno, wszyscy kiedyś umrzemy. Jeden z nas jest zabójcą? No to niech milicja go znajdzie, jak znajdzie, to się będziemy martwić dalej. A na razie proszę państwa, sześć bez atuu... Co parę minut dopychał się do sali konferencyjnej następny członek personelu, wydający okrzyki zdziwienia. Najbardziej ze wszystkich zmartwiona była Jadwiga.

- Wyobraźcie sobie, gdzie mi zginęła. Przysięgłabym, że rano miałam chustkę do nosa i nie mam. Oni mi nie wierzą. - Oni są od tego, żeby nie wierzyli. Co im przyszło do głowy? Pani Joanno, pani powinna wiedzieć! - Nie wiem, chustek do nosa nie miałam w programie...

- Długo nas tu będą trzymali? Nie wiecie? Cholera, nie ma na czym usiąść! .. - Przyzwyczajaj się, w celi nie będziesz miał luksusów... Wypuścili nas z chwila, kiedy odebrali chustkę do nosa ostatniej osobie, Monice. Zaraz potem wezwali mnie do gabinetu. To było owocne przesłuchanie, nie wiem tylko, dla kogo bardziej, dla nich czy dla mnie. Po pierwszych pytaniach, które usłyszałam, włosy stanęły mi dęba na głowie Zorientowałam się, że ich wiadomości o nas utworzyły nieopisany melanz, złożony z faktów, przypuszczeń, łgarstw, plotek i w nieznacznej ilości prawdy. Większość tych rewelacji pochodziła z czasów, kiedy pracowałam w naszej administracji niejaka Niunia, znacznie bardziej zainteresowana prywatnymi poczynaniami współpracowników niż swoimi służbowymi obowiązkami. Z Niunią dzielnie konkurował Włodek, naczelny plotkarz biura. Wspólnie stworzyli o wszystkich niemal członkach personelu mity i legendy, mrozące krew w żyłach. Alicja dowiedziała się wówczas ze zdumieniem, że współżyje ze swoim ówczesnym instalatorem sanitarnym, który miał 55 lat, metr sześćdziesiąt wzrostu, trądzik młodzieńczy na twarzy i mówił dyszkantem i który rzekomo spaskudził jej instalacje budynku przez zemstę, ponieważ nie spełniała jego wyuzdanych żądań seksualnych. Jadwiga ucieszyła się niesłychanie na wieść o gorącym uczuciu, jakim płonął ku niej Witek. Uczucie owo objawiał podobno w sposób nadzwyczaj praktyczny, mianowicie jeździł do niej gdzieś na dalekie peryferie, rąbał jej drzewo, palił w piecu i kupował buty. Sam Witek dowiedział się o tym ostatni i długo nie mógł zrozumieć, o co właściwie dokładnie był posadzany. Zbyszka zainteresowały ogromnie jego własne romanse z Danką, Wiesią, Niunią, Anką i ze mną, nawiązywane nie wiadomo, czy razem, czy kolejno. O pozostałych również krążyły różne wieści natury głównie erotycznej, które usiłował sprecyzować Kazio, dopytując się z zaciekawieniem, z którą z nas już sypiał, a z którą jeszcze nie. Po hucznych ostatkach, obchodzonych uroczyście w pracowni, rozeszły się informacje o rozgrywających się na służbowym terenie rozpustnych scenach, przy których uległ całkowitemu poszarpaniu rysunek, przypięty na stole Wiesią. Rysunek istotnie zaginął, ponieważ Wiesio poniewczasie stwierdził, że wykreślił niewłaściwą część terenu i nie chciał tego ujawnić przed Witkiem. Z owych to czasów pochodziły wspomniane przez Wiesię informacje na temat Moniki, współżyjącej rzekomo równocześnie z Kacprem i z Kajtkiem. Ani jedno nie było prawdą, ani drugie, prawdziwe było jedynie beznadziejne i powszechnie znane uczucie Kacpra oraz osobliwe upodobanie Moniki do nieletnich, z którym się nie kryła i któremu dała wyraz w kontaktach z pięknym i młodym inwestorem. Poczułam się teraz zmuszona uporządkować wiadomości władz śledczych, nabrałam bowiem obaw, że zaczną traktować pracownię raczej jak zamtuż niż biuro. Wyjaśniłam więc kolejno wszystko, co trzeba, przy okazji dowiadując się bardzo ciekawych rzeczy. Na pierwszy ogień poszła Monika, której zdenerwowanie w zestawieniu z osobliwym zachowaniem Kacpra i notatkami Tadeusza najbardziej rzucało się w oczy. Sprecyzowałam jej matrymonialne zamiary i charakter przyszłego. - I mówi pani, że wasz konstruktor tak się w niej kocha... - powiedział w zamyśleniu kapitan. - A czy on zna tę sprawę małżeństwa? - Zna i aprobeje, chociaż go to w serce gryzie. Myślę, że chętnie by jej to uniemożliwił na zasadzie psa ogrodnika. - To dlaczego tego nie robi? Dlaczego nie zawiadomi narzeczonego o kombinacjach z owym inwestorem? Przez szlachetność? - Ależ on o nim nic nie wie!

- Doprawdy? - spytał kapitan z uprzejmym zdziwieniem.

Zamilkłam nagle i przyjrzałam mu się uważnie, bo zaczęło mi się coś plątać po głowie. - Czy Monika przyznała się do inwestora? - spytałam czujnie. - Pani Monika wypiera się wszystkiego, jest bliska zaprzeczenia, że w ogóle posiadała

kiedykolwiek męża. Co, w związku z nią, mogą pani zdaniem oznaczać inicjały M.W.? - Kandydata na ślubnego z całą pewnością, słyszałam jego nazwisko... - znów zatrzymałam się nagle. Inicjały M.W... Kacper ich nie znał, Monika starannie ukrywała przed nim nazwisko faceta. Monika się wypiera... Jeżeli oni je znają, to znaczy, że musiał znać je także Stolarek!

Ilość tego czegoś, co mi się plątało po głowie, gwałtownie wzrosła i zrobiła się bardzo zagmatwana. Nie miałam czasu teraz tego rozwikływać, bo władze śledcze pytały dalej. Bezpośrednio po Monice uczyli się Kazia i przez długą chwilę nie mogłam zrozumieć, co tak podejrzanego widzą w jego delegacyjnych podrywkach. Delegacyjne podrywki mieszały się z materiałami budowlanymi i nagle padł strzał! - Ten pan występował jako biegły sądowy, prawda? Była jakaś sporna sprawa w związku z budową na Sadybie... Pojęłam, o co chodzi. Oczywiście, że słyszałam o budowie na Sadybie. Słowo Kazia rozstrzygnęło sprawę sądową na korzyść inwestora i wszystko tu było w idealnym porządku pod warunkiem nieujawnienia faktu, że Kazio tę budowę widział zaledwie przed miesiącem. Koniecznie musiał ją widzieć znacznie wcześniej! O tym, kiedy dokonywał tych oględzin naprawdę, wiedziała w pracowni tylko Alicja i ja, możliwe, że wiedział też Witek. Kazio był uczciwym człowiekiem, łapówek nie brał i żadnej bezpośredniej korzyści z tych kombinacji czasowych nie odniósł, ale opinia, którą wydał, nie była stuprocentowo bezstronna. Wdzięczny inwestor dostarczył pracowni zlecenia na sumę półtora miliona złotych, odsuwając od nas widmo bankructwa. I ja miałam teraz szkalować szlachetny czyn Kazia?! Nie wiem, co oni zrozumieli z mojej odpowiedzi, którą postarałam się maksymalnie zagmatwać, w każdym razie ja wiedziałam już dokładnie, dlaczego Kazio pożyczał Stolarkowi pieniądze. Opinia nieskazitelnego biegłego sądowego była mu bardziej potrzebna. Zostawiwszy w spokoju Kazia władze śledcze pokazały mi kilka numerów zaopatrzonych w daty faktur i spytały, co to jest. Skrzywiłam się na ten widok z całej duszy. - Zaniżone faktury - wyznałam niechętnie. - Wystawione na mniejsze sumy, niż nam się rzeczywiście należy. Pracownia ma kłopoty finansowe i nasze władze zamierzają ujawnić te pieniądze dopiero wtedy, kiedy nadejdzie stosowna chwila. Trudno, musimy się jakoś ratować. Należało nam się w zeszłym roku, ale przenieśliśmy to na ten, ponieważ w zeszłym byliśmy bardzo bogaci, a w tym odczuwamy duże braki przerobowe, zresztą zgodnie z przewidywaniami. Prokurator pokiwał potężniającą głową i znów zrobiło mi się nieprzyjemnie, bo doszłam do wniosku, że właściwie wygląda to tak, jakbyśmy przez cały czas, od początku istnienia zajmowali się wyłącznie popełnianiem przestępstw rozmaitej natury. Westchnęłam ciężko. - Ten świętej pamięci drań miał to wszystko zapisane? - spytałam cicho i smutnie. Przedstawicielei praworządności jakby piorun trafił. - Skąd pani wie?! Teraz ja pokiwałam głową. - Domyślałam się. Znam ten jego wielki, zielony notes, prowadził tam między innymi rachunki ze mną. Rozumiem, że wszystkich szantażował, tylko jeszcze niejestem zupełnie pewna kogo czym. Ale mniej więcej wiem. - Właśnie, to jest dla mnie niezrozumiałe - powiedział prokurator z dezaprobatą. - Jak dorodził, poważni ludzie mogli ulegać takim idiotycznym szantażom? - Ależ on to robił genialnie! - odparłam z ożywieniem, bo doznałam nagle dziwnego rozwoju pamięci. Mnóstwo scen, mnóstwo zdań, słów, wypowiedzi, na które przedtem prawie nie zwracałam uwagi, stało się dla mnie jasne. - Od nikogo nie domagał się pieniędzy za milczenie, skąd, co znowu! Dostałby najwyżej po pysku. On tylko pożyczał... Odmowa pożyczki oznaczałaby otwartą wojnę, a na to nikt nie miał ochoty. Każdy wolał mieć spokój i liczyć na zwrot, ostatecznie, kilku osobom kiedyś zwrócił... A przy tym nie był specjalnie wymagający i zadowolony się sumami, leżącymi w granicach naszych możliwości. - No tak - powiedział kapitan, wzdychając i wyciągnął notes na wierzch. - Skoro pani tyle wie, to nie ma sensu tego przed panią ukrywać. Istotnie, ten notes jest dla nas wielką pomocą. Niecha nam pani wobec tego rozgraniczy do końca plotki, podejrzenia i prawdę. Zainteresowani cholernie kręcą i wszystkiemu przeczą. Jedziemy, po kolei... Czyszcząc dalej tę stajnię Augiasza zatrzymałam się przy Jadwidze. Obok jej nazwiska widniało w notesie Tadeusza coś dziwnego. Jakiś numer, a przy nim data sprzed kilku lat. Po głębokim namyśle doszłam tylko do jednego wniosku, a mianowicie, że data pochodzi z czasów, kiedy Jadwiga na nowo wróciła do swojego pierwszego męża.

Natomiast numer z niczym mi się jakoś nie kojarzył. O Zbyszka mnie, szczęśliwie, nie pytali, zainteresowali się za to pewną niemiłą sprawą, dotyczącą Ryszarda i Witka. - Z tego, cośmy do tej pory usłyszeli, można wnioskować, że szantaż rozkwitał u państwa bujnie na wszystkich frontach - powiedział łagodnie prokurator. - Była tu podobno jakaś sprzeczka pomiędzy tymi dwoma panami. Czy pani o tym wie? Wiedziałam bardzo dużo od Alicji, ale nie zamierzałam się do tego przyznać. Witek postąpił sobie niezbyt pięknie, odmawiając Ryszardowi zaświadczenia o bezpłatnym urlopie dla Polserviceu, jeżeli nie odda mu projektu bardzo atrakcyjnego hotelu. Ryszard, który sam się wystarał o zlecenie na ów hotel, zaprotestował i wyleciał z gabinetu z pianą na ustach i krzykiem "szantaż, szantaż". Nie miałam do Witka żadnych osobistych pretensji i żadnych powodów, żeby mu szkodzić, więc oświadczyłam, że nic o tym nie wiem. Niech sobie Alicja sama pod nim dołki kopie. Na samym końcu zaskoczyli mnie Wiesiem. Nigdy dotychczas nie podejrzewałam go o żadne życiowe sekrety i dopiero teraz, pod wpływem tych pytań, zaczęłam się zastanawiać. Wymienili kilkanaście dat i kazali sobie przypomnieć, co wtedy robiłam. Przyszło mi to bez trudu, ponieważ daty przypadały na koniec ubiegłego roku, kiedy kończyłam pilny projekt i prawie nie opuszczałam pracowni. Zrobiłam sobie nawet wówczas harmonogram, którym mogłam się teraz posłużyć, -bo na szczęście nie miałam zwyczaju wyrzucać niczego wcześniej niż po trzech latach od chwili dezaktualizacji. Wpatrując się teraz w wielką, zamazaną płachtę papieru, przyniesioną z pokoju, mogłam swobodnie odtwarzać zeszłoroczne wydarzenia. - Trzeciego listopada - powiedział kapitan. - Czy ten kolega wtedy siedział tu po południu? Wieczorem? - Nie - odparłam stanowczo. - Nie siedział. Trzeciego robiłam zestawienie ślusarki, którą czwartego oddałam na odbitki i pamiętam doskonale, że grzebałam w szufladzie Wiesia, szukając kalendara technicznego. Siedział wtedy tylko Ryszard.

- A siódmego i ósmego?

- Też nie. Przez cały tydzień zostawałam sama i byłam wściekła. - Dwunastego?

- Zaraz, co ja robiłam dwunastego?... Aha, detale stolarki. Ze stolarką byłam trochę spóźniona... Od Janusza dostałam drzwi klepkowe... Był wtedy Janusz i Witek, Wiesia nie było, on siedział dopiero potem. - Szesnasty, siedemnasty, osiemnasty?

- Ogrodzenie. Dziewiętnastego oddałam do wyświetlań!... Tak, wtedy siedzieli wszyscy trzej. Zgasło nam światło, po ciemku robiłam kawę i wtedy właśnie Janusz nasypał sobie cukru do szklanki i powiedział: "Świetna kawa, patrzcie, wcale cukier nie tonie", a potem okazało się, że nasypał sobie na przykrywkę. Wiesio siedział do późnej nocy. - No tak... A dziesiątego grudnia?

- Nie mam pojęcia. Pierwszą połowę grudnia miałam dosyć spokojną, natomiast wiem, co było między piętnastym a dwudziestym, bo robiłam dla Ryszarda rysunki robocze. Nawalił z terminem i przeklinałam go okropnie. - No to szesnasty i siedemnasty grudnia?

- Nic z tego. Dużo ludzi było, ale z naszego pokoju tylko ja. Zamyśliłam się na chwilę, bo zamajaczyło mi przed oczami wspomnienie z tamtego okresu. Wspomnienie tak dziwne, ponure i niemiłe, że pośpiesznie postarałam się go pozbyć, żeby przypadkiem czegoś o nim nie powiedzieć. - No to teraz ten rok - zażądał kapitan. - W styczniu...

- Niestety, więcej nie pamiętam. Harmonogram mi się skończył. Złożyłam wielką płachtę i przyjrzałam się im z zainteresowaniem - A co? - spytałam ciekawie - O co on tam jest podejrzany? - Co pani sądzi o jego pożyciu małżeńskim?

- O mój Boże, nic Chyba się układa sympatycznie Ma bardzo miłą żonę i zupełnie nie wygląda na nieszczęśliwego - No to na razie byłoby wszystko Może sobie teraz zapalimy? Przedstawiciele praworządności wyglądali na nieco zmęczonych, ale nie zrezygnowanych Prokuratorowi oczy płonęły jasnym blaskiem i trzeba uczciwie przyznać, że mi się coraz bardziej podobał Myśl o poderwaniu zaczęła mi powoli rywalizować z pragnieniem wykrycia mordercy - Panowie, po co wam te szmaty, które zbieracie po całej pracowni? - spytałam z zaciekawieniem - Dowie się pani po zakończeniu śledztwa

- Po zakończeniu śledztwa w ogóle nie będziecie chcieli ze mną rozmawiać - Nie jestem pewien - mruknął kapitan, spoglądając z ukosa na prokuratora Natychmiast skomentowałam to spojrzenie - Sądząc z pańskiego rzutu oka, ten pan kontynuuje kontakty z byłymi podejrzanyymi? - powiedziałam z łagodnym zainteresowaniem - Nie

ze wszystkimi, zapewniam panią - odparł szybko prokurator - O, szkoda To nie wiem, czy mogę mieć nadzieję...

- Może pani - powiedział kapitan stanowczo. - Ja panią zapewniam - A pan? - spytałam prokuratora Siedział wciąż na brzegu stołu, doskonale czarny, od butów do włosów na głowie, i jaśniał urodą - Nie wiem - odparł, uśmiechając się - Ja się w ogóle niepewnie czuję w towarzystwie kobiet - Jako pies w towarzystwie sadła - uzupełniłam natychmiast wzorem pana Zagłoby, wzbudzając tym wielką radość wszystkich trzech panów Opuściłam ich ze znacznie zwiększonym zasobem wiadomości i potężnym zamętem w głowie Koniecznie chciałam sobie to wszystko jakoś ułożyć, ale w tym celu musiałabym porozmawiać z Alicją Nigdy nie miałam przesadnego talentu do myślenia i do genialnych wniosków mogłam dojść tylko drogą wymiany poglądów Niestety, Alicja rozgrywała właśnie pięć trefli z rekontrą w szalenie nie sprzyjających warunkach Siedzący w tym samym pokoju Kacper postanowił powetować sobie widocznie poprzednie milczenie i robił teraz porządek po rewizji Porządek polegał na tym, że rozwijał arkusze kalki, oglądał je, a następnie z przeraźliwym trzaskiem zgniatał i wpychał do kosza Niektóre darł nawet na kawałki Nie wiem, czy istnieje jeszcze jakiś materiał, który potrafiłby narobić tyle hałasu, co kalka techniczna pośledniego gatunku Równocześnie obok rozmawiali Zbyszek, Anka i nieco już mniej wściekła Monika, usiłując przekrzyczeć porządki Kacpra Uznałam, że ten akompaniament powinien Alicji w zupełności wystarczyć i moje włączenie się byłoby nie na miejscu Zrobiłam obchód pracowni, stwierdziłam, że w pokoju sanitarnych grzmi jakaś potężna awantura pomiędzy Kajtkiem, Jarkiem, Stefanem i Włodkiem, w naszym pokoju Kazio parska jadem, a Witek konspiracyjnie szepcze z Olgierdem w jego małym pokoiku. Kiedy zajrzałam, demonstracyjnie zamilkli. Wiesia, nadęta i obrażona na cały świat, siedziała na swoim miejscu, odwrócona tyłem do przechodzących.

Pozbyłam się jakoś Jadwigi, która z uporem domagała się, żeby jej postawić kabałę, i usiadłam przy swoim stole. I pozwoliłam sobie na lekkomyślność. Nie mogąc dyskutować z Alicją zaczęłam myśleć w milczeniu. Przebieg tego myślenia powinnam była z góry przewidzieć, ale doprawdy czegoś takiego nie spodziewałam się nawet u siebie! Z kąta za stołem Witolda, w który wpatrywałam się z konieczności, bo siedziałam akurat twarzą do niego, wyszedł diabeł. Autentyczny, najprawdziwszy w świecie diabeł, pokryty czarnymi, baraniami kudłami, z rogami, ogonem i na kozich kopytkach. Obszedł stół dookoła, nie wiem, jakim sposobem, bo deska dotykała do samej ściany, usiadł na krześle Witolda, założył nogę na nogę i spojrzał na mnie drwiąco. - No i co? - powiedział. - Doczekałaś się? Ostatnim przeblyskiem świadomości pomyślałam jeszcze, że skoro nie mogę dyskutować z Alicją, to niech będzie, podyskutuję z diabłem. I rzeczywistość skończyła się definitywnie.

- A bo co? - spytałam ostrożnie. - Specjalnie się o to starałeś?

- Idiotka! - prychnął diabeł pogardliwie. - O ciebie się nawet nie trzeba starać! Narobiłaś zamętu, a teraz co? Siedzisz jak taka spłoszona oślica. Poczulałam się nieco urażona.

- Twoim zdaniem powinnam stać na głowie?

- To tylko do tego celu może ci głowa służyć? A myśleć nie łaska? Trzeba przyznać, że był mało uprzejmy. W dodatku patrzył na mnie z wyraźnym obrzydzeniem, pomieszany ze złośliwą ironią. Co tu się zresztą dziwić, ostatecznie -diabeł!...

- Ty oczywiście wszystko wiesz - powiedziałam, kiwając melancholijnie głową. - Ciekawa jestem, jakbyś się czuł na moim miejscu. - Dobrze, dobrze - powiedział diabeł ugodowo - Sprecyzujmy sobie kilka wniosków. Tadeusz znał inicjały fatyganta Moniki Kacper znał sprawę tego pięknego filusia... - Dziwnych określeń używasz - przerwałam mu z niesmakiem

- Już ja wiem, co mówię. Zestaw sobie te dwie rzeczy. No? Przychodzi ci coś do tej tępej pały? Tym mnie już zdenerwował. Jak śmie pierwszy lepszy diabeł wypowiadać się o mnie w ten sposób! Ze zdenerwowania doznałam przypływu bystrości umysłu. - Razem wziąwszy, Tadeusz wiedział wszystko i mógł donieść fatygantowi o pięknym filusiu - powiedziałam gniewnie. - To już wiesz, dlaczego krzyczał "przebac"?

- A pewnie, że wiem! Głowę dam za to, że po pijanemu zwierzył się Tadeuszowi z romansu niewiernej, a Tadeusz nie w ciemnię bity, raz dwa trzy to wykorzystał. - Bardzo słusznie - powiedział diabeł z odrobiną uznania. - A teraz myśl dalej logicznie. Gdyby go zabił, toby się tam jeszcze poniewierał przed nią z tym kretyńskim krzykiem? Zastanowiłam się przez chwilę. - Nie, boby uważał, że-zmazał winę. Zdradził ją, naraził na szantaż, po czym zrekompensował to, zabijając szantażystę... - A zatem?...

- A zatem Kacper jest niewinny.

- Dalej!

- Dalej, dalej... Przestań mnie poganiać! Dalej miotał się tak przesadnie, bo myślał, że swoim głupim czynem sprowokował ją do popełnienia tego morderstwa. - A nie sądzisz, że wie o niej coś więcej? Więcej niż ty?

- Jeżeli on wie więcej, to siłą rzeczy ja wiem mniej. Objawienie nagle na mnie nie spłynie, czego się czepiasz? - To co on wie, ty możesz wydedukować. Co ona ma? Patrzyłam bezmyślnie na diabła. O co mu chodzi? Co ta Monika może mieć? - Sex-appeal... - powiedziałam niepewnie.

- Kretynka! Ja mówię o tym, co ty też masz! No? Ty masz i ona ma, a Alicja nie ma ani jednej sztuki. - Dzieci! - krzyknęłam w olśnieniu. - Dwoje dzieci!

- No widzisz. Orientujesz się, do czego jest zdolna kobieta dla swoich dzieci. Wy wszystkie macie takiego fioła... Wiesz chyba, ile ten jej fagas ma pieniędzy.

- Jadwiga też ma dziecko - zaprotestowałam. - I większego fioła! - A właśnie, dobrze, że mi przypomniałaś. Co ty tam, serdeńko, mówiłaś na początku o Jadwidze? Siedemdziesiąt tysięcy złotych?... A nie zauważyłaś czasem, jak ona ostatnio wypiękniała?

- Głupie dowcipy. Cała pracownia wie, że Jadwiga niedawno kogoś sobie poderwała. Patrzy na to, że polecą -z nim do ołtarza... - Nie wyjeżdżaj mi tu z ołtarzem, bo mnie zdenerwujesz. Za darmo? - Jakże darmo! Przecież właśnie dlatego tak się rwie do tych siedemdziesięciu patyków! Włoży mu to w przedsiębiorstwo, on jest prywatna inicjatywa. I będzie miała zapewniony byt dla swojej Laluni, co, mam ci to jeszcze tłumaczyć? - Mnie nie, sobie... A te fakturki? Jak ci się zdaje? Za parę lat główny księgowy idzie na emeryturę. Co ci to mówi? - Że ujawnienie tych machlojek to byłby dla niego krach życiowy - powiedziałam ponuro. - Dyscyplinarne zwolnienie i z emerytury nici. - A tobie on się wydawał łagodnym człowiekiem - powiedział diabeł, kiwając z politowaniem rogatą głową. - No dobrze, ale w to jest zamieszany Witek! To on jest kierownikiem, nie Olgierd!...

- O Witku to ty jeszcze, moja perełko, za mało wiesz, za mało... A jak tam w tym świetle wygląda nasza Aneczka?... - Nijak! - warknęłam gniewnie.

- Pewnie, że nijak - potwierdził diabeł złośliwie.

- Za Aneczkę by to załatwił ktoś inny. Błędny rycerz.

- Odczep się. Błędni rycerze dawno wymarli.

- On jest ostatni z tej krwi. No, pozbieraj do kupy wszystko, czego się dziś dowiedziałaś, pozbieraj. "Kiziu, nie martw się, ja to załatwię. Nikt nie będzie wiedział"... Ładnie to brzmi, co? - Odczep się! - wrzasnęłam z gniewem. - Przestań mnie denerwować! - A wiem, wiem, że ci się to nie podoba. Wiem, dlaczemu się tak pchasz w to śledztwo, mnie nie oszukasz. Nie wiedziałaś przedtem, że Zbyszka też ten bydlak szantażował, co? A teraz Już nawet wiesz, czym... - Nonsens - odparłam ostro. - Zbyszek by się tak nie wygłupiał. On ma dziecko, już ci mówiłam. - Cóż znaczy dziecko wobec ukochanej kobiety? I to kobiety, której grozi taki skandal! Przypomnij sobie, jak ona wyglądała, jak wychodziła za męża. To tak niedawno, nie masz przecież zaników pamięci? Sama widziałaś, jak przyszła do niego, Stolarek też mógł widzieć. Ona nie ma pieniędzy, nie mogła mu się opłacać, co robi błędny rycerz w takiej sytuacji? - Szlag mnie trafi - mruknęłam z furją. Diabeł zachichotał jadowicie. - Zbrodnię trzeba popełnić inteligentnie, dobrze zatrzeć ślady właśnie ze względu na dziecko... A ta zbrodnia jest popełniona bardzo inteligentnie... - Bydlę!!! - wrzasnęłam, zrywając się z miejsca. - Paszoł won stąd!!!... Złapałam pudełko z cyrklami, które leżało na stole przede mną, i nieprzytomna z wściekłości w szale rzuciłam nim w diabła... - Zwariowałaś?! - spytał z niebotycznym zdumieniem Janusz. Oprzytomniałam. Diabeł znikł. Dookoła mnie stali Janusz, Wiesio, Kazio, Leszek i przyglądali mi się w osłupieniu Prawdopodobnie w ferworze dyskusji z nadprzyrodzonym czynnikiem podnosiłam niekiedy głos.

- Na mózg ci padło? Przekomarzasz się tak sama ze sobą?  
- Tu był diabeł -z nim śledztwo. - mruknęłam ponuro. - Omawiałam  
- Rany boskie, znów ma halucynacje - powiedział Leszek ze zgrozą. - Wymorduje całą pracownię! - Jaki diabeł? - zainteresował się Wiesio.  
- Zwyczajny, jak diabeł. Z rogami, z ogonem...  
- No i co ci powiedział?  
- Że Kacper jest niewinny. Za to szkalował parę innych osób. - No dobrze, ale dlaczego rzucasz w diabła moimi cyrkłami? - spytał Janusz z głębokim niesmakiem, wchodząc pod stół Witolda i zbierając rozsypane szczątki. - Gdzie zerownik?! - ryknął nagle okropnie. - Ten diabeł zabrał?! - Nic nie zabrał, to porządny diabeł. Masz zerownik, tu leży... - Skąd się pani wziął ten diabeł, dopiero w pół do jedenastej - zdziwił się Kazio. - O północy to jeszcze rozumiem... Ochłonęłam nieco po konwersacji ze złym duchem i teraz już byłam gotowa nawet pracować, żeby tylko nie myśleć. Władze śledcze poszły mi na rękę. Nagle rozpoczął się gwałtowny spęd pracowników, przy czym panie zaganiano do gabinetu, a panów do sali konferencyjnej. To zróżnicowanie płci ogromnie nas zaciekawiło. Posłusznie szłam do gabinetu, kiedy nagle po drodze ujrzałam, że prokurator i kapitan wchodzi znów do pokoju Olgierda. Nie zamierzałam być przesadnie lojalna, a przy tym insynuacje diabła zdenerwowały mnie w najwyższym stopniu, więc, wykorzystując zamieszanie, szybko zawróciłam i weszłam do damskiego WC-tu. Zajęłam stosowną pozycję, usiłując w miarę możliwości nie oddychać. - Trzeba zrobić taki harmonogram nieobecności, bo inaczej tu zwariujemy - powiedział prokurator. - Nie ma sposobu kogokolwiek wykluczyć... W tym momencie usłyszałam, że ktoś wszedł do męskiej strony WC-tu, po czym stałam się świadkiem zdumiewającego zjawiska. W męskiej kabinie rozległy się jakieś dziwne, stłumione odgłosy, a następnie w damskiej poleciała woda. Nie zdążyłam nawet zastanowić się nad tym, jakim sposobem to dziwo się dokonało, bo pod drzwiami usłyszałam głosy milicjantów i musiałam natychmiast wyjść. Nie chciałam, żeby się ktokolwiek zorientował, że tkwię w WC-cie w śledczych celach. - "Harmonogram nieobecności, genialne!" - pomyślałam z uznaniem. - "My też..." Do gabinetu przybyłam ostatnia. Władza ludowa sprowadziła posiłki płci żeńskiej i w obydwóch pomieszczeniach równocześnie przeprowadzono rewizję osobistą. Długo to trwało, a przez ten czas na terenie pracowni odbywała się jeszcze Jedna rewizja nieosobista. Rezultaty zarówno jednej jak i drugiej nie zostały przed nami ujawnione. Przed samą północą Jarek zdecydował się wreszcie, że go nie było, i zostaliśmy zwolnieni z posterunku. Cały personel był tak zmęczony, że nikomu się nawet nie chciało iść na wódkę, za to rozdrapaliśmy taksówki z dwóch postojów. Nikogo nie zatrzymano, śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci Tadeusza zostało na razie nie rozstrzygnięte... Witold, któremu skończył się właśnie urlop, był jedynym człowiekiem, przybyłym nazajutrz do pracy punktualnie o w pół do ósmej. Przyczyny zdumiewającej pustki w pracowni były dla niego niepojęte aż do przyścia pani Glebowej, która udzieliła mu wyczerpujących wyjaśnień, wprawiając go tym w kompletne osłupienie. - Coś podobnego! - mówił, kiedy już zaludniliśmy nasz pokój. - Żeby nie to, że nie posądzam pani Glebowej o upodobanie do takich dowcipów, tobym nie uwierzył. W głowie się nie mieści! I to rzeczywiście ktoś z was? - Przecież pan zna Matyldę! Przysięgła, że nikogo obcego nie było. - Może wyszła na chwilę?  
- To już milicja dokładnie zbadła. Siedziała jak kamień bez przerwy i tylko raz weszła do gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi. Wtedy właśnie prysnął Jarek, który cały czas na to czatował, ale zrobił to jeszcze za życia. To znaczy za życia Tadeusza. Jak wracał, to już go wszyscy zauważyli. - No, no. I nic nie wiadomo? Kogo oni podejrzewają?  
- Wszystkich. My siebie nawzajem też. Diabli wiedzą...  
Mimo woli rzuciłam niespokojnie okiem na kąt za stołem Witolda, ale diabła nie było. Witold siedział na swoim miejscu, oszołomiony, kiwając głową. - No popatrzcie, a ja przyniosłem plastyk na abażury. Kto by to mógł przypuszczać, że tu się dzieje coś takiego. - Pokaż plastyk! Gdzie masz?  
- A tu. Kawałek, ale mam i taki duży, w arkuszach... Plastyk Witolda wzbudził szalone zainteresowanie. Kilka dni wcześniej, tuż przed jego okolicznościowym urlopem, opętał nas szal produkowania lamp stojących. Wynajdywaliśmy przedziwne możliwości używania najrozmaitszych materiałów niezgodnie z ich przeznaczeniem.

Witold przyniósł wówczas papier, powyginany w bardzo skomplikowany sposób, pozwalający na uzyskanie ciekawych efektów świetlnych, i teraz mieliśmy zamiar w taki sam sposób powyginać twarde, sztywny plastik. Wczorajsza tragedia była już odległa o całą noc, wracaliśmy do normalnego nastroju i tylko Witold czuł się jeszcze nieco nieswojo, ale on z kolei nie uczestniczył w sensacyjnych wydarzeniach, mało znał nieboszczyka, więc też szybko przyszedł do siebie. Jedyne, co nam od wczoraj pozostało, to dziwna niechęć do pracy. Znacznie łatwiej było zająć się tworzeniem dziwolągów z plastyku. Obydwaj z Januszem ucięli kawałek i zaczęli wyginać, co nie okazało się takie proste, jak początkowo przypuszczali. Obserwując z zainteresowaniem ich wysiłki, rzucaliśmy różne odkrywczycze propozycje. - Może naciąć żyłką? - powiedział Wiesio. - Tak lekko, po wierzchu. - Nic z tego - odparł Janusz. - Pęka, już próbowałem. - Przy przykładnicy! Podłóż!...

- Nie, czekaj, przykładnica za gruba. Musi być coś, co ma kant. O, skalówka! Trzymaj!... - Ale tu ci zjeżdża, trzeba trzymać z drugiej strony!

- Ja przytrzymam ten plastik, a ty wyginaj!

- Wiesiek, skalówka się obsuwa, trzymaj, do cholery!

- Czym? Noga? Po chwili już byli zatrudnieni przy tym wszyscy czterej. Zostawiłam ich, stłoczonych w dziwnych pozycjach przy stole Janusza, i udałam się do Alicji. Ustaliłyśmy plan działania. Postanowiłyśmy wprowadzić w czyn genialną myśl prokuratora, sporządzając również harmonogram nieobecności, co nam powinno przyjść tym łatwiej, że z harmonogramami byłyśmy obeznane. Podzieliłyśmy pracownię na rejony i każda z nas miała spisać szczegółowo poczynania przydzielonej części. Następnie zdecydowałyśmy się odbyć konferencję i przeprowadzić naukowe rozważania o dwunastej na kawie w macierzystym lokalu, na parterze naszego budynku. Od razu zabrałam się do dzieła, maglując współpracowników, do których podeszłam dyplomatycznie. Każdy znacznie chętniej mówił o innych niż o sobie. Na tej zasadzie uzyskiwałam stopniowo wszystkie niezbędne mi wiadomości. Po dziesiątej przybyły władze śledcze, które uznały, że będzie im wygodniej prowadzić przesłuchania na miejscu, ze wszystkimi podejrzanymi pod ręką, i zajęły salę konferencyjną. W pozostałych pomieszczeniach powinna była wrzeć praca, ale zamiast pracy od chwili przybycia milicji zaczęły wrzeć gorące kłótnie, dyskusje i awantury. Im dłużej i wnikliwiej oficjalne czynniki pytały, tym więcej osób wymyślało sobie nawzajem. Milicja działała na tej samej zasadzie co ja, tyle że bardziej bezwzględnie. Dysponując wiadomościami bezpośrednio od nieboszczyka nie ukrywała przed badanymi swoich informacji. Ponieważ jednak nie ujawniała równocześnie źródła, każdy ze zdekonspirowanych dochodził do wniosku, że wsypali go ukochani koledzy, i w zdenerwowaniu przez zemstę wsypywał kolegów, a następnie leciał robić piekło właściwej osobie. Od wczoraj władze śledcze zdały wszystkie swoje wiadomości przetrwać, usystematyzować, wyciągnąć wnioski i teraz bezbłędnie trafiały w sam środek tarczy, wydobywając na światło dzienne nasze najgorsze instynkta. W rezultacie sama śmierć Tadeusza niemal poszła w zapomnienie, a wysunęły się na plan pierwszy jej nieoczekiwane i niemiłe konsekwencje. W naszym pokoju był jeszcze spokój. Janusz wygiął wreszcie mały kawałek plastyku i otarłszy pot z czoła patrzył na swoje dzieło z ponurym podziwem. - To jest galernicza robota - oświadczył. - Taki mały kawałek, to jeszcze, jeszcze, ale jak przyjdzie wyginać cały arkusz? Co by tu wymyślić? - A jak się nacina, to pęka - powiedział Witold zmartwionym głosem. - Czekaj, a ciekawe, czyby pękło bez nacinania. to razy można tak łamać?... Daj ten biały! Usiadł wygodnie i zaczął giąć, licząc na głos każde wygięcie. - Trzy - powiedział, postępując z wysiłku. - Cztery, Pięć..."

- Nie, nie mogę - mruknął nagle Wiesio, podnosząc się z miejsca. Podeszedł do radia, które przez cały czas wydawało z siebie przeciągłe, ponure wycie, będące zasadniczą treścią audycji "Pieśni ludowe różnych narodów". Tamci dwaj, zajęci plastikiem, nie zwracali jakoś na to uwagi. Wiesio przestawił na średnią Warszawę. - No, nareszcie - powiedział z satysfakcją Leszek, siedzący bezczynnie przy stole. - Wiedziałem, że ktoś wreszcie tego nie wytrzyma. - To dlaczego pan sam nie zmienił? - spytałam z irytacją, bo grobowe wycie i mnie równie wyprowadziło z równowagi.

- Chciałem zbadać wrażliwość waszych doznań akustycznych. - Dziewięć, dziesięć, jedenaście - liczył Janusz już z nieco mniejszym wysiłkiem. - Dwanaście,



trzyznaś- Ciekawe, jaka teraz będzie piosenka tygodnia - powiedział Wiesio w zadumie, wracając na swoje miejsce. - Bo ten Łazuka na schodach to już mi nosem wyszedł. - Polka galopka - oświadczyłam stanowczo.

- Skąd pani wie? - przeraził się Witold, odwracając się gwałtownie od mamrocącego pod nosem Janusza. - Przeczuję w jasnowidzeniu.

- Ach! Chwała Bogu, myślałem, że pani wie na pewno. Od polki galopki to już bym chyba zwariował. - Dzień dobry państwu - powiedział nagle od drzwi wchodzący do nas kapitan. - A, dzień dobry panu - odparliśmy uprzejmym chórem we troje, Wiesio, Leszek i ja, a Janusz, zaabsorbowany swoją czynnością, wyczuł widać, że powinien jakoś zareagować na powitanie, bo podniósł głos. - Dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden - powiedział dobitnie. Kapitan zatrzymał się w progu i spojrzał na niego lekko zaskoczony. - Chciałbym z tym panem pomówić - powiedział do mnie z odrobiną wahania. - Czy sędzi pani, że można go oderwać od pracy? - Januszek, pan kapitan do ciebie! - wrzasnęłam.

- Dwadzieścia cztery! - odkrzyknął Janusz równie gromko. Kapitan się wyraźnie zainteresował nie znanymi mu widać metodami pracy w biurze projektów. - Co to znaczy? - spytał z zaciekawieniem. - Państwo tak muszą? - Panie Witoldzie, to pan go tak skołował, Niech go pan teraz otrzeźwi! Janusz, oprzytomnij! - Zaraz pięknie - odparł Witold, nie odrywając zafascynowanego wzroku od kawałka plastyku Kapitan stał w milczeniu, patrząc na Janusza z rosnącym zainteresowaniem. Na trzydziestu dwóch pękło

- Trzydzieści dwa - oznajmił Janusz triumfująco. - Da się wygiąć trzydzieści Jeden razy O co chodzi - odwrócił się do nas, dumnie machnął nadpękniętym plastykiem i dopiero teraz zauważył kapitana - A co, pan do mnie? - Pan pozwoli do nas na chwilę, mamy kilka pytań Witoldowi w czasie szarpania opornego tworzywa sztucznego wystygła herbata, więc zaczął teraz jeść śniadanie Przyglądałam mu się w-zamyśleniu, usiłując odgadnąć, w jakim stadium śledztwa jest JUŻ milicja Na kartce papieru spisałam sobie w porządku chronologicznym znane mi godziny poczynań współpracowników, przygotowując grunt do rozważań z Alicją Potem znów przyjrzałam się Witoldowi, który, pogrążony w nie mniejszym niż ja zamyśleniu, jadł pomidora W drugiej ręce trzymał solniczkę Sądząc z jego wyrazu twarzy pomidor mu bardzo nie smakował Zjadł połowę, drugą obejrzał z wyraźnym obrzydzeniem, zawahał się, wreszcie wrzucił ją do kosza na śmieci i zajrzawszy za nią, starannie posolił - Panie Witoldzie, co pan robi? - spytałam z łagodnym zainteresowaniem, bo te zabiegi kulinarne wydały mi się nieco dziwne. Witold spojrzał na mnie, znów zajrzał do kosza i nagle zaczął się przeraźliwie śmiać. Leszek, stojąc przy swojej desce, rysował tuszem na kalce następny obraz. Zastopował na chwilę twórczość, przyjrzał się Witoldowi i wrócił do obrazu. - Tu jest skażona atmosfera - oznajmił proroczym tonem, czyniąc zamaszysty gest patykiem umaczanym w tuszu. - Nikt się nie uchowa. Ostatni normalny zwariował! - Ten pomidor mi okropnie nie smakował i nie wiedziałem dlaczego - wyjaśnił Witold, nie przestając się śmiać. - A ja go zapomniałem posolić! Nie znoszę niesolonych pomidorów. - To dlatego dosolił go pan w koszu? Już i pan w piętke goni... - westchnęłam smutnie. - A właśnie, bo wie pani, tak się zamyśliłem... Zastanawia mnie jedna rzecz. Jak to mogło być, że oni tam w gabinecie nic nie usłyszeli? I w ogóle coś z tym gabinetem mnie męczy... - Podobno Zbyszek coś słyszał - przerwał Wiesio. - Mówi, że słyszał dwa męskie głosy, ale nie zwrócił na to uwagi i zaraz potem wyszedł z pokoju. - A Witka przy tym nie było? - Był, ale krótko, też wyszedł, jeszcze przed Zbyszkiem. Nic nie mówi, że słyszał... To znaczy, mówi, że nic nie słyszał. - A Zbyszek tych głosów nie rozróżnił?

- Nie, mówi tylko, że wydawały mu się męskie, - No właśnie - powiedział Witold.

- Ale potem... Jak to było? Mówiła pani, że Zbyszek napadł na panią, jak tylko zobaczył Stolarka, i że tam była cała pracownia. To którzy oni weszli? Od korytarza? - Od korytarza.

- A dlaczego nie wprost z gabinetu? Wszyscy troje patrzyliśmy nieinteligentnie na Witolda, zaskoczeni jego prostym pytaniem. - Rzeczywiście - powiedział Wiesio. - Dlaczego nie wprost z gabinetu? - Rzeczywiście - powtórzyłam. - Przecież to jest najprostsza droga, a drzwi są otwarte. - A były otwarte? - Nie mam pojęcia. Wy nie wiecie? Okazało się, że nikt nie zwrócił uwagi na drzwi pomiędzy gabinetem a salą konferencyjną Zazwyczaj stały otworem i nawet

nie wiedziałam, gdzie jest od nich klucz. Łączyły ze sobą te dwa pomieszczenia i przez nie prowadziła najkrótsza droga do miejsca zbrodni. Dlaczego Witek ze Zbyszkim nie skorzystali z niej, tylko oblecieli całe biuro dookoła? - No proszę, nowy ślad - ucieszył się Wiesio. - Ciekawe, czy milicja już to sprawdziła. - Ja tego nie rozumiem, ale może po prostu zgłupieli? - powiedział z powątpiewaniem Witold. - Jak wylatywali z gabinetu, to jeszcze nie wiedzieli, co się stało, nie mieli od czego zgłupieć. - Nad czym wy się zastanawiacie - powiedział z dezaprobatą Leszek znad swojego obrazu. - Przecież to proste. Morderca zamknął, żeby mu nikt nie przeszkadzał. - Wiesiu - spytałam. - Czy w czasie twojej kariery w tym biurze te drzwi bywały zamykane? Pracujesz tu najdłużej z nas wszystkich. Wiesio zamyślił się i po chwili potrząsnął głową: - Nie przypominam sobie. Nawet nie wiem, gdzie jest klucz. Klucz!!... A może to ten?!... Natychmiast przypomniał mi się klucz, który wyleciał z naszego wazonu. - Jaki ten? - zaciekawił się Witold. Czym prędzej opisaliśmy mu scenę, będącą tak znakomitą ukoronowaniem rewizji. - No właśnie, a ja już od rana chciałem się spytać, co tu tak cholernie śmierdzi? Może i rzeczywiście ten? - Trzeba tym Holmesom zwrócić na to uwagę, niech się pomęczą... Janusz wrócił z przesłuchania wyraźnie spłoszony. Zapalił papierosa i popatrzył na nas ze stropionym wyrazem twarzy. - Ale miałaś pomysł z tym Tadeuszem, ho, ho! Ekstra klasa! Ja w tych warunkach nie mogę pracować. Po tym całym badaniu to ja już nie wiem, czy to Tadeusz wykłócił, czy Witek, czy jeszcze kto inny i czy to przypadkiem nie ja go zabiłem. Jak Boga kocham, skołowali mnie do reszty! Bez jednego głębszego tu się nie obejdzie, Leszek, idziesz? Na tę nieoczekiwana propozycję Leszek okazał żywą radość, czym prędzej porzucając twórczość. Rozgoryczony Janusz odmówił bliższych wyjaśnień i zanim się zdażyliśmy obejrzeć, już ich nie było. Z jego wypowiedzi zrozumiałam tylko to, że ziarno rzucone przez Marka padło na żyzną glebę i władze śledcze rzeczywiście biorą pod uwagę możliwość pomyłki co do osoby ofiary. Od tej możliwości zrobił mi się taki melanz w głowie, że dalszą zwłokę uznałam za niedopuszczalną. Zabrałam swoje śledcze zapiski i Alicję i poszłyśmy na kawę. - Głupiaś - powiedziała stanowczo Alicja, kiedy, zaczynając od końca, sprecyzowałam jej ostatni pomysł przedstawicieli praworządności. - Milicja może tak myśleć, ale nie my. Kompletny nonsens! Wierzysz w to, że ktokolwiek z nas nie odróżnił Witka od Tadeusza? - Byli prawie tego samego wzrostu - odparłam z wahaniem. - Czy ja wiem, może z tyłu...? - Z żadnej strony. Witek jest blondyn, a Tadeusz czarny, nawet łysieli różnie, Tadeusz od tyłu, a Witek od przodu. Morderca musiałby być zupełnie pijany, a jestem pewna, że wczoraj nie było w pracowni nikogo do tego stopnia pijanego. Po namyśle zgodziłam się z nią. - No dobrze, wobec tego teraz myślmy rozsądnie... - Potrafimy? - spytała Alicja z powątpiewaniem. - Będziemy się starać. Zaczniemy od początku. Dlaczego Tadeusz wyszedł przed śmiercią z pokoju i poszedł do sali konferencyjnej? - Bo po śmierci już by mu się to nie udało... - -Ja do ciebie mówię poważnie! - Widocznie chciał zginać w spokoju, a nie w tym hałasie, który oni tam robią. A teraz to ci się przyznam, że już mi się wszystko pomyliło i nie wiem, co wymyśliłaś, a co było naprawdę. Zdaje się, że mówiłaś coś o jakimś telefonie? - Jakbyś zgadła! Telefon też był, niech go-jasny piorun trafi! I Tadeusz sam go odebrał, wszystko dokładnie tak, jak uprzednio postanowiłam. W tym czasie w pokoju siedzieli Andrzej i Danka, więc siłą rzeczy żadne z nich nie mogło dzwonić. - Dobrze, że chociaż dwie sztuki odpadły. O której to było godzinie? - Około dwunastej piętnaście, stwierdzili na podstawie dziennika. O tej samej porze w gabinecie konferowali jeszcze Witek, Olgierd i Monika, wypadaloby ich także uniewinnić. - Jaka szkoda! - powiedziała Alicja z żalem. - Cały czas miałam nadzieję, że to może jednak Witek! - - Nic ci na to nie poradzę. W moim pokoju był Janusz, tkwił murem przy stole, na własne oczy widziałam. Leszek i Wiesio też byli, ale ponieważ wychodzili, nie dam głowy, czy któryś z nich nie zdażył zadzwonić. A co u ciebie? - Dziękuję, wszyscy zdrowi... - Mów poważnie, bo cię kopnę! - Kopnij - zgodziła się Alicja. - To jest, chciałam powiedzieć, już mówię. U nas był... Czekaj, mam zapisane. Stefan, Kazio, Ryszard, Wieśka i Włodek. No i Kacper. - Jesteś pewna?

- Całkowicie. Krzyczeli do siebie nawzajem, a Kacper odkręcił radio na cały regulator, trudno było tego nie zauważyć. Robili ten hałas bardzo długo, ustaliliśmy, że prawie do wpół do pierwszej. - Nikt z nich nie dzwonił?

- Owszem, ja. Ale daję ci słowo, że nie do Tadeusza.

- Rozumiem, że w tym czasie słyszałaś Zbyszka w wychodku? - Zaraz potem. Z kim on tam był, u diabła? Z panią Glebową? Milczałam, świadoma tego, że Alicja jest na progu odkrycia tajemnicy Zbyszka. Całe szczęście, że właśnie ona, a nie ktoś inny. Miałam pewność, że odkrywszy, będzie milczeć jak grób, ale wolałam jej w tym nie pomagać. Alicja, której zaczęło coś świtać, patrzyła na mnie z zaciekawieniem. - Wiesz i nie powiesz, co? Czekaaj, zaraz wydedukuję sama. Prawie wszystkie nasze babki zlokalizowane, bez miejsca zostają tylko... czekaaj, pani Glebowa, Jadwiga... i Anka! Anka?!... - Anka, Anka, daj jej już spokój. Tu jest pogrzebany bardzo ładny pies, który mi się cholernie nie podoba, zostawmy na razie ten temat. Ustalmy wreszcie, kto dzwonił Obawiam się, że za chwilę dokonamy wspaniałego odkrycia, że duchy. - To by się nawet zgadzało, nieboszczyk dostarcza informacji, a" duchy posługują się telefonem. Czekaaj, pozwól, że się otrząsnę. Anka?... Jestem zbulwersowana To znaczy, że ona się wcale nie szarpała z garderobą, tylko gruchała ze Zbyszkiem u Olgierda? Nadzwyczajne! - Dobrze, odbulwersuj się i słuchaj Zostają nam następujące osoby: Wiesio, Leszek, Jadwiga, ta gruchająca para i Kajtek. - No i pani Glebowa...

- Odczep się wreszcie od pani Glebowej. Kajtek spędził bardzo dużo czasu, stojąc jej nad głową w komórce i patrząc w garnek, bo gotował sobie serdelki. Gotowanie serdelków dzwonięcia nie wyklucza. - To znaczy, że musiał to być ktoś z nich, jeżeli odpadają czynniki nadprzyrodzone. Co nam z tego? - Jeszcze nie wiem. Czekaaj, zapomniałam ci powiedzieć o jednej nadzwyczajnie ważnej rzeczy. Tadeusza nie uduszono od razu... - Tylko stopniowo? Jakiś sadysta?

- Nie, nie to. Przed uduszeniem został zaprawiony w globus naszym dziurkaczem.

- Ach, to dlatego był zepsuty? - ucieszyła się nie wiadomo czemu Alicja. - Opamiętaj się. Nie dziurkacz był zepsuty, tylko zszywacz i to na długo przed tym niestosownym użyciem. - Tak? Możliwe. To mi się widocznie pomyliło. Ale to odwraca moje pojęcia, do tej pory myślałam, że mordercą musiał być silny facet, natomiast w świetle dziurkacza dopuszczam nawet subtelną kobietę. - No teraz sprawdzajmy alibi. Masz spisane godziny? Alicja wyciągnęła z kieszeni kilka drobno zapisanych kartek. - Tak, tutaj. Nie, czekaaj, tu jest spis bielizny, którą oddałam do prania. To też nie, tu mam zestawienie dłużników i wierzycieli... Może to? Zaraz... Oddać pończochy do łapania, wymienić żarówki... Nie, nie to. Gdzie ja to mam? - Może po drugiej stronie? - spytałam zrezygnowana.

- A rzeczywiście, masz rację. Jest! Przystąpiłyśmy do sporządzania harmonogramu niewinności. Na kawałku papieru w kratkę zaczęłyśmy wkreślać rozmaite skomplikowane znaki. Po długich wysiłkach i obliczeniach uzyskałyśmy rewelacyjne rezultaty. Wypadło nam, że w żaden sposób nie mogło popełnić tego morderstwa mnóstwo osób. Jako podejrzani ostali się tylko Witek, Zbyszek, Anka, Kajtek, Jadwiga, Ryszard, Kacper i Monika. - Właściwie Ankę też należy wyrzucić - powiedziała Alicja. - Popatrz, tu mam zeznanie Moniki. Widziała ją, jak szła od nich do naszego pokoju, weszła i już nie wychodziła. Kacper to poświadcza i Kazio. Jak tylko weszła, przełączyła radio, godziny się zgadzają. - Popatrz, kto by to pomyślał, że te radioodbiorniki tak się nam przydadzą! Gdyby nie to, chyba żadna ludzka siła nie zdołałaby niczego konkretnego stwierdzić, - nikt przecież nie siedzi z wzrokiem bez przerwy utkwionym w zegarek. - Więc co? Anka jednak nie miała szans.

- To zależy, gdzie ją Monika widziała. Czy nie mogła akurat wchodzić albo wychodzić z sali konferencyjnej? - Nic z tego. Anka szła od drzwi ich pokoju i Monika widziała w lustrze, jak weszła do naszego. Nie ma wątpliwości. Wpisałam Ankę w odpowiednią rubrykę.

- A Zbyszek? - powiedziałam z nadzieją. - Czy on mógł zdążyć? Opuścił ten ich przybytek wcześniej niż Anka, a dał się widzieć później. Czekaaj, sprawdźmy. Nie, tu go uniewinnia Matylda, potem wyszedł tu... A w tym miejscu był już u was. Mnie tu wychodzą dla niego cztery minuty. - Nie starczy?

- Musiałyby wziąć dobre tempo. Obliczmy, wyobraź to sobie. Zaprawienie dziurkaczem to jest sekunda, łagodne ułożenie nieboszczyka na podłodze, to ile?

Pięć sekund? - Przyjmijmy, że dziesięć. Był zdenerwowany i mógł sobie otrzeć pot z czoła, to też trwa. - No to otrzyj sobie, zobaczymy, jak długo. Nie rób masażu całej twarzy, tylko otrzyj pot! Do licha, masz przecież wyobraźnię! Wytężywszy wyobraźnię Alicja starannie wytarła wyimaginowany pot. Powtórzyła tę czynność kilka razy, a ja patrzyłam na zegarek. Jakiś pan siedzący przy sąsiednim stoliku zaczął się nam przyglądać bardzo podejrzliwie. Uznałyśmy, że na pot wystarczy cztery sekundy. - No to na wszystko razem mamy dziesięć sekund. Nieboszczyk leży na podłodze i teraz go trzeba dodusić. Zakładam, że pasek to bydlę miało przygotowany, ile czasu mógł go dusić? - Co najmniej dwie minuty, jeżeli chciał mieć pewność, że mu nie zamrtwychwstanie. - Dorzućmy dwadzieścia sekund na szarpanie się z nieboszczykiem, żeby mu ten pasek dobrze założyć. już mamy? Dwie i pół minuty. - A teraz jeszcze musi wytrzeć dziurkacz, skoro mówiłaś, że był wytarty. Wyjmuje z kieszeni chustkę do nosa... - Wielki Boże! - przerwałam i spojrzałam na Alicję w olśnieniu. Chustkę do nosa! Stąd ta mania zbierania gałganów! Oczywiście, że szukali tej szmaty, którą dziurkacz został wytarty, jak można było nie domyślić się od razu?! - Jednakże należy nas uznać za bandę tępych matołów - oświadczyłam stanowczo. - Nas jak nas - odparła Alicja krytycznie. - Tak mówiąc między nami, to o tym dziurkaczu wiedziałaś tylko ty... - Zaraz się zrehabilituję. Wyciera dziurkacz... Jak długo?- To zależy, czy jest z natury porządny. Może nawet na niego pluć i czyścić go do połysku. - Razem z połyskiem nie zajmie mu to więcej niż pół minuty. Przy dużej sprawności zbrodniarza można przyjąć na całe morderstwo minut trzy. Zbyszek, niestety, zdąży. - To ilu nam tych bandytów zostało? - zaciekawiała się Alicja, zajrzawszy przedtem do filiżanki i stwierdziwszy, że nie ma już kawy. - Niedużo, siedem sztuk. Teraz zobaczmy, jak nam się to kojarzy z telefonami. Kto z nich miał szansę dzwonić? - Pokaż. Tylko troje? Jadwiga, Zbyszek i Kajtek?!... Popatrzyłyśmy na siebie w milczeniu. Dopóki osoba mordercy pozostawała w sferze mglistych przypuszczeń, całe śledztwo mogłyśmy uważać wręcz za rozrywkę. Teraz się nam nagle dziwnie blisko skryształizowała i zrobiło się nam głupio. - Daj spokój - powiedziała niepewnie Alicja. - Sądzisz, że to istotnie ktoś z nich? Czułam się bardzo niewyraźnie. Wiedziałam, że Tadeusz szantażował Zbyszka. Jego romans z Anką zaczął się na kilka miesięcy przed jej ślubem. Wychodząc za mąż Anka nie przejawiała szaleńczej radości, przeciwnie, wyglądała jak zmora. Wszystko wskazywało na to, że owe uczucia do tej pory jeszcze nie wygasły, chociaż romans ze Zbyszkim nie miał przyszłości. Zbyszek nie rozwiódłby się w żadnym wypadku ze względu na dziecko, a z narzeczoną Anką musiała się na coś zdecydować, bo właśnie dostawał przydział na spółdzielcze mieszkanie. Tadeusz o tym wszystkim niewątpliwie wiedział... - Wieśka była dostatecznie bystra, żeby sobie również coś skojarzyć, ponadto Stefan zdążył ją poinformować, że Zbyszkowi Stolarek też był winien. - No nie - zaprotestowałam okropnie zdegustowana. - To mi się absolutnie nie podoba. Ja nie chcę, żeby to był Zbyszek! - Żebyś ty wiedziała, jak ja nie chcę... - Ale jeszcze mamy tamtych dwoje. Ja już naprawdę wolę, żeby to był Kajtek! - Ale Tadeusz mu rzeczywiście żyrował weksle! Zastanów się... - A czy ty wiesz, ile Kajtek mu był winien?! - Komu? Kto? Kajtek Tadeuszowi? A nie odwrotnie? Przecież Kajtek spłacił Tadeusza dzięki tym kantom z ORS-em i jeszcze mu pożyczył! - Guzik - oświadczyła Alicja stanowczo. - Spłacił mu część. Kajtek rozwalił cudzy motor i remontował go za pieniądze Tadeusza. Musiał się bardzo śpieszyć, żeby się właściciel nie dowiedział, Kacper też o tym nie wie. A do tego ta dziewczyna, z którą głupi smarkacz koniecznie chce się żenić! Kacper mu zapowiedział, że go wyrzuci z domu na zbity pysk!... - To są wszystko niepoważne powody... - A Kajtek jest poważny? Nieodpowiedzialny szczeniak, ja nawet nie wiem, czy on sobie zdawał sprawę z tego, co robi! - Przecież nie jest niedorozwinięty! Nie, no, nie przesadzaj. Nie twierdzę, że to nie on, ale jeżeli on, to zupełnie nie mogę zrozumieć dlaczego. Tadeusz był dla niego znacznie bardziej cenny za życia niż po śmierci. Ustawicznie coś razem kombinowali. - No to nie wiem. Zreszta, ja nic nie wiem, tylko nie zgadzam się, żeby to był Zbyszek. Może Jadwiga? - Jeżeli nieboszczyk mógł jej jakoś przeszkodzić w jej planach życiowych, to trzech groszy bym za nią nie dała. Tylko jak?...

Zamyśliłyśmy się bardzo ponuro.

- Zbyszek - mruknęła Alicja. - Mój Boże, wszystkiego bym się spodziewała, tylko nie czegoś takiego. Zbyszek... - Cała moja nadzieja w tym, że może jesteśmy głupie i źle myślimy. Wszystko odwrotnie, błędnie i bez sensu - powiedziałam bez przekonania, bo jednak harmonogram nieobecności mówił sam za siebie, a przy tym mogłam mieć pewność, że współpracownicy znacznie więcej prawdziwych wiadomości udzielali nam niż milicji. Na razie sytuacja wyglądała fatalnie. Zbyszek miał i motyw, i możliwość. - No, a drzwi? - spytała po chwili Alicja. - Te drzwi od gabinetu? - A właśnie. Mam nadzieję, że w tym coś jest. Może ty wiesz, gdzie zazwyczaj leżał klucz od nich? Alicja się zamyśliła. - Dawno temu - powiedziała powoli i rozwleknie. - Dawno, dawno temu... - Na litość boską, kiedy? Przed pierwszą wojną światową?! - Nie, przed trzema laty. Jeszcze za czasów naszego prawdziwego dyrektora ten klucz leżał u niego w szufladzie. Byłam świadkiem, jak zamknął nim drzwi do sali konferencyjnej. Wyciągnął go z najniższej szuflady, przypuszczam, że potem schował go tam na powrót. - Obawiam się, że tym razem wyjątkowo Leszek ma rację. Morderca zamknął drzwi na klucz, tylko po co? - Żeby się zabezpieczyć. Nie wiesz? Mogły mu się otworzyć samoczynnie w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Istotnie, klamka tych drzwi była zepsuta i niekiedy otwierały się znienacka bez żadnego powodu. Myślałam, że to zostało już naprawione, ale Alicja była lepiej poinformowana. - No dobrze, a co potem zrobił z tym kluczem? Jak go zabrał z szuflady, jeżeli był w szufladzie? Nie; no to okropne, wszystko wskazuje na Zbyszka, koszar! - A może jednak Jadwiga? Zbyszek słyszał dwa męskie głosy, Jadwiga mówi basem... Zgrupowanie podejrzeń wokół Zbyszka zdenerwowało mnie w najwyższym stopniu. Gdyby to istotnie on miał być mordercą, byłam wręcz gotowa sama zacierać ślady. Zbyszek! Jedyny naprawdę porządny człowiek nie tylko w naszej pracowni, ale chyba w ogóle we wszystkich biurach projektów. Szlachetny, rycerski, prawdomówny Zbyszek, moja największa, najgorętsza, platoniczna sympatia... Pełna niepokoju o Zbyszka usiłowałam zebrać jakoś myśli, bo cały czas miałam mgliste wrażenie, że zostało nam jeszcze mnóstwo szalenie ważnych rzeczy do omówienia. Coś jeszcze mnie męczyło i nie mogłam sobie uprzytomnić co. - Mamy jedną przewagę nad milicją - zauważyła bystrze Alicja. - Znamy ich wszystkich i wiemy dokładnie, czego możemy po nich oczekiwać, znamy stopień ważności ich problemów, jeśli wiesz, co mam na myśli. Kivnęłam głową ze zrozumieniem.

- Właśnie. Niech to sobie nawet wygląda głupio, ale weź na przykład Ryszarda. Nie masz przecież wątpliwości, że ten wyjazd to dla niego jedyna szansa życiowa, warta dziesięciu nieboszczyków. Albo Monika... - Monika jest za mądra na to, żeby się tak wygłupić, ostatecznie ma te swoje dzieci. Chociaż, kto wie? A może właśnie dla zabezpieczenia dobrobytu dzieciom byłaby zdolna do morderstwa? - Diabeł mówił to samo - mruknęłam. - Przestań, bo cofniemy się w rozwoju do zera. To już prędzej Jadwiga dla zapewnienia dobrobytu dziecku... - No proszę, mówiłam, że Jadwiga!...

- Gliny was szukają po całym budynku - powiedział Wiesio, stając nam nagle nad głową. - Domyśliłem się, że tu jesteście i przyszedłem, bo jestem cholernie ciekaw dalszego ciągu śledztwa. Idźcie prędko zeznawać. Wiesio doniósł milicji o drzwiach do gabinetu, w związku z czym poszukiwana była Alicja, pracująca w naszym biurze niemal tak długo jak on sam. Starsi stażem od nich byli tylko Witek i Matylda. Mnie na razie nie potrzebowali. Leszka w pokoju nie było, Janusz i Witold pracowali nad arkuszem plastyku. Miejsce Witolda było wolne i ledwie zdążyłam usiąść przy swoim stole, pojawił się diabeł. Zamknęłam oczy, potrząsnęłam głową, otworzyłam je i spojrzałam. Diabeł usiadł wygodniej. - Głupia jesteś beznadziejnie - oznajmił z dezaprobatą. - Kto ci powiedział, że telefon musiał być od mordercy? To mnie natychmiast zaciekawiło i postać złego ducha wydała mi się nagle wręcz sympatyczna. - A co? - spytałam z zainteresowaniem. - Zakładasz czyjeś współnictwo? - Chyba twoje - odparł pogardliwie. - Nie przyjdzie ci do głowy taka prosta rzecz jak to, że ktoś inny miał do niego jakiś inny interes? Potrząsnęłam głową. - Toby się przyznał. Cała pracownia grzmiała tym telefonem i nie było takiego, co dzwonił. Gdyby był niewinny, nie miałby powodu tego ukrywać. - Mógł się obawiać, że padną na niego podejrzenia. Dużo tu mieliście ze Stolarkiem śliskich interesów. - Mało prawdopodobne. Ktoś wydzwania nieboszczyka z pokoju i w chwilę potem wezwany

ginie w sali konferencyjnej. Zadziwiający przypadek! - Wiesz, że ty mnie wyprowadzasz z równowagi - powiedział diabeł niecierpliwie. - Nie przypuszczałem, że jesteś do tego stopnia wyzuta z inteligencji. Kto powiedział, że w chwilę potem? Wydzwonił go o dwunastej piętnaście, tak? A o której wykitował? Wiesz? Guzik wiesz! Po tak krótkim czasie lekarz milicyjny może to stwierdzić z dokładnością do piętnastu minut. A może kojfnął zaledwie na kwadrans przed przyjściem Janusza? Sprawdź, masz możliwości. - Jakie znowu możliwości - odparłam w roztargnieniu, bo uwaga diabła roztoczyła przede mną nowe nadzieje i poczułam się nią bardzo przejęta. - Przede mną nie musisz udawać idiotki - powiedział diabeł złośliwie. - Obydwoje dobrze wiemy, co cię tak pcha do tego śledztwa. Nie tylko Zbyszek, nie tylko... Gdyby prokurator był stary, żezowaty, koślawy, tobyś od razu była mniej zainteresowana. - Nie zwracaj głowy, co z tego, że ja jestem zainteresowana... - Co to za denerwująca praca z tymi ludźmi? Za co mnie tak skarali! - westchnął diabeł zirytowany. - Ślepa jesteś czy co? Nie widzisz, że on też poleci na ciebie? Przecież to się czuje, ty trąbo! - Myślisz?... - spytałam z powątpiewaniem.

- Ja nie muszę myśleć, ja wiem. Leć do niego, leć, ty mu coś powiesz, on ci coś powie, nawzajem sobie poopowiadacie... Pamiętaj, że o kluczu wiesz tylko ty i morderca. - Oszalałeś? - spytałam gniewnie. - Coś ty znów wymyślił, dlaczego tylko ja i morderca? - Pomyśl, a zgadniesz. Nie będę ci ułatwiał, ja nie jestem od ułatwiania. Jedyne, co ci chętnie ułatwię, to zgrzeszyć z prokuratorem. - A proszę cię bardzo, ułatw, ułatw, jeśli potrafisz. Nie będę od tego - odparłam jadowniczo. Diabeł objął dłońmi kudłate kolano i chichocząc złośliwie kiwał się w przód i w tył na krześle Witolda. Potem pochylił się ku mnie i oparł dłonie o moją deskę. - Jedno ci tylko powiem, bo nie lubię, jak ktoś ma głupie złudzenia. Ja wiem, jaki czas przyjął lekarz milicyjny: dokładnie ten, w którym Zbyszek nie ma alibi... - Żeby cię jasny piorun trafił, ty przekłete ścierwo! - powiedziałam z furją. - Idź do wszystkich diabłów! Zejdź mi z oczu! - Jak będę chciał, to zejde - prychnął diabeł. - Nie tak łatwo się mnie pozbędziesz, o nie! Sama wiedziałam, że nie ma na niego siły. Batalie z wyobraźnią zawsze przegrywałam. Patrzyłam na niego z obrzydzeniem, aż nagle przyszło mi do głowy, że przecież nie jestem przywiązana do tego miejsca. Niech sobie siedzi to bydlę do sądneho dnia! - Do widzenia - powiedziałam zimno. - Wypchaj się trocinami i tłuczonym szkłem. Nie mam powodu być dla ciebie uprzejma. Wstałam z krzesła, zabrałam papierosy i godnie opuściłam pokój. Na wszelki wypadek wolałam się nie oglądać, bo zawsze istniała możliwość, że diabeł pójdzie za mną. Niepewność co do Zbyszka była dla mnie nie do zniesienia, więc udałam się wprost do gabinetu. Witka nie było, Zbyszek siedział sam i robił wrażenie nieco przygnębionego. Właściwie od pewnego czasu był to jego normalny stan ducha, spowodowany nie tylko jego prywatnymi kłopotami, ale także losami pracowni, której bliskim upadkiem był ogromnie przejęty. Postanowiłam teraz rozstrzygnąć sprawę i zyskać wreszcie jakąś pewność. - Panie Zbyszku - powiedziałam cicho. - Zważywszy wszystkie wypowiedzi, które swymi czasami między nami padły, nie ma pan chyba wątpliwości, że gdyby pan nawet wymordował pół miasta, z mojej strony nie spotkałby się pan z potępieniem. Zbyszek spojrział na mnie znad różnych szpargałów i w oczach błysnęło mu zainteresowanie. - Rzeczywiście, nie mam takich wątpliwości. Pani ma odwrócone pojęcia dobrego i złego. Do czego pani zmierza? - Zamordowanie Stolarka jest moim zdaniem nie przestępstwem, a czynem społecznym, godnym najwyższej pochwały - ciągnęłam dalej. - Zabójca powinien zostać nagrodzony, a nie ukarany. Wyświadczył przysługę społeczeństwu i pan o tym wie równie dobrze jak ja. Mówię to wbrew własnym stratom, na jakie mnie ta zbrodnia naraziła. Niech mi pan powie prawdę: czy to pan go załatwił? Zbyszek wzdrygnął się gwałtownie.

- Wie pani co - powiedział gniewnie. - Ja naprawdę mam dość denerwujących zajęć i kłopotów. Niech mi pani nie zwraca głowy. - No to niech pan posłucha. Z całej pracowni zostały tylko trzy osoby, które miały pełną możliwość i dostateczne powody, żeby go udusić. W tej liczbie jest pan i to na czele. Chciałabym usłyszeć od pana prawdę i wierzę, że pan ją powie. Muszę wiedzieć, bo jeżeli to pan, to nie tylko poniecham współdziałania z milicją, ale zrobię, co tylko się da, żeby całą hecę dokładnie zagmatwać. Zbyszek nagle spowaźniał i popatrzył na mnie w zamyśleniu. - Na jakiej podstawie pani tak twierdzi?

- Szczegółowego badania naszych poczynań, które milicja również przeprowadza. Zresztą... przyczyny pańskiej ewentualnej niechęci do Tadeusza są chyba bardziej warte ukrycia niż sama zbrodnia jako taka, prawda? Jeśli będą dalej grzebać, to dogrzebią się stanowczo za głęboko. A jeśli to nie pan, to niech mi pan już spadnie z głowy i niech ja mogę spokojnie przyczepić się do kogoś innego. Mam pana przekonywać? Sam pan wie najlepiej... Zbyszek milczał długą chwilę, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Potem nagle jakby się ocknął i podjął decyzję. Poczułam, jak mi się robi wewnątrz dziwnie głupio, i czekałam w okropnym napięciu.

- To pani jest wszystkim winna - powiedział z wyrzutem. - Zanim pania poznałam, żyłam sobie spokojnie i drętwo...

- A ja obudziłam w panu ludzkie uczucia. Powinien mi pan być wdzięczny. - I chyba jestem. Z jednej strony mam do pani głęboki żal, a z drugiej dużą wdzięczność. Przewiduję potworne kłopoty. Ale to jedno mogę pani powiedzieć: daję pani słowo honoru, że to nie ja go zabiłem. Czy to pani wystarczy? - O, chwała Ci, Panie - powiedziałam z ulgą, bo piramida kamieni młyńskich zleciała mi z serca. Znałam Zbyszka dostatecznie dobrze i dostatecznie dobrze on znał mnie, żebym mogła się pozbyć wszelkich wątpliwości. - Czy w razie czego potrafi pan to udowodnić? - Potrafię - odparł zimno, udając, że się pilnie wpatruje w rozłożone przed nim papiery. - Po prostu nie miałem powodu. No, to nie miało żadnego sensu! Musiałam przecież znaleźć coś, żeby móc go oczyścić także w oczach oficjalnych władz. Spojrzałam na niego krytycznie i wytrzymałam chwilę potępiającego milczenia. - Komu pan to mówi? Mnie? Pan wie i ja wiem, że pan wie, że ja wiem, że chodziło o Ankę. - Pomiędzy mną a Anką nigdy nie było nic takiego, co by trzeba było ukrywać - zaprotestował Zbyszek tak stanowczo, że niemal byłam bliska uwierzenia. Pokiwałam głową z uznaniem. - Bardzo dobrze pan to robi i niewątpliwie wszyscy w to uwierzą, opierając się na pańskiej nieskalanej nocie. Ale ja mam swoje wiadomości. Mam panu przypomnieć? Pilnie zważając na to, żeby nie podnosić głosu, powiedziałam kilka rzeczy, wymieniałam kilka dat, opisałam drobne sceny... - Wie pan dobrze, że żadna siła nie wydobędzie ze mnie na ten temat ani słowa, Ale jeśli Tadeusz wiedział tyle samo? Albo nawet tylko połowę tego? I jeśli oni zdołają stwierdzić, co on wiedział?... Zbyszek poniechał udawania, że ogląda papiery. Wstał od stołu i wyjrzał przez okno, które wychodziło na zamknięte podwórze i za którym na pewno nie było nic ciekawego. - No to pani powiem. Tadeusz wykrył, że byłem z Anką u lekarza zaraz po jej ślubie. Miała pewne podejrzenia, na które w tym związku akurat nie było miejsca I tym mnie szantażował tak długo, aż się okazało, że te podejrzenia były całkowicie bezpodstawne, Bogu dzięki Sama pani rozumie, że teraz możemy się wszystkiego wyprzeć, Tadeusz nie miał żadnego dowodu... - odwrócił się nagle i spojrzał na mnie, tknięty nową myślą - Gdybym miał kogokolwiek zabijać, to tylko panią, nikt o mnie tyle nie wie... Nie przejęłam się tą możliwością, nad czym innym myślałam intensywnie. - Krótko mówiąc, jak dla pana, to on został sprzątnięty za późno?

- Właśnie.

- No tak. Do bani taki dowód. Po pierwsze, nie powie pan tego nawet w cieniu szubienicy, a po drugie to Jest właśnie to, co trzeba ukryć. Że też mi pan tego od razu nie powiedział, sama bym z nią poszła i potem mogłybyśmy przysięgać, że to ona poszła ze mną Mnie moja opinia jest doskonale obojętna. Boże drogi co ja z panem mam!

- Jaki tam błąd! Jeden rozsądny uczynek. To teraz niech mi pan powie, jak to było z tymi drzwiami? Zbyszek wrócił na swoje miejsce i siadając spojrzał na mnie ze zdziwieniem. - Z jakimi drzwiami?

- A z tymi, o - pokazałam palcem drzwi do sali konferencyjnej. - Jeszcze pana milicja nie pytała? Dlaczego nie przeszliście tędy, jak się zaczęło to przedstawienie, tylko lecieliście przez dwa przedpokoje? - Nie wiem - odparł Zbyszek nadal zdziwiony, wyraźnie usiłując się skupić. - A nie, wiem! Po prostu były zamknięte. - Skąd pan wie?!

- Próbowałem. Wyskoczyłem zza stołu i odruchowo chwyciłem za klamkę. Nawet się nie zastanawiałem, dlaczego są zamknięte, dopiero teraz pani mi to uprzytomniła. Zaraz potem wybiegłem za Witkiem na korytarz. - Witek wyleciał pierwszy? Nie próbował się przedostać tymi drzwiami? - A wie pani, że nie... - Zbyszek

zatrzymał się nagle i przez chwilę intensywnie myślał. - Zaraz, niech sobie przypomnę. Nie, Witek prosto zza biurka wyskoczył do przedpokoju, a ja się zatrzymałem właśnie próbując drzwi. - Bardzo ciekawe - powiedziałam i popatrzyliśmy na siebie bez słowa. Zbyszek pokręcił głową. - Może go wyniosło siłą rozpędu? Ja miałem bliżej... - i nagle dodał innym tonem: Pani Joanno, wie pani co? Z całego serca pani radzę, niech pani to zostawi. To jest nieprzyjemna sprawa, niech się milicja sama w tym grzebie. Nie ma pani nic do roboty? - Owszem - odparłam zgryźliwie. - Planszę zbiorczą instalacji, do której Tadeusz miał mi dać dane. Jest pan w stanie wyegzekwować to od nieboszczyka? - Przychodzi nowy pracownik, który po nim przejmie robotę - westchnął Zbyszek zgnębiony. - Ta cała historia narobiła nam więcej szkody, niż ktokolwiek przypuszcza. Witek jest niepoprawnym optymistą. Zobacz pani. - Prokurator się o ciebie pytał - powiedział Janusz złośliwie, kiedy wróciłam do pokoju. - Wpadł mu w oko. Kazał się zawiadomić, jak tylko wrócisz. - No to leć, zawiadamiaj go. Jak stoicie z plastykiem? "O prokuratora niech się diabeł stara" - pomyślałam równocześnie z satysfakcją, że czynniki nadprzyrodzone za mnie pracują i sama nie muszę.

- Z plastykiem leżymy. Leszek wyginał na gorąco i zobacz, co mu wyszło. Leszek melancholijnie zademonstrował mi przedziwny kształt, cudacznie powyginany, do niczego niepodobny, zupełnie pozbawiony określonego fasonu - Przepięknie - pochwaliłam. - Akurat pasuje do pańskiego obrazu - Pani Joanno, ja pani radzę, niech się pani zajmie tym prokuratorem, bo inaczej Monika go pani poderwie - powiedział Witold ostrzegawczo. - Już na niego zagięła parol i tylko błyska oczami. - Niech sobie błyska, on jest do niej nieprzychylnie usposobiony, bo łągała na przesłuchaniu. - Aha, Witek tu był - przypomniał sobie nagle Janusz - i kazał, żebyś zrobiła porządek. Wszyscy mamy zrobić porządek po rewizji.

Rozejrzałam się po swoim stole i jego najbliższych okolicach i musiałam przyznać, że pobojowisko doszło do pełni rozkwitu. Mój normalny bałagan został wydatnie zwiększony przez milicyjne poszukiwania. Z ciężkim westchnieniem wlałam pod stół i zaczęłam zwijać rulony kalek, układając je przy okazji tematami i wyrzucając niepotrzebne. Chcąc się pozbyć możliwie dużej ilości szpargałów, oddałam Januszowi pożyczone przed rokiem matryce, wyrzuciłam szkice urbanistyczne Wiesia i na zakończenie wyciągnęłam jeszcze jeden, nie znany mi rulon, który poprzednio leżał na samym spodzie. - Hej, czyje to jest? - spytałam, przeglądając arkusze. - Mam to wyrzucić? Hotel turystyczny, projekt podstawowy, Zalesię Górne... - Co?! - krzyknął nagle Witold. - Co pani mówi?!

- Podstawowy hotelu w Zalesiu Górnym To pana?

- Rany boskiej!! - Witold zerwał się z krzesła, chwycił rulon, następnie rzucił rulon i chwycił się za głowę. - Jezus, Mario!!! - jęknął strasznym głosem. - Rany boskie!!! Nic nie rozumiejąc, przyglądałam mu się z dużym zaciekawieniem. Poniechał głowy, znów chwycił rulon i wypadł z nim z pokoju, krzycząc na zmianę "Jezus, Maria" i "Rany boskie". Odwróciłam się za nim w osłupieniu, nie mogąc pojąć, dlaczego turystyczny hotel w Zalesiu uczynił na nim takie wrażenie. - Ty, naprawdę to było to? - spytał Janusz z przejęciem. - Podstawowy hotelu w Zalesiu Górnym? - Jak Boga kocham. A oco tu chodzi? Co mu się stało?

- To ty nic nie wiesz? To jest ten projekt Ryszarda, który zginał pół roku temu. Szukali go przez dwa tygodnie po całej pracowni i wreszcie Witold go wykreślił drugi raz za darmo, w czynie społecznym, dla świętego spokoju, bo Ryszard nawalił z terminem. Klął i projekt, i Ryszarda w żywe kamienie. A on leżał cały czas u ciebie? Niech ja skonam!... - Pierwsze słyszę - powiedziałam z dezaprobatą. - Przecież go im nie ukradłam. Szukali, a prosili Boga, żeby nie znaleźć. - Bo Ryszard robi takie numery - powiedział Wiesio. - Pewnie go kończył akurat na twoim stole, a potem schował i zapomniał. On jest zupełnie nieprzytomny. - Ale dlaczego wtedy tego nie oddałaś? Wszyscy szukali!

- A skąd ja miałam wiedzieć, że on to tutaj wepchnął! I to jak ładnie schował, na sam spód. Nawet nie wiedziałam wtedy, czego szukacie. - I skrupiło się na niewinnym Witoldzie. No, ja się dziwię, że on ciebie od razu nie zabił! - Nie szkodzi - pocieszył nas Leszek, - Zabije, jak Wróci. - - Jak myślicie? - zainteresował się Janusz. - Czy on teraz leci ulicą z tym rulonem w rękę i krzyczy "rany boskie"? - Żeby tylko pod samochód nie wpadł - powiedział Leszek z



troską. - Co za biuro - westchnął Wiesio wyraźnie rozradowany. - Nie ma dnia, żeby się coś głupiego nie przytrafiło. - A owszem, a wczoraj padł rekord... - Na litość boską, zróbcie coś z tym radiem, kto z was rzepak hoduje?! - Idź się uczesz - powiedziała Alicja, zaglądając do pokoju. - Prokurator cię dawno nie - widział.

Leszek się nagle zerwał od stołu i rzucił w moim kierunku: - Cała nasza nadzieja w pani - oświadczył rzewnie. - Jest szansa, że doprowadzi pani wymiar sprawiedliwości do takiego samego stanu jak Witolda. Niech mi pani pozwoli ucałować swoją dłoń, o lady Macbeth, Bal-ladyno, Circe... - Idź pan do stu diabłów! - powiedziałam gniewnie, wrywając mu rękę. - Jak ja mogę w tych warunkach podrywać człowieka?!... - Mam wrażenie, że udało wam się popełnić zbrodnię doskonałą - powiedział piękny prokurator, zapalając mi papierosa. Tym razem był w garniturze, śnieżno białej koszuli i czarnym krawacie. Zapalał papierosa, gnąc się w nieskazitelnym ukłonie, przy czym czynił to wyraźnie odruchowo, ponieważ byłam bardziej kobietą niż podejrzaną. Oblicze miał nieprzeniknione służbowo, a w oczach błysk natury prywatnej. Pomyślałam sobie, że chyba jednak diabeł miał rację... Kapitan, patrzący w okno, robił wrażenie nieco zniechęconego. - Już sam nie wiem, czy z wami rozmawiać - mruknął niechętnie. - Co za ludzie!... - Bardzo sympatyczni - zaprotestowałam. - Trochę może oryginalni, ale to przecież nie wada. Słucham panów. Panowie spojrzeli na siebie, a potem na mnie, budząc tym we mnie żywe zaciekawienie. Kapitan wzruszył ramionami, a prokurator jakby się nieco zawahał. - No nic... - powiedział. - Co by pani powiedziała na to, żebyśmy tak poszli sobie porozmawiać na Jakimś neutralnym terenie? Na przykład gdzieś na kawie. Nie w celu prowadzenia oficjalnego przesłuchania, a raczej nieoficjalnej wymiany poglądów... Tak sobie, podyskutować na ciekawy temat... Zaczęłam wietrzyć jakiś podstęp, chociaż propozycja sama w sobie była mi pod każdym względem na rękę. Ufna w SWOJE talenty dyplomatyczne i nieprzeciętne walory umysłowe, wyraziłam zgodę. Ustaliliśmy czas i miejsce. Kapitan się nie wtrącał, słuchając naszej rozmowy z Wyrazem beznadziejnej rezygnacji. W pół godziny potem usiadłam przy tym samym stoliku, przy którym poprzednio toczyłam rozważania z Alicją Nietypowy prokurator traktował mnie jak cenną podrywkę. Nie miałam żadnych wątpliwości, że diabeł bierze w tej historii żywy udział. Zapalił papierosa, prokurator oczywiście, nie diabeł, spojrział na mnie tymi niezwykle jasnymi, błyszczącymi oczami, z kamiennie spokojną twarzą i powiedział: - Doszliśmy do wniosku, że sami sobie nie damy rady. Nie możemy poprzestać na siedmiu podejrzanych, bo to jest to samo, co nie znaleźć żadnego. Jesteśmy w obcym środowisku, wśród ludzi nam nie znanych, a ze sobą nawzajem zżytych. Nic gorszego! Musimy prosić o pomoc kogoś, kto zna dobrze osoby dramatu, okoliczności i resztę Wybór padł na panią. Wychodzimy z założenia, że pani jest niewinna... - A jeżeli jestem winna, to wykrycie to właśnie dzięki -tej przyjacielskiej współpracy - uzupełniłam w przypływie wzmożonej bystrości umysłu. - Bardzo słuszne przewidywanie. To na czym właściwie panowie stoją? - Panowie leżą... Niech pani posłucha. Wykrycia mordercy można dokonać dwiema drogami: albo za pomocą odnalezienia jakichś śladów, albo drogą eliminacji, z nadzieją, że stopniowo odpadną wszyscy, z wyjątkiem tego jednego. W tym wypadku ani jedna, ani druga metoda nie daje rezultatów. Śladów praktycznie brak, morderca był niewątpliwie człowiekiem inteligentnym. Eliminacja idzie jak po grudzie, właśnie z uwagi na specyficzne środowisko i biorąc pod uwagę motyw i możliwości podejrzani jesteście prawie wszyscy. Rzadko się zdarza, żeby tyle osób naraz było tak dokładnie wmieszane w morderstwo. A przy tym każdy usiłuje coś ukryć i nie wiadomo, czy to ma związek ze zbrodnią, czy nie. Informacjami cykacie jak zepsuty zegarek, dziś wyszła na jaw sprawa tych zamkniętych drzwi, skąd my możemy wiedzieć, co tu się jeszcze wykryje dziwnego czy uderzającego i kiedy?! Kapitan jest zniechęcony, a ja.. Dla mnie to jest sprawa prestiżowa, szczerze pani wyznam, że mam prywatne powody, dla których muszę to rozwikłać. Cała moja nadzieja leży w pani. - A moja w panu - powiedziałam stanowczo. Prokurator spojrział nieco zaskoczony. - Co pani chce przez to powiedzieć? - Domyśla się pan chyba, że prowadzimy rozważania na własną rękę? Gdyby nie to, że przedtem tę zbrodnię omawiałam i że wszyscy byli tak wstrząśnięci nagłą realizacją fikcji, niewątpliwie jeszcze przed przybyciem

milicji połowa śledztwa byłaby załatwiona. Niech pan weźmie pod uwagę, że wywlekałam wówczas na światło dzienne motywy... Niby żarty, ale w tych żartach było mnóstwo prawdy. Potem się wszyscy śmiertelnie wystraszyli i dlatego usiłują nabrać wody w usta, co im się zresztą nie bardzo udaje. Wracając do tematu, prowadzimy rozważania i z tych rozważań wynika, że wszystko wskazuje na niewinnego człowieka. Liczę na to, że pan znajdzie prawdziwego winowajcę, a niewinny automatycznie zostanie uniewinniony.

- Po pierwsze to kto to jest my, a po drugie, kto to jest ten niewinny?

- My to Alicja i ja - zaraz Panu wszystko streszczę, - ale pan nawzajem?... - Nawzajem, nawzajem - powiedział niecierpliwie kiwając głową - Skoro chcę, żeby pani pomogła, to mu szę panią trochę wtajemniczyć, to chyba jasne? Kiwnęłam głową również i uznając pierwszeństwo władz śledczych opowiedziałam pokrótce, jak i do czego doszliśmy z Alicją. Potem przypomniałam sobie diabła i wysunęłam nieśmiałą wątpliwość co do autorstwa telefonu. Prokurator, patrzący w przestrzeń, spojrział teraz na mnie z zainteresowaniem. - Owszem, my to również bierzemy pod uwagę. Możliwe, że dzwonił ktoś przypadkowy. To oczywiście komplikuje zagadnienie, bo byłoby bardzo przyjemnie zawęzić śledztwo tylko do tych czterech osób.. - Zaraz, jakich czterech Nam wyszło trzy... Chwile - najpierw o której godzinie on zginął?

- Według lekarza? gdzieś przed dwunastą trzydzieści. Żar padł mi na serce, chociaż spodziewałam się tego. Na ten kwadrans przypadały owe cztery minuty Zbyszka.

- No dobrze, a kto jest tą czwartą osobą?

- nasze obliczenia zawierały błąd i czwartą osobą był Wiesio. Wszystko inne zgadzało się nieskazitelnie z wynikami milicji... Wiesio zadziwił mnie niesłychanie. - Miał dokładnie pięć minut na to uduszenie. Mógł zdążyć, prawda? - powiedział prokurator, demonstrując mi coś w rodzaju wyciągu z ich harmonogramu nieobecności Przyjrzałam się temu z zaciekawieniem i porównałam z naszym, który na wszelki wypadek miałam przy sobie. - No dobrze, zakładając, że kto inny dzwonił, a kto inny zamordował... przy czym jedno od drugiego jest oddalone dokładnie o piętnaście minut... to co? - To musimy brać pod uwagę dziewięć osób. Rany boskie, zwariować można!.. I te dziewięć osób chciałbym z panią omówić. Dziewięć osób. Dziewięć osób, które znam dobrze od wielu lat. Któraś z tych osób musi być mordercą... Niesamowite! Na pierwszy ogień poszedł Kacper. Kacpra już sobie przemyślałam wcześniej i to przy pomocy diabła, więc teraz mogłam bez trudu wygłosić poglądy. Prokurator w zasadzie zgodził się ze mną. - Tak, logicznie rzecz biorąc, istotnie należy raczej przyjąć, że podejrzewał panią Monikę, niż że sam to zrobił. Ale miał powody. A może specjalnie robił przedstawienie dla odwrócenia podejrzeń? - Możliwe, ale toby je robił od początku. A on od początku zachowywał się tak, jakby właśnie chciał wzbudzić podejrzenia. - Definitywnie odrzucić go nie można. Jedźmy dalej. Co z panią Moniką? Oczywiście, duszy ujrzałam przed sobą czarne, płonące wściekłością oczy Moniki. O tak, ona miała charakter... A do tego dwoje dzieci i perspektywę jasnej, pięknej, beztrudnej przyszłości, niszczonej przez Tadeusza Ale przy tym była mądra i gdyby miała jakiegokolwiek inne wyjście, oczywiście zastosowałaby je, nie mordując

- No to zastanówmy się, czy miała inne wyjście - zażądał prokurator. Zgodziłam się z nim i posłusznie zaczęłam się zastanawiać. Inne wyjście... Jakie? Opłacać Stolarka, zgrzytając zębami? Czym? Zerwać wszystkie kontakty Owszem, to mogła zrobić i potem upierać się, że zerwała je na długo przed poznaniem oblubieńca ale wszystko jedno, oblubieniec mógł mieć pretensje o przeszłość. - Ja bym miał - powiedział stanowczo prokurator

- O? - zdziwiłam się i przyjrzałam mu się krytycznie

- A pan nie ma przeszłości?

- To jest co innego...

- A pewnie, nawet gorzej. Kobieta jest podrywana i może być tylko bezwolną ofiarą, natomiast pan musi zawsze występować jako strona aktywna.

- Pani Monika nawet wygląda na bezwolną.

- Pan też wygląda...

- No to wróćmy do tematu. Co jeszcze mogła? T ?

- mogła? Uprzedzić ewentualne informacje Tadeusza? Też na nic, zbyt wiele musiałaby tłumaczyć i już chyba w żaden sposób nie zdołałaby być nieskazitelna w oczach przyszłego... Nie, jedyne, co mogła zrobić to udusić szantażystę... - No sama pani widzi, że tu może człowieka szlag trafić - powiedział prokurator z irytacją. - Gdyby wszystkie zbrodnie były takie, to już bym dawno zmienił zawód. Następny! Następny był Ryszard. Ryszard... Ho, ho! Czego on nie mógł zrobić! Nieobliczalny szaleniec, opętany myślą o wyjeździe, mógł wymordować nawet całą pracownię gdyby to się okazało niezbędne. Ale Ryszard zrobiłby to inaczej. Albo byłby przekonany o słuszności swego postępowania i nie fatygowałby się z usuwaniem śladów, przeciwnie rozgłosiłby swój czyn wszem i wobec, albo też uczyniłby to w afekcie, a co za tym idzie mniej roztropnie i z większym hałasem. Rozmowa, toczone przez Ryszarda byłaby słyszalna nie tylko w całym biurze, ale nawet na klatce schodowej. No i nieboszczyk nie tak by wyglądał... Oczyma duszy ujrzałam Ryszarda w szale i furii duszącego Tadeusza, rzucającego się na niego i masakrującego zwłoki, a potem patrzącego w przerażeniu i ze zgrozą na swoje dzieło, wypadającego z krzykiem z sali konferencyjnej, gdzie został trup w opłakanym stanie... Z trudem oderwałam się od tego makabrycznego obrazu. Nie, do Ryszarda ta cicha, genialnie wykonana zbrodnia zupełnie nie pasowała. No i przecież by chyba bezpośrednio po uduszeniu człowieka nie spał! - A spał? - zainteresował się prokurator.

- Martwym bykiem. Rozumiem, że jest nie dospany bo systematycznie pracuje po nocach, ale jeszcze nie słyszałam o takim wypadku, żeby ktoś spał ze zdenerwowania.

- Ja też nie.

- Zaraz, to mi coś przypomina...

Wspomnienie śpiącego Ryszarda nasunęło mi na myśl obraz współpracowników, oczekujących przybycia milicji. Przypomniałam sobie wyraz twarzy Moniki, w którym oprócz innych uczuć była wdzięczność...-Tak, najwyraźniej w świecie ona podejrzewała mnie, zresztą wszyscy podejrzewali mnie i była mi wdzięczna!... - Za usunięcie z jej drogi szantażysty? No tak, to by ją uniewinniło. Jest pani pewna? - Absolutnie!

- Coś okropnego - mruknął prokurator. Co do Kajtka tylko jedna rzecz była dla mnie pewna, to, co powiedziałam już Alicji. Tadeusz był dla niego bezcenny za życia, a nie po śmierci. Żaden dług nie zmusiłby go do zabicia człowieka, który żył dla niego pożyczką i robił z nim korzystne interesy. Chyba że było jeszcze coś, o czym nie wiedziałam. Prokurator też nie wiedział. Ankę załatwiłam błyskawicznie. - Niech ją pan zostawi w spokoju - powiedziałam stanowczo. - Wiemy, gdzie była wtedy; kiedy jej nie było, i mamy na to trzy sztuki świadków. Musi mi pan uwierzyć na słowo, bo od razu mogę pana zapewnić, że panu ci świadkowie tego nie powiedzą. Mnie powiedzieli i ja wiem. Nie miała żadnych szans popełnić zbrodni, nawet gdyby trwała cztery sekundy, a nie cztery minuty. Po Ance doszliśmy wreszcie do Zbyszka. Na ten temat miałam już swoje, wyrobione zdanie i nie omieszkałam go wygłosić. - Skąd pani ma taką pewność, że on jest niewinny? - spytał z dezaprobatą prokurator. - Niech pan przyjmie na wiarę fakt, że jak na jego potrzeby morderstwo zostało popełnione ze zbyt wielkim opóźnieniem. Kilka tygodni wcześniej sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, a teraz ja panu mówię, że to nie on!

- To jest tylko pani prywatne przekonanie...

- Oparte na faktach. Do wyjawienia tych faktów zmusi mnie, zapewne jego, tylko postawienie przed sądem. Zostawmy go i jedźmy dalej. Następna była Jadwiga. Milicja zbadała już, co oznaczał ów numer przy jej nazwisku w notesie Tadeusza. Był to numer rejestracyjny prywatnego samochodu. Pochodził z odległych czasów, kiedy prywatne samochody były oznaczone literą H i dlatego w pierwszej chwili nie przyszło to nikomu do głowy. Zaczęłam się zastanawiać. Co jakiś prywatny samochód może mieć wspólnego ze śmiercią Tadeusza? Z całą pewnością Jadwiga nigdy w życiu nie posiadała pojazdu mechanicznego. Przejechało ją coś czy co? Owszem, jej ówczesny mąż miał jakiś samochód, miał też warsztat, był inicjatywą prywatną, ale co z tego? - Może popełnił jakieś nadużycie i nieboszczyk ją teraz tym szantażował? - Ją szantażował? Przeciwnie, sprawiłby jej tym szaloną radość. Jadwiga ozłociłaby go za najgorsze wiadomości o swoim byłym mężu, bo od wieków toczy z nim świętą wojnę o alimenty. - Siedemdziesiąt tysięcy złotych?

- Ach, i to pan wie? Tak, siedemdziesiąt tysięcy zaległych złotych. Gdyby nieboszczyk zbierał dla niej negatywne informacje o owym mężu, toby go karmiła ananasami, a nie zabijała, bzdura! - No, a jak z jej charakterem?

- Tylko w jednym wypadku... - powiedziałam, popadając w zamyślenie. - Tylko w jednym wypadku - No?...

- Gdyby chodziło o dziecko. O przyszłość jej córki. Gdyby Tadeusz w jakiś sposób miał w dalszej konsekwencji przynieść szkodę jej dziecku, byłaby zdolna absolutnie do wszystkiego. I sposób popełnienia zbrodni nawet do niej pasuje... - Widzę, że trzeba będzie zbadać dokładnie sprawę tego tajemniczego samochodu - przyznał niechętnie prokurator. - Nie wiem, jakim sposobem. Ale może w tym coś jest? Z całą stanowczością stwierdziłam, że o Witku mogę powiedzieć niewiele. Czy miał jakiś powód? Z jednej strony wyglądało na to, że nie był szantażowany, w notesie go Tadeusz nie opisał. Ale z drugiej coś tam razem mieli, sądząc ze spostrzeżeń Janusza. Co? Moje domysły na ten temat były tak mgliste i tak nieprzyjemne, że wolałam o nich nie wspominać. Znow zamajaczył mi przed oczami ponury obraz i znow czym prędzej się go pozbyłam... - No tak, on właściwie nie ma powodu - powiedział prokurator w zamyśleniu. - Ale gdyby miał, to jaki? - Kariera - odparłam bez namysłu. - Kariera zawodowa. Witek ma kolosalne ambicje i jest pozbawiony skrupułów. Gotów po trupach pisać się na wyżyny. Charakter ma też stosowny... Dostatecznie inteligentny i opanowany, żeby zaplanować i wykonać nawet dwadzieścia zbrodni doskonałych. I nie ma wątpliwości, że dla kariery byłby gotów na wszystko, bo to jest jego sens życia. Gdybym wiedziała, że miał powód, stawiałabym na niego bez wahania, ale o nim przecież Tadeusz nic nie wiedział. - A pani coś wie?... Popatrzyłam na prokuratora i przez chwilę milczałam, starannie chowając na dnie duszy moje mgliste podejrzenia. Już dość złego narobiłam, nie wolno mi się teraz wygłupić, muszę być bezstronna... - Ja wiem, że pracownia jest dla niego jednym z najważniejszych elementów tej kariery. A obawiam się, że zbrodnia wykończy pracownię... Prokurator niechętnie pokręcił głową.

- Dla mnie jedno jest zastanawiające. Niech pani sama powie: dlaczego zabójca, zamordowawszy go, nie zabrał tego notesu? - Nie miał czasu - odparłam stanowczo. - Myślałam już o tym, ale chaotycznie, nie zdążyłam omówić z Alicją. Ważniejsze dla niego było zniknąć z miejsca zbrodni, niż niszczyć notes. Sam pan widzi: według notesu podejrzanych jest około dwudziestu sztuk. Mógł sobie pozwolić... - No tak... Jeszcze ostatnia osoba...

Właśnie, Wiesio! Na nowo poczułam się zdziwiona.

- Rzeczywiście, mógł go załatwić, tylko po co?

- Miał swoje powody - odparł prokurator, uśmiechając się złośliwie. Przez krótki moment zdawało mi się, że ten złośliwy uśmiech skądś znam, ale, zaabsorbowana Wiesiem, nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. - Co pan mówi, jakie powody? Wiesio? Co Tadeusz miał do Wiesia?! - Pan Wiesio miał swoją tajemnicę, którą znał denat i kierownik pracowni, nikt więcej. My też już ją znamy, ale pozwoli pani, że to zostanie przy nas. Dowiedzieliśmy się o tym w zaufaniu. Przyczyny, dla których istnienie denata na tym świecie były dla niego niepożądane, były tej samej rangi, co sprawy pani Moniki czy pana Kacpra. Jeżeli bierzemy pod uwagę tamte, to musimy wziąć i te... W dużym oszołomieniu przyglądałam się prokuratorowi. Doprawdy, Wiesio by mi nigdy do głowy nie przyszedł! Cóż on mógł takiego zrobić? Wiedział o tym Tadeusz i Witek... Istotnie, w tym świetle Wiesio wyglądał fatalnie. A co najgorsze, mógł nie tylko popełnić morderstwo, ale także załatwić telefon... A ta pomyłka co do osoby ofiary? Wiesio mógł chcieć zabić Witka, bo on wiedział, ale przez pomyłkę zabił Tadeusza, który też wiedział, więc to było równie korzystne i teraz co? Zabije Witka? A przedtem mu się pomylili? Nonsens! Kompletny galimatias! - No tak - powiedział prokurator. - Wśród ośmiu podejrzanych mamy cztery osoby, które mogły zarówno dzwonić, jak i mordować. Z tych czterech oczyszcza pani z podejrzeń dwie. Pozostają pan Wiesio i pani Jadwiga. Szczerze pani wyznam, że mnie się to nie podoba. - Mnie też nie. Wiesia też oczyszczam. Jadwigę też...

- Niech pani przestanie, bo ja oszaleję. Zabójstwo jest faktem, prawda? I co pani na to? A bo ja wiem, co ja na to? Ogarnęło mnie przygnębienie i siedziałam bezmyślnie wpatrzona w piękną twarz mojego rozmówcy. Po chwili milczenia westchnął ciężko, zapalił papierosa i zaczął z innej beczki. - No to teraz

rozpatrzmy sprawę tych drzwi. Były zamknięte, to nie ulega wątpliwości. Chyba że ten pan kłamie?... - Wykluczone, on nie kłamie. I nie jest nieprzytomnym histerykiem, który nie wie, co się dzieje. Zamknięcie drzwi można uznać za fakt niewątpliwy.

- Ponieważ nikt się nie chce przyznać do zamykania, należy uznać, że uczynił to morderca. Po jakiego diabła? Żeby zwrócić uwagę? - Ach, nie - wyjaśniłam mu sprawę zepsutego zamka, równocześnie intensywnie myśląc nad czymś innym. Żeby zamknąć drzwi, trzeba mieć do nich klucz. Gdzie on był, ciągle w tej dyrektorskiej szufladzie? I co z tym kluczem w wazonie? - W naszym wazonie znaleźliście klucz... - powiedziałam, patrząc na niego pytająco. - A owszem. Właśnie klucz od tych drzwi... Teraz już mi się zrobiło zupełnie głupio. Wiesio wychodził na balkon wtedy, kiedy Leszek jadł rybę. Wielki Boże, Wiesio?! Nie, to niemożliwe, w żadnym wypadku nie uwierzę w Wiesia! - Zaraz. Ale przecież... po kluczu można poznać. On był taki... oślizły... - A był. Musiał tam leżeć dosyć długo.

- No to musiały go przedtem wyjąć z tego gnojowiska!

- Oczywiście. Mógł go wyjąć, nie czyścić, zużytkować i wrzucić z powrotem. To byłby nawet bardzo dobry pomysł. - A co Witek mówi o kluczu? - spytałam przygnębiona.

- Twierdzi stanowczo, że nic nie wie. Nie używał klucza, nie wie, gdzie był i gdzie jest. Diabeł mówił, że o kluczu wie tylko morderca i ja... Dotychczas diabeł miał cały czas rację. Ten klucz widzieli wszyscy, milicja go ma, może też w tym coś jest? Witek mówi, że nic nie wie?... Zaraz, było chyba coś takiego...

- Niech pan zaczeka, muszę się skupić - zażądałam stanowczo. - Coś mi się mota po głowie. Oparłam łokcie na stole, zasłoniłam twarz dłońmi, zamknęłam oczy i usiłowałam sobie coś przypomnieć, chociaż sama nie wiedziałam, co. Było kiedyś coś, co mi nie pozwala wierzyć, że Witek nie wie nic o kluczu... Tylko co? Pomimo wysiłków nie uzyskałam żadnych rezultatów skupienia. - Na nic - powiedziałam z rezygnacją. - Nie da rady. Skleroza, mam zaniki pamięci. Muszę popytać współpracowników, może mi coś przypomną. Ale oświadczam panu, że niemożliwe jest, żeby Witek nie wiedział nic o tym kluczu. - To znów jest pani prywatne przekonanie.

- No to przecież, do licha ciężkiego, przyszedliśmy tu rozmawiać o moich prywatnych przekonaniach! - No dobrze, niech będzie. Zamknął te drzwi...

- Zaraz - przerwałam. - Właśnie, z tym zamykaniem. Niech pan zaczeka, muszę to sobie wyobrazić. Od której strony, on zamknął te drzwi? Prokurator spojrział na mnie dziwnie.

- Nie wiemy - odparł uprzejmie. - Przykro mi bardzo, ale po kluczu nie sposób poznać... Uprzytomniłam sobie, że moje pytanie jest pod każdym względem pozbawione sensu. Nie zamykał ich przecież od strony gabinetu, bo musiałyby czekać na chwilę, kiedy był tam sam. Chyba że to jeden z tamtych dwóch: Witek albo Zbyszek, ale im też byłoby łatwiej przejść przez nie i zamknąć je od strony sali konferencyjnej. A jeżeli to ktoś inny, to tym bardziej... Poczułam, że zaczynam się gubić. - Niech mi pan pomoże, do diabła! - zażądałam z gniewem. - Przecież widzi pan, że mi się wszystko miesza!

- Bardzo trafnie się pani miesza. W myśl zeznań sekretarki nikt, poza tymi dwoma panami, nie przebywał od strony sali konferencyjnej, nie ma siły. Potem ich nie otworzył, chociaż na pewno miał ten klucz. Powiedziała pani, że ktokolwiek to był, czy jeden z tamtych dwóch, czy ktoś inny, w każdym wypadku drzwi zamknięto od strony sali? Tak Sam pan mówił, że w gabinecie nikt poza nimi sam nie przebywa, a każdy z nich raczej chyba przeszedłby tamtędy i potem zamknął. Prokurator zamyślił się.

- Spróbujmy odtworzyć jego czynności, tak jak pani to sobie wyobraża na podstawie panujących tu zwyczajów. Najpierw ktoś z zewnątrz...

-Ktoś z zewnątrz musiałby mieć klucz. Z szuflady wziąć nie sztuka. A z wazonu?...

Zamyśliłam się również i doznałam objawienia. Gdyby ktokolwiek wyjął z wazonu, toby to ulgowo nie przeszło. Już nie mówię, że śmierdziałby potem długo i wytrwale bo mógł to zrobić późnym wieczorem, od razu iść do domu i tam się umyć. Ale zawartość wazonu na to nie wskazuje. Ma pan tam gdzieś jakiś fachowców. niech pan ich spyta, czy świeżo poruszone pomyje dałyby potem taki efekt. Nie

było-pana przy tym, ale niech pan spyta kapitana, duża rzecz!... - Mógł go wyjąć przed dwoma tygodniami. Przez dwa tygodnie wszystko miało czas się ustać.

- Nie wiem, muszek by chyba było mniej... Część by wcześniej wyleciała. Nie wiem, w jakim tempie one się lęgna... - No dobrze, to jeszcze zbadamy. Przypuśćmy, że wyjął klucz z szuflady, dość, że go miał. Co dalej? - Dalej wybiera chwilę... A, nie, przedtem dzwoni... Zaraz, zaraz... Wpatrywałam się intensywnie w prokuratora nadal w stanie objawienia. On mi się przyjrzał nawzajem, odrobinę jakby rozproszony, jakby przez chwilę myślał o czym innym, ale natychmiast na powrót się skupił. - Co pani wymyśliła?

- Telefon był o dwunastej piętnaście. Udużono go najwcześniej w piętnaście minut potem... Co to znaczy? - To znaczy, że zabójca rozmawiał z nim przez piętnaście minut. - To mi się nie podoba. Niemożliwe, żeby tak ryzykował. Przez piętnaście minut jest niewidoczny dla otoczenia, a potem popełnia morderstwo? Szczyt nieostrożności! - Nie możemy wykluczać szczytów nieostrożności. Każda zbrodnia jest kolosalnym ryzykiem. Oczywiście, że rozsądniej byłoby przyjąć, że dzwonił i rozmawiał z nim kto inny, a zamordował go kto inny. Zaraz do tego wrócimy, na razie niech się pani nie rozprasza. Jesteśmy już po telefonie, po rozmowie i przystępujemy do samego zabójstwa. - No dobrze, niech będzie. Wybiera chwilę, kiedy w przedpokoju nie ma nikogo... Gdyby to była Jadwiga, wystarczyłoby jej, że nie było Wiesi, ale jak wiadomo, Wiesia pół dnia przesiedziała w środkowym pokoju, znakomicie ułatwiając zbrodnię. W przedpokoju nie ma nikogo, wchodzi do sali konferencyjnej i zamyka drzwi na klucz... - Niech pani myśli z większym sensem - powiedział prokurator niechętnie. - Czy pani by nie zdziwiło, że ktoś wchodzi do pokoju i zamyka drzwi na klucz? - Zdziwiłoby mnie, ale co z tego? Po pierwsze tylko jedne drzwi, a po drugie nawet najbardziej zdziwiona nie zaczęłabym nagle uciekać z przeraźliwym krzykiem. Czeakałabym, co z tego wyniknie, a on przez ten czas mógł mnie spokojnie zaprawić dziurkaczem. - A przedtem jeszcze poprosiłyby, żeby się pani uprzejmie odwróciła tyłem... - O Boże, znów pan czegoś nie wie! Ze mną by ten numer nie przeszedł, ale z Tadeuszem?... Z okna naszej sali konferencyjnej jest znakomity widok na okno naszego ambulatorium,, a tam urzęduje nieprzeciętnej urody pielęgniarka. Nie ma takiego faceta w naszej pracowni, który by się nie odwrócił, jakby ktoś nagle krzyknął: "o, piękna Zosia w oknie!" - Ach, tak? - zainteresował się gwałtownie prokurator. - Rzeczywiście taka piękna? - Jak łania! - odparłam z zapalem, który fatalnie świadczył o mojej inteligencji. - Metr siedemdziesiąt wzrostu, z piękną figurą, czarna, istna Junona! - A nie, Junona odpada... - mruknął przedstawiciel prawa, od razu tracąc zainteresowanie. - Nie w pana typie? Możliwe, ale ręczę panu, że też by się pan zapatrzył. Tadeusz był nieprzytomny z zachwyty. - No tak, to wyjaśnia... Ciekawe, czego my się jeszcze dowiemy. Na razie wyłania się kwestia, czy z tego okna ambulatorium, nie było widać czegoś w waszej sali.

- Wykluczone. Rzecz polega na tym, że tamto okno jest niżej, wobec czego od nas świetnie widać, co tam się dzieje, a od nich można zobaczyć tylko kogoś, kto się wychylił. Odpada. - No to wracamy do tematu. Nie przestraszył się zamykania drzwi, odwrócił się do pielęgniarki i został stuknięty. Nie żyje. Co teraz robi morderca? - Właśnie. Teraz powinien otworzyć drzwi od gabinetu i czym prędzej wyjść do przedpokoju tak, żeby go nikt nie zauważył. Drzwi nie otworzył. Albo zgłupiał ze zdenerwowania i zapomniał, albo mu ktoś przeszkodził. Może usłyszał, że ktoś jest w gabinecie i nie chciał szurać tym kluczem? - Zaraz, sprawdźmy sobie ten decydujący kwadrans... Prokurator wyciągnął swoje zapiski, a ja spojrzałam w nasz harmonogram. Co się działo między dwunastą trzydzieści a dwunastą czterdzieści pięć? Witek był w gabinecie, co zaświadcza Matylda, która weszła do niego po jakiś podpis. Razem z nim byli Olgierd i Monika, którzy zaraz wyszli Monika, idąc do pokoju, spotkała po drodze wracającą stamtąd Ankę. Po chwili do gabinetu wrócił Zbyszek i usłyszał, głosy z sali konferencyjnej. Witek wyszedł. Zbyszek też wyszedł. Witek wrócił. Cholerna Matylda znów tam zaglądała nie wiadomo po co, chyba po to, żeby mu stworzyć alibi. Zbyszek przeszedł ze środkowego pokoju do sanitarnych, przy czym czas przechodzenia nie został sprecyzowany co do minuty, są drobne sprzeczności, banda kretynów, takiego głupstwa nie móc zapamiętać!... Jedni twierdzą, że to było na końcu kujawiaka, a drudzy, że przy mydle lanolinowym, idioci, słuchali różnych stacji... Jadwigi

przez ten czas nie było nigdzie, to znaczy nikt nie wie, gdzie była, ona twierdzi, że w WC-cie, a potem robiła sobie herbatę. Wiesio wychodził z pokoju, chronologicznie rzecz biorąc w tej samej chwili, w której Zbyszek wchodził do sanitarnych. Ryszard wychodził tuż przedtem, "Kacper zaraz po Ryszardzie. Wyścigi sobie urządzali czy co?... Sądząc po ilości osób, jaka miotała się w tak krótkim czasie po tak małym biurze, powinni byli zderzać się na korytarzu! Zajrzałam do harmonogramu prokuratora i spojrzałam na niego z zaciekawieniem - No i co? - spytałam niecierpliwie.

- W gabinecie było pusto tylko przez krótką chwilę. Tak... Potem już nie mógł otworzyć. Natomiast zamknąć mógł tylko wtedy, kiedy tam nikogo nie było, i trudno przypuszczać, że tak znakomicie sobie wybrał tę chwilę. Chyba że sam siedział w gabinecie... - Witek albo Zbyszek?...

- Kierownika pracowni widziała sekretarka. Mógłby wejść z gabinetu i tak samo wrócić, ale ryzykował, że ktoś siedzi w przedpokoju i zaświadczy, że w tym czasie tamtędy nikt nie wchodził, a co za tym idzie musiał ktoś wejść przez gabinet. I leży. Nie, to nonsens, zresztą ryzykował też wejście sekretarki, którą zaskoczyłaby jego nieobecność... Natomiast ten drugi, naczelny inżynier, był sam w gabinecie, mógł zamknąć drzwi, wyjść, zobaczyć, że przedpokój jest też pusty... Miał dostęp do klucza... Zbyszek! Nie ma siły, uczipią się Zbyszka! Zdenerwowałam się natychmiast okropnie. - Przecież mówiłam to panu! Mówiłam, że wszystko wskazuje na niewinnego człowieka!... - Skąd pani wie, że on jest taki niewinny? - Wiem! Wiem na pewno! Zresztą pan mi przerwał, jeżeli morderca rozmawiał z ofiarą w sali konferencyjnej, a Zbyszek to słyszał, to siłą rzeczy to nie mógł być on! - Kto powiedział, że rzeczywiście słyszał? Najakiej podstawie mamy w to wierzyć? I kto powiedział, że ten, co rozmawiał, jest także mordercą? - Nie wiem, o Boże, nic mnie to nie obchodzi? Mówię panu, że to nie Zbyszek, głowę daję! Uprzedzałam, że w panu cała moja nadzieja! Niech pan coś zrobi, on jest niewinny, niech pan szuka tej szmaty od dziurkacza! Niech pan przyciśnie Witka, on zełgał coś z tym kluczem, niech pan... nie wiem, co!!! - Bardzo gorąco broni pani tego głównego podejrzanego - powiedział prokurator drwiąco. - Bo to jest jedyny porządny człowiek w całym biurze! On tego nie zrobił, wykluczone! Boże drogi, przyjdzie do tego, że będę musiała sama prowadzić cholerne śledztwo! - Szczęśliwy człowiek; o którego kobieta tak walczy...

- Niech mnie pan nie denerwuje!...

W dalszym ciągu konwersacji doszłam do takiego stanu, że zaczęłam rzucać nieopisane kalumnie na wszystkich podejrzanych i nie podejrzanych współpracowników, wymyślając przedziwne nonsensy, żeby tylko odwrócić jego uwagę od Zbyszka. Skutek był wręcz odwrotny od zamierzonego. Prokurator z wyraźną, jadowitą satysfakcją zbijał moje argumenty, wynajdując przeciwko Zbyszce dowody nie do podważenia. - Musi panią chyba dużo łączyć z tym panem - powiedział równocześnie uprzejmie i z przekąsem, przyglądając mi się jak jakiemuś ciekawemu okazowi. Musiałam zresztą istotnie wyglądać jak ciekawy okaz, czerwona, rozczochrana, wściekła, niewątpliwie pomazana nieco grafitem z ołówka, demonstrująca w rozpacz wszystkich braki umysłowe. Chciałam mu w szale odpowiedzieć jednym słowem, krótkim, treściwym i niecenzuralnym, ale się na szczęście powstrzymałam. Zamiast tego krzyknęłam: - Przecież on się śmiertelnie kocha...! I urwałam. Lojalność w stosunku do Zbyszka była silniejsza nawet niż furia. - W kim? - podchwycił natychmiast prokurator.

- W jednej pani - odparłam ponuro. - Nie we mnie, ręczę panu. Romansuje sobie z tą panią długo i wytrwale, a ja im błogosławię. A łączy mnie z nim platoniczna sympatia i wzajemne zaufanie. Prokurator patrzył teraz na mnie, jakbym już zupełnie zwariowała. - On się kocha w jednej pani, a pani go tak broni? Przepraszam, ale ja tego nie rozumiem. - To niech pan sobie nie rozumie. Widocznie obce są panu ludzkie uczucia. - Przeciwnie, ludzkie uczucia są mi dobrze znane i właśnie dlatego nie rozumiem. - No to ja jestem taka nietypowa. I co, zamknie mnie pan za to? - Panią nie, ale możetego pana...

Musiał mieć jednak mnóstwo wdzięku i nieprzeciętne podejście do kobiet, bo doprowadził mnie na powrót do przytomności. Jeszcze raz pokrótce zreasumowałam z nim wszystkie wnioski. Podejrzanych nadal było osiem sztuk, z czego dwie, moim zdaniem, wykluczone psychologicznie, dwie na skutek subtelnych obserwacji, a

jedna nie mająca powodu. Ósma osoba. Wiesio, w ogóle nie mieściła mi się w głowie. Wróciłam na górę w pomieszonym nastroju, bo z jednej strony śledcze rozważania zdecydowanie mnie przygnębiły, a z drugiej urok prokuratora, obficie na moje konto roztaczany, znacznie podniósł na duchu. Trafiłam wprost na zbiegowisko, które Witek zwołał w środkowym pokoju. Usiadłam obok Alicji i zanim zdążyłam odetchnąć, usłyszałam od niej rewelacyjną informację. - Uszczęśliwiłam ich - powiedziała z dużą satysfakcją. - Grzebią w wychodku. - Na miłosierdzie pańskie! Dlaczego?! Zwariowali?!...

- Nie, ale skoro zadają głupie pytania, to słyszą głupie odpowiedzi. Pozostawiony w pracowni kapitan, wpadłszy widać w ostateczną rozpacz, zadał Alicji zgubne pytanie. Mianowicie koniecznie chciał się dowiedzieć, czy od chwili wykrycia morderstwa nie zdarzyło się w biurze coś niezwykłego. - Poza zapchaniem się damskiego WC-tu nie zauważyłam nic szczególnego - odparła beztrąsko Alicja, po czym udzieliła mu szczegółowych wiadomości na temat naszych urządzeń sanitarnych. Zapychanie damskiego WC-tu bowiem również nie było niczym niezwykłym. Zapychał się od byle czego. Wystarczyło tam wrzucić ogryzek od jabłka i już koniec luksusów. Kapitan, usłyszawszy tę wyczerpującą odpowiedź, dostał nagłego przypływu wigoru, wezwał posiłki i przy pomocy pani Glebowej przystąpił do gruntownego czyszczenia urządzeń kanalizacyjnych. Pani Glebowa była zachwycona, że chociaż raz w życiu milicja ją wyręcza, bo inaczej musiałaby to robić sama. Innych rezultatów tych poczynań, poza uszczęśliwieniem pani Glebowej, Alicja na razie nie знаła. - Czy ja paniom przypadkiem nie przeszkadzam? - spytał Witek jadowitym szeptem, bo toczyłyśmy rozmowę, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozpoczęcie zebrania. - Nie, skądże, co znowu - odparłyśmy obie uprzejmie, ale poniechałyśmy konwersacji, bo zebranie zapowiadało się niezwykle interesująco. Witek wygłaszał wspaniałą mowę, grzmiąc dramatycznym szeptem przeciwko naszym błędom i wypaczeniom. Z boleścią piętnował upadek dyscypliny zaznaczający się szczególnie po zbrodni, co, jego zdaniem, było nadzwyczaj karygodne. - A co on chciał, żebyśmy zaczęli gwałtownie pracować z" zdenerwowania? Z tą gliną na karku? - spytał rozgoryczonym szeptem Włodek. - Znacnie sytuację - szemrał Witek z boleścią. - Właśnie teraz mamy szansę uratowania pracowni. Przychodzą nowe zlecenia na blisko trzy miliony złotych... - Chała będzie, a nie zlecenia - mruknął Stefan, siedzący obok nas na stole. Witek nadal szeptał-nonsensy, czepiając się wyłącznie dyscypliny i z ręcznie omijając drażliwe tematy, takie, jak zatrzymująca nas wyświetlarnia, introligatornia, nadrabiane przez nas, nie wiadomo dlaczego, błędy i niedociągnięcia inwestorów, komplikacje z naszymi władzami budowlanymi i tym podobne. Nikt nie mógł zrozumieć, o co mu właściwie chodzi. Nagle, ni z tego, ni z owego zakończył.

- I proszę teraz o rzeczywiście twórcze wnioski - powiedział godnie i boleściwie. Twórcze wnioski padły natychmiast. Zaproponowano sprowadzenie dwóch psów, należących do Stefana i Janusza w celu uwiązania ich w korytarzu i przy drzwiach wyjściowych.

- Stefana suka tresowana, trzeba ją jeszcze przyuczyć, żeby przepuszczała do WC-tu - powiedział Leszek natchnionym głosem.

Alicja rzuciła myśl, żeby każdego przykuć za nogę do stołu łańcuchem, zamykanym na kłódkę. Wiesio, żywo zainteresowany kwestią spóźnień, domagał się zamieszkania całego personelu na stałe w biurze. Włodek proponował pozapychanie wszystkim gąb gipsem. Witek słuchał i cierpiał. Wbrew naszym lekkomyślnym wypowiedziom zebranie zakończyło się twardym akcentem. Witek wydał kategoryczny zakaz wychodzenia z pracowni na miasto niezależnie od potrzeb, picia kawy w gronie większym niż jedna osoba i nawet zakaz wychodzenia z pokoju. Jak sobie w takiej sytuacji wyobrażał koordynacje międzybranżowe, Bóg raczy wiedzieć!

- Rzeczywiście - powiedział melancholijnie Kazio, kiwając głową. - Lataliśmy po korytarzach i proszę, co z tego wynikło. Jeszcze byśmy trochę polatali i już nikt by z życiem nie uszedł...

Co dziwniejsze, odebrał nam wszystkim główne projektantstwo i zostawił je sobie. On sam miał być głównym projektantem wszystkich obiektów. To już zakrawało na obłąd, bo główny projektant to jest ofiara do wszystkiego. W naszej pracowni, poza tym, że nieszczęśnik musiał zrobić projekt architektoniczny, należało jeszcze do jego obowiązków milion innych rzeczy. Sprawdzenie wycen branż,



przygotowanie umowy, kontakty z inwestorem, koordynacje wszystkich specjalności, architektury, konstrukcji, sanitarnych, elektrycznych, drogowych, zieleni, technologii i jak się dało, to jeszcze czegoś więcej, użeranie się z wyświetlarnią i wreszcie osobista odpowiedzialność finansowa za całość projektu. Istny koszmar! Alicja, zamiatając kiedyś podłogę w czasie choroby pani Glebowej, oświadczyła, że nie dziwi jej ten jeden więcej obowiązek głównego projektanta. Ja sama, chcąc za wszelką cenę dotrzymać terminu, wepchnęłam w wyświetlarnię tysiąc pięćset swoich prywatnych złotych w charakterze łapówki i naraziłam się wszystkim czynnikiem zatwierdzającym, domagając się od nich wydania opinii w ciągu dwóch godzin, zamiast dwóch tygodni. Kazio osobiście uczestniczył w wierceniach geologicznych chcąc zaspokoić Kacpra, który oświadczył, że bez badań gruntowych do roboty nie usiadzie... Główne projektantstwo Witka na wszystkich obiektach było w ogóle nie do pomyślenia. Musiałyby istnieć co najmniej w sześciu osobach równocześnie. Wszyscy byliśmy tak zdumieni, że nikt nic nie powiedział. Opinie zaczęły się rozprzestrzeniać dopiero po zakończeniu zebrania. W zmniejszonym nieco gronie doszliśmy do dwóch wniosków: po pierwsze, że Witek zwariował, a po drugie, że z całą pewnością nie popełnił morderstwa. Pierwsze było dla wszystkich jasne i zrozumiałe, a drugie wytłumaczył Stefan.. - Te zlecenia, które miały przyjść, rzeczywiście mogły nas uratować - powiedział. - Tylko że one nie przyjdą. - Skąd wiesz? Dlaczego? - Dlatego, że jakiś idiota udusił Tadeusza. Miałem już cynk z tego ich Zjednoczenia. Milicja u nich była i oglądała nasze faktury za warsztaty, właśnie te, które są zaniżone. Pietra takiego dostali, że niech ręka boska broni! Zlecenie już było przygotowane i wycofali, nie chcą mieć z nami nic do czynienia. - No dobrze, a na osiedla mieszkaniowe? To była największa forsa! - Na osiedla mieszkaniowe też nie przyjdzie, bo i do DBOR-u się dobrali. Żebyśmy byli z DBOR-em skończyli w zeszłym roku, to by teraz może przeszło, ale Witek zostawił ostatnie faktury na ten rok i te gliny już wyniuchały. W najgorszej chwili ta zbrodnia nam wypadła!... - Właśnie, żeby chociaż z miesiąc później! Po podpisaniu umów... - Toteż dlatego ja twierdzę, że to nie Witek. Chyba że sam się chciał zgubić. - Albo może ktoś to zrobił specjalnie, żeby go wykończyć? Przyznajcie się, kto z was mu najgorzej życzy? - Ja - oświadczyła Alicja spokojnie. - Ale ja mam podobno alibi. - Jakby nie było, to jest koniec. Przepadło. Gdyby nawet dzisiaj znaleźli tego dusiciela, to już też nic nie pomoże. Możemy sobie wyprawić stypę. - Stypę to nawet trzeba wyprawić, po pogrzebie... Rezultat przeszukiwania urzędów sanitarnych milicja starannie przed nami ukryła. Stałam w przedpokoju, usiłując sobie przypomnieć to coś, co mnie tak męczyło w związku z wypowiedzią Witka na temat klucza, i przyglądałam się wychodzącym współpracownikom. Alicja w swoim pokoju tuż przy drzwiach grzebała na małym stoliku, oglądając na nim puste pudełka po cukrze i soli, puste torebki i papierki. - Nie masz przypadkiem czegoś do zjedzenia? - spytała smętnie. - Obawiam się, że umrę z głodu, zanim dojadę do domu. - Chce pani kawałek placka? - spytała Jadwiga już spakowana, zamykając na klucz swoje szuflady. - Placka? - powiedziała z powątpiewaniem Alicja, krzywiąc się nieco. - Wolałabym kawałek śledzia, ale niech będzie placek. To z tej pani świętej maki? - No pewnie. Zostało mi jeszcze z pół tony, więc tak piekę i piekę... - Z jakiej świętej maki? - zaciekawiała się Monika, która wychodząc zatrzymała się przy nas. - A co, nic nie wiesz? Pani Jadwiga ma w domu kilka wagonów kukurydzianej maki, otrzymanej w prezencie od społeczeństwa. Nie słyszałaś o tej historii? - Nie, pani Moniki jeszcze wtedy nie było - powiedziała Jadwiga. - Mówię pani, co ja się z tym wtedy miałam, to niech ręka boska broni!... W tym momencie jak grom z jasnego nieba spadło nagle na mnie przypomnienie tego, o co mi chodziło. Oczywiście, Jadwiga! To było właśnie w związku z kukurydzianą mąką! Mniej więcej rok temu dziecko Jadwigi zachorowało na żołądek i lekarze kategorycznie zażądali karmienia go wyłącznie produktami pochodzenia kukurydzianego. Kaszka z kukurydzy, mąka z kukurydzy i absolutnie nic innego. Jadwiga wpadła w szal, bo dziecko było rzeczywiście poważnie chore, a owa mąka okazała się czymś nieosiągalnym. W przypływie rozpaczyci dała ogłoszenie do którejś gazety, że dla chorego dziecka potrzebne są różnego rodzaju artykuły spożywcze i rozpętała tym istne piekło. Za zgodą Witka, który sam nie wiedział, na co się na"raza, podała nasz bezpośredni numer biurowy, bo sama nie miała w domu telefonu. Ogłoszenie znalazło natychmiastowy

oddźwięk w społeczeństwie. Już następnego dnia od rana zaczęły się telebiiny. Najpierw dzwoniło całe miasto, proponując- jej mąkę w kilogramach, następnie apel dotarł do dalszych rejonów kraju i mąka poszła w tony. Jakaś wytwórnia zaoferowała jej trzy wagony, prywatne osoby i instytucje zgłaszały się bez przerwy, dzwoniли nawet ze Szwajcarii i z Anglii. Na adres redakcji owej gazety przychodziły paczki, których dwóch silnych chłopów nie mogło udźwignąć. Zasypana górami mąki kukurydzianej, nieszczęsna, przerażona Jadwiga zaczęła wreszcie kategorycznie odmawiać przyjmowania dalszych darów, zrobiwszy już sobie zapas na najbliższe kilkadziesiąt lat. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że przy bezpośrednim telefonie siedziała Matylda. Przez pierwsze kilka godzin przyjmowała zgłoszenia z dużą życzliwością, potem zaczęła być nieco sztywna, potem nieuprzejma, aż trzeciego dnia dostała rozstroju nerwowego. Znienawidziła z całej duszy wszelką mąkę i kaszę na świecie, a na Jadwigę patrzeć nie mogła. Z histerycznym krzykiem odmawiała podnoszenia słuchawki, powodując tym komplikacje natury służbowej. Przy którymś kolejnym telefonie, wykorzystując nieobecność Witka, wyrzuciła rozmawiającą Jadwigę do gabinetu, który dysponował tym samym aparatem, przełączanym za pomocą czerwonego guzika. Zdenerwowana skaplikowana sytuacją Jadwiga bawiła się w trakcie rozmowy swoimi własnymi kluczami od mieszkania, które następnie w roztargnieniu zostawiła w gabinecie. Dowiedziałam się o tym następnego dnia, kiedy Jadwiga zwierzyła mi się ze swoich okropnych przeżyć. Brak kluczy zauważyła dopiero po przyjeździe do domu, który okazał się dla niej niedostępny. Dziecko znajdowało się w tygodniowym żłobku, w infirmerii, na specjalnych prawach i w domu nie było nikogo. Wróciła więc do pracowni, stwierdziwszy uprzednio telefonicznie, czy wewnątrz jest ktoś, kto jej otworzy. Był Ryszard. Uszczęśliwiona Jadwiga przybyła do biura, gdzie czekało ją fatalne rozczarowanie. Mianowicie drzwi do gabinetu były zamknięte i to zarówno te od strony przedpokoju, jak i te od sali konferencyjnej. Fakt ten głęboko utknął w jej pamięci, bo nie chodziło jej już o to, że nie miała gdzie nocować, tylko o to, że wieczorem była umówiona z kimś bardzo ważnym i nie mogła się przebrać. W rezultacie pojechała na spotkanie w roboczych szmatach, a nocowała u swojej gospodyni na strychu.

Patrzyłam teraz na jedzącą kukurydziany placek Alicję i usiłowałam sobie przypomnieć wszystkie okoliczności tamtego zamknięcia drzwi. Wtedy nie zwróciłam na to zbyt dużej uwagi, zajęta przypadłkami pechowej Jadwigi. Kto je zamknął? I kiedy to było?... - Pani Jadwigo, kiedy to było? - spytałam, przerywając jej opowiadanie. - A zaraz pani powiem, bo dokładnie pamiętam. W pierwszej połowie listopada.

Oczywiście! Teraz zrozumiałam już wszystko. W tym samym okresie Witek robił konkurs, obaj z Januszem, a niekiedy także i Wiesio siedzieli po nocach i wszystkie materiały do owego konkursu Witek trzymał w gabinecie. Dlatego teraz męczyła mnie myśl, że kłamie, wypierając się klucza. Palcem przecież tych drzwi nie zamykał... Zaraz, a może Zbyszek?... Nie, Zbyszek wtedy jeszcze pracował w pierwszym pokoju, do gabinetu przeniósł się dopiero od nowego roku, to już dokładnie pamiętam. Więc jednak Witek? Dlaczego kłamie?... - Na co ty czekasz? - spytała ze zdziwieniem Alicja. - Mało ci było tych wczorajszych godzin nadliczbowych? Nie idziesz do domu?... W domu miałam rozłożoną na stole małą, prowizoryczną, wolnostojącą kotłownię na trzy kotły. Usiadłam przy desce i zaczęłam kreślić elewacje. Zajęcie było mało skomplikowane umysłowo, toteż mogłam sobie przy nim pozwolić na kontynuowanie śledztwa. W głowie kłębiły mi się tysiące różnych pogmatwanych myśli, z których w żaden sposób nie mogłam wyłowić nic rozsądnego. Najbardziej gnębił mnie Witek. Wiedziałam, że Witek miałby powód do zamordowania Stolarka, ale pod warunkiem, że Stolarek o tym powódzie wiedział. Jeżeli nie wiedział, to myślę, że Witek zasłoniłby go raczej własną pierś przed ciosem, tak wielkie kłopoty niosła ze sobą ta zbrodnia. Upadek pracowni... Pracowni, której Witek był nie tylko kierownikiem, ale w której miał prawo nosić zaszczytne miano dyrektora. Przypadek sprawił kiedyś, że bez żadnego wysiłku mógł wspiąć się na wysoki szczybel. W żadnym innym wypadku i w żadnych innych okolicznościach nie zostałaby tak łatwo, w tak młodym wieku dyrektorem przedsiębiorstwa, a to już było coś... No tak, przyczyny, które mogłyby go pchnąć do zbrodni, musiałyby być piramidalnych rozmiarów... Ale Witek kłamał. Witek wiedział, gdzie był klucz. A klucz z wazonu?... Nie wytrzymałam

nerwowo porzuciłam elewacje kotłowni i zadzwoniłam do znajomej pani, robiącej doktorat z chemii. Osłupiała ze zdumienia chemiczka wyjaśniła mi, że opisanym przeze mnie pomysłem wystarczyłoby kilka dni na ustanie się i zareagowanie ponownie w sposób równie imponujący. Czyli klucz mógł być wyjęty z wazonu nieco wcześniej, a po zbrodni znów tam wrzucony. Chlup i już! I przykryć... Więc co, Wiesio? Niemożliwe. Zupełnie niemożliwe.

Ale jeżeli nie Wiesio i nie Witek, to Zbyszek. Kacpra, Ryszarda i Monikę wykluczyłam. Zbyszka też. Co do Zbyszka chodziło mi tylko o to, jak go obronić. Podniosłam głowę znad elewacji i tęsknie popatrzyłam w róg pokoju. Przydałby mi się teraz diabeł, on jednak zmuszał mnie do logicznego myślenia. Pomimo intensywnego wpatrywania się we wszystkie możliwe narożniki diabeł nie ukazał się, ale za to zadzwonił telefon. - Chwileczkę - powiedziałam, pojawiając wreszcie, że po drugiej stronie przewodu znajduje się piękny prokurator. - Czy pan rzeczywiście dzwoni, czy też ja to sobie wyobraziłam? Bo już mi się zaczyna mylić... - Rzeczywiście dzwonię - odparł nieco zdumiony. - Przepraszam, że o tej porze, ale u państwa było dziś po południu jakieś zebranie i mam nadzieję, że zdobyła pani nowe wiadomości. - A zdobyłam, zdobyłam... Te nowe wiadomości doprowadzają mnie powoli do kompletnego upadku umysłowego. Jeżeli ich zaraz z panem nie omówię, to nie ręczę za swoje klepki. Gdzie się pan chce ze mną spotkać? Wcale nie chciałam tego powiedzieć. Diabeł mówił za mnie. - Kiedy widzi pani, ja właściwie nie powinienem się z panią spotykać - w głosie prokuratora brzmiało coś jakby niepokój. - Dopiero po zakończeniu śledztwa... - Tak? - powiedział niewinnie diabeł moimi ustami. - To może mam przyjechać do pana, do domu, tak żeby nikt nie widział? Niewinne pytanie diabła najwyraźniej w świecie śmiertelnie go przeraziło. - Broń Boże! - zawołał pośpiesznie. - To jest, chciałem powiedzieć, może w Europejskim?... Kawiarnię zamykali o dziesiątej, kiedy byliśmy dopiero w połowie tematu. Prokurator się przez chwilę zawałał. - Właściwie już mi jest wszystko jedno. I tak popełniłem przestępstwo służbowe, spotykając się z podejrzaną w czasie trwania śledztwa... Mam nadzieję, że tam, na dole, w Kamieniołomach nie będzie nikogo ze znajomych... - Biorąc pod uwagę sytuację służbową, Witek jest ostatnią osobą w kolejności do ławy oskarżonych - powiedziałam, kończąc relację o sprawach biurowych. - Ale kłamie... - A czy pani jest pewna, że to on wtedy zamknął, a nie ktoś inny? Popatrzyłam na niego jednym okiem przez kieliszek jarzębiaku. Alkohol kolosalnie podnosił moje walory umysłowe. - Po pierwsze tylko on tam wtedy pracował. Po drugie trzymał tam bezcenne materiały konkursowe. A po trzecie ostatni wychodził, a pierwszy przychodził, zaraz po Matyldzie, która z kolei wychodziła znacznie wcześniej. W żadnym wypadku nie mógł nie wiedzieć o istnieniu klucza i nie zainteresować się tym, gdzie ten klucz przebywa. - Może zapomniał?

- A, to może mu przypomnieć?

- Tylko niech pani tego przypadkiem nie robi! Już i tak pani stanowczo za dużo wie. Tylko by tego brakowało, żeby pani zaczęła działać na własną rękę! Przekornie pokiwałam głową na obie strony. Siedziałam w tych Kamieniołomach niesłychanie zadowolona i doskonale beztroska. Prokurator był tak nieskazitelnie urzędowy, że nie mogłam mieć żadnych wątpliwości. Diabeł zrobił swoje, dzieło podrywania było na jak najlepszej drodze. Z zaciekawieniem spytałam o rezultaty poszukiwań w naszych urządzeniach sanitarnych, na co usłyszałam obszernie omówienie ostatnich premier teatralnych. To z kolei świadczyło, że musieli tam znaleźć coś interesującego, więc uczepiłam się tematu jak rzep psiego ogona. Skutek moich uporczywych nalegań był odwrotny od zamierzonego, acz ze wszech miar pozytywny. Mianowicie okazało się, że przedstawiciel prawa świetnie tańczy... Potem już pracowałam głównie nogami, bo po każdym moim pytaniu na temat poszukiwań ta pani przy mikrofonie krzyczała: "Rudy, rudy, rudy rydz...!" albo "nie płacz, kiedy odjadę", a prokurator zrywał się od stolika i zapinał środkowy guzik marynarki. W pewnym momencie mruknął przy upojonym obrocie: Nie znoszę walca...

- To dlaczego pan tańczy?

- Żeby pani przestała pytać... Rozumiem z tego, że przedstawiciele władz śledczych muszą być wszechstronnie wykształceni. Może bym się i nie spóźniła tak bardzo następnego dnia, gdyby nie to, że rano przed wejściem oko moje padło na zostawione odłogi elewacje kotłowni. Przyjrzałam się im i wyraźnie poczułam,

że coś jest ze mną nie w porządku. Trzeba było pełnego kwadransa, żebym wreszcie stwierdziła przeraźliwy idiotyzm, jaki mi się udało popełnić w stanie zaabsorbowania śledztwem. Zrobiłam coś nie do opisanego, elewację, która była równocześnie frontową i tylną, przy czym w pierwszej chwili zupełnie nie można było pojąć, w czym leży błąd, i od patrzenia na to maciło się w głowie. Zabrałam to ze sobą do pracy w celu uszczęśliwienia kolegów niezwykłym widokiem. Stałam koło Matyldy i grzebałam w stosie różnych maszynopisów, wyszukując swoje, kiedy weszła Jadwiga, jeszcze bardziej spóźniona niż ja. Nie zwlekając udała się do Witka wygłosić jakieś usprawiedliwienie. Drzwi za sobą zostawiła otwarte. - Panie inżynierze, pęcherzyk mi się zrobił - powiedziała tkliwym basem, podtykając mu pod nos patykowatą nogę. - O, tu, niech pan popatrzy. Od czasu owych plotek, dotyczących rzekomej płomiennej miłości Witka, Jadwiga miała zawsze cień nadziei, że może i było w nich jakieś źdźbło prawdy. Utrzymując stosowny dystans służbowy, usiłowała jednak być nieco uwodzicielska. Witek, siedzący za biurkiem, mimo woli rzucił okiem na miejsce, w które Jadwiga stuknęła palcem, i cofnął się nieco. Jadwiga tkwiła przed nim jak bocian, nie zmieniając pozycji, więc pośpiesznie uznał ją za usprawiedliwioną, chcąc widać pozbyć się sprzed nosa tej nogi z pęcherzykiem, mając przy tym pełną świadomość, że przyglądamy mu się z zainteresowaniem, Zbyszek zza swojego stołu i ja w progu. Widok Jadwigi, obojętnej, z pęcherzykiem czy bez, natchnął mnie natychmiast myślą przeprowadzenia z nią dyplomatycznego wywiadu, dotyczącego owego tajemniczego samochodu z zamierzczłych czasów. Zabrałam swoje opisy techniczne i poszłam za nią, uszczęśliwioną usprawiedliwieniem. - Pani Jadwigo, co z wyświetlarnią? - spytałam, zmierzając do celu okrężną drogą. - Opisy techniczne wróciły z maszyn, trzeba dać na oprawy. Czy te matryce warsztatów już wyświetlone? - A co ja jestem, Duch Święty? - odparła życzliwie Jadwiga. - Kiedy pani mi to dała? - Dwa tygodnie temu. Miały być przedwczoraj. - A to może już będą. Jak tam będę szła, to się dowiem, ale to jeszcze nie teraz. Za godzinę. Jak się pani śpieszy, to niech pani sama pójdzie. Nie powiedziała mi nic nowego, wiadomo było, że jak się komuś śpieszy, to musi wszystko sam załatwić. A przy tym akurat wcale mi się nie śpieszyło, ale musiałam przecież coś mówić. - Nigdzie nie pójdę, wyświetlarnia należy do pani - powiedziałam stanowczo. - Jak pani wszystko tak załatwia, jak te nasze odbitki, to się wcale nie dziwię, że pani mąż nie płaci alimentów. - Głupstwa pani mówi - odparła Jadwiga, nie dając się wyprowadzić z równowagi. - Nie płaci, bo jest łobuz i drań, ale ja mu jeszcze pokażę. Uznałam temat za dostatecznie dyplomatycznie poruszony i postanowiłam rozwijać rzecz dalej na bazie wzajemnej życzliwości. - Ile on jest pani winien? - Siedemdziesiąt osiem tysięcy, dwieście złotych - odparła Jadwiga z satysfakcją, siadając na swoim miejscu. - I odda mi to co do grosza. - Skąd się pani tyle nabierało? - zdziwiłam się, bo w myśl powszechnie przyjętych stawek musiałyby jej być winien za dziesięć lat, podczas gdy dziecko miało zaledwie trzy. - A co pani myśli, nabierało się! W tym jest mój posag... Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo Wiesia wezwała ją do Olgierda. - Niech pani przygotuje te opisy, to je wezmę, jak będę tam szła. Czego ten stary piernik chce ode mnie?... Poszła do głównego księgowego, zostawiając mnie w stanie niewymownego zdumienia, bo o wszystko ją podejrzewałam, tylko nie o posag. Na razie nie pozostało mi nic innego, jak tylko wziąć się do roboty. Zamieszanie po zabójstwie już mijało, Witek gnał do pracy, cały personel zaczynał nadrabiać te dwa stracone dni. Stefan i Włodek kłócili się z Januszem. - Gdzie mi tu się pchasz z tym kominem, gdzie - warczał Janusz. - Co ty myślisz, że ja dla twojej przyjemności umywalkę za oknem zawieszę? - Jak Boga kocham, urodził się wczoraj! - dziwił się Stefan z furją. - Toś nie wiedział, że kotłownia ma komin? Nosem będę ten dym wypuszczał? - A wypuszczaj nawet uszami! Ja tu jestem poniżej normy z metrażem! Jednego centymetra ci nie dam, Wyjdź na klatkę schodową! - Wykluczone! - zaprotestował kategorycznie Włodek. - Ja tu mam tablicę rozdzielczą, muszę mieć miejsce na parterze. Górą sobie możesz iść. - Zwariowali - jęczał Stefan. - Jak Boga kocham, zwariowali! Schodki mam robić w kominie? I co, może ci jeszcze pętelkę zawiązać? - Ale jedyne miejsce między budynkami to zająłeś? Gdzie ja teraz pójdę z przewodami? A jak mi swoją parszywą wentylację wepchnąłeś w rozdzielnię, to dobrze było?

- Do mnie masz pretensję? Jego się czepiaj!! - wrzeszczał Stefan, wskazując na Janusza. - Wnętrza sobie robił, cholera! Przecież on w ogóle nie patrzy, co się w budynku dzieje! Wszystko mu jedno, lampa wisi czy zlewozmywak! Szafę na przewodzie wentylacyjnym postawił!!!... - Cicho, sza!!! - ryknął Janusz, którego widocznie nagle ugryzło sumienie. - Dobrze, już dobrze, znajdę ci miejsce na ten cholerny komin! Kobyła nie komin!... - Ja muszę mieć gniazdko! - zażądał Włodek kategorycznie. - To idź se uwij. Dajcie mi święty spokój, może coś wykombinuję...

Słuchałam ich barwnych wypowiedzi i rozkładałam swoje opisy techniczne na poszczególne egzemplarze, nie wnikając na razie w ich treść, bo miałam myśl zajęta ważniejszymi rzeczami. Rozkładanie opisów przerwał mi Andrzej.

- Pani Joanno można pani zadać służbowe pytanie? - spytał jak zwykle z nienaganną rewerencją. - Niech pan zadaje - zgodziłam się w roztargnieniu. - Co pani ma w opisie technicznym całego obiektu? Bo ja właśnie sprawdzam te opisy, co przyszedł dziś z maszyn. Wszędzie jest napisane "budynek dla robotników parowych", nie bardzo rozumiem, co to znaczy nic takiego nie robiłem. - Co?! - spytał Włodek, odwracając się nagle. - Parowych? Ja mam budynek dla robotników pałacowych! - To może niech pani rozstrzygnie... Patrzyłam na nich, nie mogąc tak od razu zebrać myśli. Chwyliłam własny opis techniczny i oprzytomniałam. - Na litość boską, co wy mówicie! Budynek dla robotników placowych! - Ja jeszcze mam wiatę na nasypy drogowe - powiedział ponuro Włodek. - W brudnopisie było jak byk: maszyny. Stefan też się odwrócił, wciąż parszcząc furia.

- Te maszynistki chyba zwariowały. Ja mam u siebie kotki gnane parą. - Co pan ma?!

- Kotki gnane parą.

- A co powinno być? - spytałam z szalonym zaciekawieniem, nie mogąc sobie tego w pierwszej chwili z niczym skojarzyć. - Kotły grzane parą...

- To jeszcze nic - oświadczył Janusz, również odwracając się od swojego stołu. - Raz mieliśmy w opisie technicznym takie zdanie: Pies, stojący w kącie pokoju, kopcił tak strasznie, że trzeba mu było otwór zalepić glina". Ładne, co? Zaniepokoiłam się tymi informacjami i na wszelki wypadek zaczęłam patrzeć uważniej na własny opis. Zaraz na pierwszej stronie znalazłam pięknie podkreślony tytuł: Warsztat z suszarnią. W pierwszej chwili wpadłam w panikę, przekonana, że widocznie pomyliłam dwa budynki, ów warsztat i pralnię, którą równocześnie robiłam, ale brudnopis wykazał, że miał być warsztat z suwnicą. Zajęta opisem, nie zwracałam uwagi na otoczenie, kiedy nagle oderwały mnie od pracy dziwne poczynania Janusza. Spędził Wiesia z jego miejsca i przysunął jego stół do stołu Leszka. Zmierzył odległość, zawahał się i przysunął jeszcze trochę. Wiesio stał obok, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Janusz spojrział na mnie.

- Wstań-rozkazał.

Wstałam posłusznie z nadzieją, że coś wyjaśni. Przyjrzał mi się od tyłu i pomamrotał pod nosem. - Na nic - oświadczył. - Siadaj.

Wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z Moniką.

- Powąchaj to - powiedział do niej, wskazując stół Wiesia. Trzeba trafu, że akurat stał tam mały słoiczek farby, z wyrastającą ze środka pleśnią. -

Zwariowałaś? - oburzyła się Monika. - Sam sobie wąchaj. - No to zaraz... - Janusz obejrzał się, odsunął farbę i położył na stole gumkę do ołówka. - No, wąchaj! - On ma fioła? - spytała Monika nieufnie, spoglądając na nas pytająco. - O co mu chodzi? - Nie wiemy. Wąchaj, co ci szkodzi. Może nam potem powie. Monika wzruszyła ramionami, pochyliła się i powąchała gumkę. Janusz uważnie przyglądał się jej z tyłu.

- Nie śmierdzi-powiedziała prostując się.-A co?...

- Pięćdziesiąt pięć centymetrów - oświadczył Janusz z zadowoleniem. - Jakby się uprzeć, to nawet pięćdziesiąt trzy. Mam dla Stefana osiem centymetrów. - W tej chwili masz wyjaśnić, co to znaczy!

- Nic, musiałem sprawdzić, ile mogę mieć minimalnie między kuchnią a zlewozmywakiem. Ile potrzeba, żeby się gruba baba mogła schylić... Jesteś najgrubsza w całym biurze. - Zwierzę - powiedziała zimno Monika, odzyskawszy głos.

Te wszystkie atrakcje tak mnie zajęły, że zapomniałam o Jadwidze. Kiedy sobie o niej przypomniałam okazało się, że właśnie maglują ją władze w sali konferencyjnej. - Wiecie, że ja się już do nich przyzwyczaiłem - powiedział Leszek w smętnej zadumie. - Jak skończą to śledztwo i przestaną tu przychodzić, to tak mi będzie czegoś brakowało... - Najwięcej ci chyba będzie-brakowało tego jednego, którego ze sobą zabiorą - powiedział trzeźwo Janusz. - Najwięcej to pani Joannie będzie brakowało prokuratora - zauważył Witold, odwracając się i mrugając jednym okiem do Janusza. Pomyślałam sobie, że chyba muszą mieć jakieś dodatkowe wiadomości. - Żebym go aby nie miała w nadmiarze - odparłam proroczo. Leszek siedział nadal zamyślony.

- Ciekawe, kto to będzie. Wiecie, powiem wam, że tak prawdę mówiąc, to ja nie wierzę w nikogo. Podejrzewam, że go wykończyła siła nadprzyrodzona albo sam popełnił samobójstwo. A propos, kto z was mi pożyczy sto złotych? - Ja bym ci nie radził pożyczać - mruknął ostrzegawczo Janusz. - Nieboszczyk pożyczał i jak teraz wygląda? - Rzeczywiście, może i masz rację - przyznał Leszek po namyśle. Otworzył szufladę, przyjrzał jej się z uwagą, i westchnął ciężko. - Widzicie, jak to było dobrze zrobić sobie taki skromny zapasik? Teraz będzie, jak znalazł. Proszę, i chlebek jest, i masełko, i kiełbaska, i nawet musztarda... - wyjął słoik z zaskorupiałymi resztkami, obejrzał i pokręcił głową. - Co prawda, niedużo tego...

Przyglądaliśmy mu się z zainteresowaniem, bo jego westchnienia brzmiały sugestywnie. Leszek pogrzebał trochę w swoim spożywczym pobojuwisku, podniósł głowę i też spojrzął na nas. - Do pierwszego jeszcze pięć dni - powiedział ostrzegawczo. - Nie szaleć! Nie szaleć z jedzeniem!... - Pani Joanno, milicja panią wzywa - powiedziała Jadwiga, zaglądając do pokoju. - A jak panią wypuszczą, to ja mam do pani bardzo ważny interes, koniecznie musi pani ze mną porozmawiać. Jadwiga była wzburzona i nieprzytomnie zdenerwowana, co mnie bardzo zaciekawiło. Nie miałam czasu o nic jej spytać.

- Kto wychodził na wasz balkon? - spytał kapitan po wstępnych rewerencjach. Wiedziałam, dlaczego o to pyta i o co mu chodzi, i natychmiast się zdenerwowałam nie mniej niż Jadwiga. Chcąc nie chcąc, musiałam wyznać, że Wiesio, kiedy jadł Leszka rybę. - Ale to o niczym nie świadczy - dodałam stanowczo już z własnej inicjatywy. - Tłumy ludzi mogły wychodzić, przecież nie siedziałam tam bez przerwy! Mimo woli zwracałam się nie do kapitana, tylko do prokuratora, który mnie od razu zrozumiał. - Co ja pani na to poradzę - powiedział z westchnieniem. - Oczywiście, że spytamy wszystkich, ktoś tam przecież zawsze był. - Nie zawsze - zaprotestowałam. - Tuż przedtem, jak zaczęliście nam odbierać chustki do nosa, pokój był pusty. Janusz grał w brydża. Leszek gdzieś poszedł, Wiesia trzymaliście wy, a ja przyszedłam do gabinetu zaraz po nim. Przedtem był ze mną w pokoju Stefan, może on kogoś widział! - Tego pani też broni? - mruknął niechętnie prokurator. - A co, mam go oskarżać? To pańska domena!

- Zwracam pani uwagę, że jak odbieraliśmy chustki do nosa, to ten wazon dawno był w kawałkach - powiedział zimno kapitan. - Oczywiście doskonale pani wie, dlaczego szukamy tego, co wychodził na balkon. Uprzytomniłam sobie z rozpaczą, że ja nikogo innego nie widziałam, Leszek jest roztargniony, Janusz był otępiały po wizualnym wstrząsie, a Wiesia wypowiedzi na pewno pod uwagę nie wezmą. Co zrobić?... - Ekspertyza... - wymamrotałam w przygnębieniu.

- Jaka ekspertyza? - spytał ostro kapitan.

- Ekspertyzę musicie zrobić! Przecież tak się robi! Na takim zapleśniałym kluczu muszą być ślady gmerania w zamku! To niemożliwe, żeby nie było! Od czego macie swoje laboratoria?! - Pozwoli pani, że będziemy sami decydować o naszych poczynaniach. Na razie musimy stwierdzić, kto wychodził na balkon. Zaczęłam sobie gwałtownie przypominać wydarzenia natychmiast po odkryciu zwłok. Panowało przeraźliwe zamieszanie. Każdy mógł zdażyć. Leszek i Wiesio byli już w środkowym pokoju, Janusz był ogłuszony i nic nie widział. Na balkon mogło wyjść nawet stado słoni!... Rozmyślania toczyłam na głos, a panowie z zainteresowaniem słuchali. Kapitan wzruszył ramionami. - Zaraz się okaże, że w tym czasie wszyscy oślepli i ogłuchli - powiedział gniewnie. - Albo stracili pamięć i nic nie wiedzą. - No to ich przyciśnijcie!. To niemożliwe, żeby Wiesio!... - Przyciśniemy, nie ma obawy...

Wróciłam do pokoju. Leszek stał na przeklętym balkonie, na ulicy grała orkiestra, a Janusz siedział ze zgrozą malującą się na twarzy. Witold i Wiesio mieli atak śmiechu. - Wiecie, że to już przechodzi ludzkie pojęcie - powiedział Janusz w osłupieniu. - Co ci się stało? - spytałam zniecierpliwiona, bo miałam już dość dziwnych niespodzianek. - No, mówże! Zaniemiałeś?! - Wycygnął ode mnie ostatnie dwadzieścia złotych - powiedział Janusz trwając w stanie otępiełej zgrozy. - Wyżebrał, wyskamlał! Dałem mu w końcu, bo myślę sobie, głodny albo co... A ten bydlak wziął moje dwadzieścia złotych i wyrzucił za okno!!! - Nie za okno, tylko za balkon - poprawił Wiesio. - Chciał, żeby mu Ramonę zagrali. - Trzeci raz grają! - wrzasnął Janusz, odzyskując wigor. - Za twoje dwie dychy to zagrają i czwarty. Leszek jest w romantycznym nastroju. Jadwiga, która już na mnie czekała, wyciągnęła mnie z pokoju i zawlokła do holu przy klatce schodowej, roztaczając wokół jak zwykle odór kropli Waleriana. - Niech pani posłucha - powiedziała przy akompaniamencie poszczekiwania zębami. - Muszę pani coś powiedzieć, a pani musi mi pomóc, czy pani chce, czy pani nie chce. Ale najpierw niech pani da papierosa. Zamilkła na chwilę, wpychając nie wiadomo po co papierosa z filtrem do cygarniczki. W napięciu czekałam na jej zwierzenia. - Czy pani wie, o co oni mnie pytali? - Niech pani nie zadaje głupich pytań, przecież nie podsłuchiwałam! - Pytali mnie o samochód mojego męża! Jadwiga znów zamilkła i spojrzała na mnie wyczekująco, spodziewając się widać jakiejś niesłychanej reakcji. Nic nie zrobiłam, więc ciągnęła dalej: - Muszę pani powiedzieć prawdę od początku. Jak oni to wykryli, nie mam pojęcia, ale cała rzecz polega na tym, że ja nigdy w życiu nie miałam tych siedemdziesięciu tysięcy złotych. Tym mnie istotnie zaskoczyła, bo już zdążyłam się przyzwyczaić do myśli, że miała posag. Spojrzałam na nią zdumiona. - Jak to? Co to wszystko znaczy?

- Właśnie ten samochód. Pani wie, on był prywatną inicjatywą... - Samochód?! - Nie, mąż. Miał takie różne kłopoty z urzędem skarbowym, nie będę pani teraz tłumaczyć, dość, że mu było potrzebne siedemdziesiąt tysięcy. Trzeba było to tak załatwić, że te pieniądze są nie jego, tylko że ma współnika albo co. No, że je dostał od kogoś. No i sprzedał samochód właśnie za siedemdziesiąt patyków i dał mi kwit, że niby dostał to ode mnie jako mój posag. Czyli krótko mówiąc, ja się u niego o te pieniądze upominam bezprawnie... - A on musi nadal twierdzić, że to pani forsa, bo się nie może przyznać do kantu? - spytałam bystro, pojawiając się, o co chodzi. Jadwiga kiwnęła głową. - Niech mi pani nie mówi, że to świństwo, sama wiem. Ale zrobię je, choćbym miała pęknąć! Moje dziecko nie będzie żyło w takiej nędzy jak teraz, łóżka nie ma, stołka nie ma, pani wie, on mi wszystko zabrał... Na głowie stanę, a wydobędę od niego wszystkie możliwe pieniądze co do ostatniego grosza i wszystko wepchnę w moją lalunię!... - Zaraz, zaraz, czekaj pani, bo się gubię. Coś mi tu pani maści. A ten pani fatygant? Niech mi tu pani oczu nie mydli, bo obie wiemy, gdzie jest pies pogrzebany. Jak się z panią ożeni, to zużyje i te drobne rupie. Jadwiga spojrzała na mnie z politowaniem. - Co pani? Pani myśli, że ja mu to dam? Ma mnie pani za głupią? Jemu jest potrzebna pożyczka i ja mu to pożyczę pod bardzo dobry zastaw. Nie ma obawy, już mi to nie zginie. Przyjrzałam się Jadwidze. Miała zaciętą twarz i twardy wyraz oczu. Tak, dla dobra dziecka była zdolna do wszystkiego. Nie miałam najmniejszego zamiaru potępiać jej za te machlojki, przeciwnie, życzyłam jej wszystkiego najlepszego. Ale równocześnie jej zwierzenia zaczęły mi się kojarzyć z innymi wiadomościami na temat śmierci Tadeusza i wiedziałam, że to nie koniec rewelacji. - I teraz musi mi pani pomóc - powiedziała stanowczo. - Nikt się o tym nie może dowiedzieć. - No to niech się pani wypiera. Jadwiga niecierpliwie machnęła ręką. - E tam! Nie o to chodzi. Niech mi pani powie, skąd oni wiedzą o tym samochodzie. Nie zamierzałam jej mówić całej prawdy. Zastanowiłam się. - Kto jeszcze wiedział o tym oprócz pani? Przypadkiem nie nieboszczyk? - To już się pani domyśla, co? - powiedziała Jadwiga ponuro i bez zdziwienia. - On miał odpis dokumentu kupna i sprzedaży. Zgadł wszystko, jakby był przy tym. Szantażował mnie. - A co się z tym odpisem stało? - Nie mam pojęcia i to mnie właśnie najbardziej gryzie. Może milicja go ma? Byłam pewna, że milicja go nie ma. A może Tadeusz też nie miał? - Widziała to

pani? - spytałam podejrzliwie. - Jest pani pewna, że on to miał? - Na własne oczy! Żądał ode mnie za to pięć tysięcy.

- I pani mu dała?!

- Skąd?!...

- No pewnie, to byłaby szczytowa głupota. Mógł pani sprzedać ten odpis za pięć patyków, a sobie zrobić drugi. Jadwiga potrząsnęła głową. - To nie takie proste. Niech pani pomyśli, ile to lat temu było. Miał tylko ten jeden odpis, a na całą historię wpadł przypadkiem. Znał faceta, który wtedy kupił ten cholerny samochód, i wszystko sobie skojarzył. Milicja się chyba tego domyśla. I niech mi pani powie, co ja mam teraz zrobić? - Powiesić się - poradziłam gniewnie. - Pogodzić się z faktem, że jest pani pierwszą podejrzaną. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że to pani go udusiłaś - Ja bym się sama nie zdziwiła - odparła Jadwiga coraz bardziej ponuro. - Ale ja go nie udusiłam. Pani ma z nimi jakieś konszachty, niech pani coś zrobi! Niech mi pani pomoże! Oprócz przygnębienia ogarnęła mnie jeszcze i wściekłość.

- Co ja jestem, Opatrzność?! Boże, co za banda kretynów! Wszyscy robicie, co tylko można, żeby podpaść, a ja mam was teraz bronić! Niech was wszystkich piorun trafi! Następna niewinna się znalazła! Nie wiem, co pani ma zrobić, pomodlić się o miłosierdzie boskie i życzyć milicji powodzenia! - Niech pani nie będzie podła megiera, cała moja nadzieja w pani - powiedziała Jadwiga stanowczo.

- Niech się pani wypcha swoją nadzieją. Teraz już mnie pani dobiła, ręce mi opadają. Dość mam tego całego śledztwa i tej waszej niewinności i dajcie mi święty spokój!!! Nie słuchając dalszych błagań Jadwigi uciekłam do pracowni. Najbardziej denerwowało mnie to, że jej informacje muszę zachować w tajemnicy, bo nie ma na świecie takiej władzy śledczej, która by w tej sytuacji uwierzyła w jej niewinność. Zresztą, nawet jeśli go zabiła, to postąpiła bardzo słusznie i niech jej nie wykryją!... A jeśli nie ona, to kto? Kto wreszcie ukatrupił tego Stolarka?! Zbyszek? Wiesio? Witek? Ryszard, Kacper, Monika?... Żeby to wszyscy diabli wzięli!!! . W pokoju zastałam sądny dzień. W czasie mojej rozmowy z Jadwigą Janusz dostał wiadomość, że za dwie godziny musi dostarczyć Ance opracowany projekt architektury siedmiu budynków w celu przedstawienia go orzecznikowi konstrukcji. Projekt architektury był na razie w wyświetlarni!... W momencie kiedy wróciłam, Janusz zdażył już przynieść z przekupionej na kredyt wyświetlarni część śmierzdzących amoniakiem odbitek i cały zespół obcinał je w szaleńczym pośpiechu. Moje przybycie wywołało dziki wybuch entuzjazmu. - Siadaj! - krzyknął Janusz. - I pisz! Masz tu wszystko, papier, kalkę, formularze, pisz! Wódkę ci postawię, krakowiaka będę z tobą tańczył, tylko skończ za dwie godziny! !! - Z byka spadłeś - powiedziałam z wściekłością. - Piętnaście stron za dwie godziny! Idiota! Nie wdając się w dalsze rozważania jego stanu umysłowego usiadłam do maszyny, bo opisy techniczne musiały być opracowane razem z resztą projektu, a szybciej ode mnie pisała tylko Matylda. Z góry było wiadomo, że na nią nie ma co liczyć. Wyładowywałam swoją furję, łupiąc w nieszczęsną maszynę, a reszta zespołu szalała nad opravami. Wiesio składał rysunki, Witold je spinał, waląc z hukiem w nadpsuty zszywacz, Janusz kleił w okładkach, Leszek robił grzbiety i przyklejał na wierzchu nalepki, a Anka z rozwianym włosom wydzierała mu z rąk każdy kolejny egzemplarz. Istne piekło! Pisałam cały czas i w chwili opracowania pierwszego budynku byłam dopiero w połowie opisu. Każdy następny miał kilka stron więcej, co było zupełnie pozbawione sensu, ale mieliśmy nadzieję, że śpieszący się orzecznik nie będzie tego dokładnie sprawdzał. Po trzech godzinach katorżniczej pracy oddaliśmy Ance ostatni budynek i odetchnęliśmy z ulgą. - Uff! - westchnął Janusz, ocierając sobie pot z czoła i rozmazując przy tym po twarzy smugę kleju. - Ale nam popędu dodała! Niech to szlag trafi! Wiesio postanowił kategorycznie nic już tego dnia nie robić. Zgodnie z tym postanowieniem nie drgnął nawet, kiedy wszedł Witek i zażądał od niego wyszukania matrycy urbanistyki skarpy w Płocku. Wydawszy owo polecenie Witek wyszedł, a Wiesio siedział dalej. - Bardzo dobrze wiem, gdzie ta matryca jest - powiedział z głębokim zadowoleniem. - On ją tam sam schował, a teraz zapomniał. Ale nie pójdę do niego od razu, niech myśli, że jej tak długo i z takim wysiłkiem szukam. Otumaniona wszystkimi kolejnymi rewelacjami, a potem szaleńczym waleniem w maszynę, również straciłam zapał do pracy. Spojrzałam na Wiesia i przypomniała mi się Jego tajemnica. Mój Boże, co on znów takiego mógł wymyślić i czy ja się



tego kiedyś dowiem? W gruncie rzeczy Wiesio był skryty... Witold, który nie lubił niepotrzebnie tracić czasu, wściekły na to obłudne opracowanie projektu, z obitą ręką, ze śmietnikiem na stole, postanowił iść do domu. Zebrał swoje rzeczy i znikł. Lekko myśląco spojrzałam w kąt za jego pustym stołem. Oczywiście, diabeł zmaterializował się natychmiast, jakże mogło być inaczej. Odwrócił krzesło Witolda, ustawiając je twarzą do mnie, wyjął zza ucha bardzo długiego papierosa, zapalił go, używając moich zapalek i usiadł wygodnie. Przypatrywałam mu się bardzo niechętnie i czekałam, co powie. Diabeł milczał. Nie zamierzałam się do niego pierwsza odzywać, bo byłam wściekła, a on najwyraźniej w świecie traktował mnie lekceważąco. Rozglądał się po pokoju, omijając mnie wzrokiem, aż wreszcie zatrzymał spojrzenie na Wiesiu. Wpatrywał się w niego i wpatrywał, a Wiesio siedział sobie beztrudnie, nie wiedząc wcale, że jest przedmiotem obserwacji złego ducha. Wreszcie nie wytrzymałam nerwowo. - Gdybyś był dobrze wychowany, tobys przynajmniej powiedział "dzień dobry" - oświadczyłam zgryźliwie. - Niby dlaczego? - zdziwił się diabeł, spoglądając wreszcie na mnie. - Przecież cały dzień cię widzę. Zamurowało mnie. Rzeczywiście, to bydlę mogło się przez cały czas koło mnie pętać, a ja bym o tym nic nie wiedziała. Okropna myśl! - Wczoraj też mi siedziałeś nad głową? - spytałam, tknięta niepokojem, kiedy już odzyskałam głos. - A coś ty myślała? Taką idiotkę mam zostawić samo-pas? - Nie powiesz chyba, że czepiałeś się mnie całe życie?! A jakoś sobie dawałam radę? - A rzeczywiście, znakomicie! I z jakim rezultatem! Dwoje dzieci, puszczona w trąbę przez męża i przez gacha, zapracowana jak wół roboczy... Tylko ci zazdrościć! jak sobie mogłaś ułożyć życie na atlasach, to co zrobiłaś? Szlachetna byłaś, co? Moralna? Bezinteresowna? Ech, ty oślico, żebyś wiedziała, że nic mnie tak nie denerwuje jak ta twoja szlachetność! Czekaj, jeszcze ci kością w gardle stanie! - Powieś się - mruknęłam gniewnie. - Po to tu przyszedłeś, żeby się ze mną głupio kłócić? O co ci chodzi? - O nic. Wracajmy do tematu. Czego nie wiesz?

- Właśnie - przypomniałam sobie natychmiast wszystkie wątpliwości, które narastały we mnie przez cały dzień. - Gdzie jest ten papier Jadwigi? - Powoli, powoli - powiedział diabeł, uśmiechając się złośliwie i wyraźnie rozkoszując swoją przewagą. - Zaraz do tego dojdziemy. Słusznie zauważyłaś, że zbrodniarz nie miał czasu szukać notesu Tadeusza. Bardzo słusznie, pod warunkiem, że był tam opisany; Ale jeżeli poszło o jakąś sprawę, której nieboszczyk nie zanotował?... To co? - No, jak to co? To wtedy notes w ogóle był niegroźny. - A jak ci się zdaje? Czy mógł się posunąć aż do morderstwa, jeżeli Tadeusz nie dysponował żadnym dowodem jego czynów? - Mógł - odparłam jadownicie. - Jeżeli ty się w to wtrąciłeś... - Nie wysilaj mi się tu na złośliwości, tylko myśl! Musiał mieć jakiś dowód czy nie? - No... musiał.

- I co się z tym dowodem stało?

- Idiotyczne pytanie. Skoro go milicja nie znalazła, to znaczy, że go zabrał.

- A przy okazji zabrał papier Jadwigi?

- Możliwe - odparłam i nagle coś mi błysnęło. - Czekaj no, czekaj... A może?...

Jak to, sądzisz, że jest możliwe... Że on się pomylił i zabrał papier Jadwigi, zamiast tego czegoś swojego?!... Diabeł wydmuchnął wielki kłęb dymu.

- Czasem to nawet można z tobą wytrzymać - przyznał. - Skup się jeszcze trochę i myśl: są dwie możliwości... Zatrzymał się wyczekująco i natychmiast wpadłam w jego słowa. - Jedna, że to Jadwiga. W takim razie, gdzie jest ten jej szpargał? Druga, że to ktoś inny, kto go zabrał przez pomyłkę. W takim razie, gdzie jest to coś tego kogoś? Ograniczasz się dziwnie - dodałam po chwili. - Jest jeszcze trzecia możliwość: że papier Jadwigi i to coś jest gdzieś razem. - Obojętne. Nie chodzi o ilość rzeczy, tylko, o miejsce. Za chwilę sama na to wpadniesz, nie jesteś tak przeraźliwie głupia, jak na to wyglądasz. Przedtem jeszcze proponowałbym ci pozastanawiać się troszkę nad kierownikiem pracowni. - Jak to? - zdziwiłam się. - Sam mówiłeś, że o nim za mało wiem. - Tym bardziej pomyśl. Przyda ci się.

W milczeniu patrzyłam na diabła. Dziwna w tej sytuacji lojalność zawodowa powstrzymywała mnie od mówienia. Nie wiadomo czemu wydawało mi się, że diabeł nie wie wszystkiego i chce się dowiedzieć ode mnie. Diabeł się zniecierpliwił. - No co tak siedzisz jak ofiara? Nie wiesz, co było z konkursem perskim? Zdasz sobie sprawę, co by dla niego znaczyło ujawnienie tego kantu? - Opamiętaj się -

powiedziała sucho. - Sugerujesz, że Witek go zabił, żeby się nie rozgłosiło? Przecież by raczej zabił mnie! - Co za kretynka z ciebie bez granic! - krzyknął diabeł chwytając się rękami za rogatą głowę. - A skąd Witek ma wiedzieć, że ty coś wiesz?! Najpierw stawałaś na głowie, żeby się żywa dusza nie dowiedziała o twoich kontaktach z tamtym facetem, a teraz sobie wyobrażasz, że cały świat jest o tym powiadomiony! Rzeczywiście, diabeł miał rację. Wiedziałałam o perskim konkursie tylko dzięki temu, że byłam w bardzo bliskich stosunkach z człowiekiem, który oficjalnie był moim dalekim znajomym. I to wiedziałałam bardzo niedokładnie, nie znałam szczegółów. - No dobrze, niech ci będzie. Ale weź pod uwagę wobec tego, jak mało osób miało o tym jakieś pojęcie. Skąd tu Tadeusz? Diabeł przyglądał mi się błyszczącymi oczami, jakby mnie chciał zahipnotyzować. Poczułam się odrobinę nieswojo i w głowie zaczęły mi się kłębić szczątki jakichś obrazów. - No? - powiedział zachęcająco. - No? Przypomnij sobie, przypomnij... Koło Nowego Roku... Co Matylda mówiła?... Diabeł znikł mi z oczu i ujrzałam na jego miejscu Matyldę, mówiącą z zakłopotaniem: - Doprawdy, paniJoanno,, chyba go ktoś wziął. Przed chwilą tu leżał. Ja się jeszcze zapytam i niech pani też zapyta. Nie wiem, czy to coś ważnego, bo bez nadawcy... Obraz Matyldy zamazał się i znów diabeł patrzył na mnie błyszczącymi oczami. - Święci patroni! - powiedziałałam wstrząśnięta. - Masz rację, zaginął wtedy jakiś list do mnie! Czyżby?... Diabeł się lekko wzdygnął.

- Mogłabyś się powstrzymać od tych idiotycznych inwokacji. Właśnie, skąd wiesz, co to był za list i kto go zabrał? A jeżeli to był list od tamtego i wszystko tam było opisane?... - Pozwól mi chwilę pomyśleć, bo jestem zbulwersowana. Nie, no co ty mówisz! Tadeusz był przytomny facet, niemożliwe, żeby mnie nim nie zaczął szantażować, gdyby się dowiedział!... - Po pierwsze, z ciebie miał dosyć korzyści przez ORS. A po drugie list był bez nadawcy, a on, jak się podpisywał? - Nieczytelnym gryzmołem... - To kogo można było tym szantażować, zakładając, że opisał tam sprawę perskiego konkursu? - Masz rację, tylko Witka...

- Uff! Diabeł odetchnął głęboko, przechylił się do tyłu na oparcie krzesła, wyciągnął z za drugiego ucha jeszcze dłuższego papierosa i zapalił. - A więc, zreasumuj... - powiedział puszczając misterne kółko. - Dobrze. Jeżeli to był list do mnie od niego i jeżeli Tadeusz go zabrał, to wiedział o perskim konkursie i Witek miał najpoważniejszy powód, żeby go usunąć ze świata. Możliwości też miał. Należałoby sprawdzić, czy te przypuszczenia są słuszne, napisać do faceta i spytać. Co, jak wiesz, jest niemożliwe, bo nie mam zielonego pojęcia, gdzie ów osobnik przebywa. - Bardzo dobrze. Na szczęście do tego śledztwa jest jeszcze milicja, nie tylko ty. Milicja znalazła coś ciekawego w waszym wychodku... - Właśnie! Co?!

- Dowiesz się w swoim czasie. Milicja przeprowadza ekspertyzę klucza. - Czekaj no, czekaj! Dlaczego mówiłeś, że o kluczu wiem tylko ja i morderca? - Bo tak jest. Przekonasz się. To znaczy, tak było, teraz już byłaś uprzejma wtajemniczyć w to prokuratora... Nie przeczę, że ten klucz dużo wyjaśni. Czekaj, nie przerywaj mi, a propos prokuratora... - Nie zmieniaj tematu, bo mi pomieszasz w głowie!

- Nie ma obawy, nie zdołam bardziej, niż już masz pomieszane. No co, nie miałem racji z prokuratorem? Z uczuciami, które mnie przepełniały niejako warstwami, zrobiło się nagle coś takiego, jakby ktoś przewrócił naczynie do góry nogami. Na wierzchu znalazły się jasne oczy i piękna, asymetryczna twarz. - Ale z przepisami prawnymi nawet ty nie dasz sobie rady - powiedziałałam wbrew sobie z satysfakcją. - Dobrze wiesz, że nie może mnie poderwać przed zakończeniem śledztwa. - W duchy wierzysz - oświadczył diabeł pogardliwie. Milczał chwilę, przyglądając mi się drwiąco. - No to wracamy do tematu - zażądał, dokonując tym na nowo przewrotu mojego wnętrza. - Sama widzisz, że sprawa ma dużo stron i taka bardzo jasna nie jest. A ty ją zaciemniasz jeszcze więcej - powiedziałałam zniecierpliwiona. - Najpierw upierałaś się przy Zbyszku, potem przy Monice, potem wyszła na jaw Jadwiga, a teraz wrabiasz Witka. Zdecyduj się na coś! - Jeszcze czego. Ja ci podsuwam myśli, a ty sobie sama wyciągasz wnioski. Nie mam co robić, tylko pracować za ciebie! No, teraz się możesz zastanowić, gdzie są te brakujące rzeczy. - Albo spłynęły kolektorem do Wisły, jeżeli je zabrał morderca - powiedziałałam, zamyślając się - albo zostały gdzieś ukryte przez Tadeusza. Wiesz - dodałam, patrząc bystro na diabła - że nawet to drugie bardziej mi się

podoba. Trudno przecież przypuszczać, że jedyne materiały, jakimi dysponował, były zawarte w notesie. To były tylko podręczne notatki, zasadnicze rzeczy powinien trzymać gdzie indziej, zrećcznie ukryte. Diabeł uczynił coś w rodzaju ukłonu.

- Moje uznanie - powiedział. - Zaczynam naprawdę wierzyć, że do czegoś dojdiesz. Gdzie? - A ty wiesz, gdzie?

- No pewnie, że wiem! Jazda, myśl!

- W domu?... - powiedziała niepewnie.

- A gdzie jeszcze mógłby?...

- W pracowni nie. Przewrócili ją do góry nogami. Skrytka pocztowa? Nonsens! Musiałby mieć klucz i chyba jakieś zaświadczenie. Zresztą niech milicja sprawdza... U jakiejś rodziny? Wątpię... Nie, chyba tylko w domu. - A jak w domu, to gdzie?

- Przecież nie pod poduszką! Czy ja wiem, w różnych miejscach. Jeżeli się liczył z możliwością rewizji.. Albo włamaniem którejś z ofiar... To musiał to dobrze schować. Przed żoną chyba też. I przed dzieckiem. Gdzie schować?...

- Pomogę ci - powiedział diabeł miłosiernie. - Głupia jesteś taka, że przykro patrzeć. Czym był Tadeusz z zawodu? - Instalatorem sanitarnym...

- No? Nic ci to nie mówi?...

- W urządzeniach sanitarnych? - spytałam z powątpiewaniem. - Kto wie? Może i masz rację?... Diabeł pochylił się nieco i znów wpatrzył się we mnie hipnotycznie. - Skup się - rozkazał. - Skup się! I patrz!...

Zaciągnął się niedopałkiem papierosa i wypuścił wielki kłęb dymu. Dym, gęsty i ciemny, zasłonił go, kotłował się chwilę, aż przybrał postać najzwyklejszego w świecie zlewozmywaka, przytwierdzonego do ściany. Obejrzałam zlewozmywak dokładnie, przykucnąłam i odkręcałam syfon pod spodem. Wyleciało nieco brudnej wody i nic więcej. Znajdowałam się w mieszkaniu nieboszczyka Tadeusza Stolarka. W kuchni poza zlewozmywakiem nie było nic interesującego, przeszłam więc do łazienki. Odkręcałam syfon pod umywalnią. Nic, jeżeli nie liczyć jednej małej spinki od mankietu. Położyłam spinkę na pralce, zajrzałam przy okazji do wnętrza pralki, obejrzałam dokładnie wannę. Wanna była obmurowana i wyłożona glazurą. Nic, żadnej skrytki. Wlazłam na wannę i zajrzałam do rezerwuaru. Również nic. Zamyśliłam się, stojąc na środku łazienki. Żona Tadeusza była niewątpliwie idealną gospodynią, bo wszystko lśniło czystością. Zachęcona tą czystością zaczęłam oglądać miskę klozetową, bez przekonania usiłując pokręcić wszystkim, cokolwiek wystawało. Z góry wiedziałam, że jeżeli to urządzenie ma prawidłowo działać, to nic tam nie powinno się ruszać. Ale miska klozetowa też musi mieć syfon... Tak, tylko że tędy przepływa woda... Zajrzałam od tyłu, ujęłam klapkę, przykręconą poniżej wlotu rury wodociągowej i o dziwo! Klapka ruszyła się! Zdziwiło mnie to niesłychanie. Jak to, przecież to powinno być wbite na mur! Pokręcałam klapką dalej, aż cała wyszła z gwintu, pomacałam trochę i wyczułam pod palcami okrągłe metalowe pudełko. Jako żywo niczego takiego nie umieszcza się w żadnym przewodzie! Przejęta do nieprzytomności z trudem wyciągnęłam pudełko, w którym niegdyś było kakao, i stwierdziłam, że za pudełkiem był uszczelniający pakunek. Tak, to była skrytka Tadeusza! I w tym samym momencie zamarłam, siedząc w kucki pod miską klozetową, bo nagle dobiegł mnie dźwięk, który zmroził mi krew w żyłach! Ktoś grzebał kluczem w zamku... -Sama nie wiedząc kiedy, wbiłam z powrotem pudełko do skrytki, wepchnęłam dekielek i wyprysnęłam z łazienki. Byłam sama w pustym mieszkaniu nieboszczyka Tadeusza, pora, sądząc po słońcu, była przedpołudniowa, żona w pracy, dziecko w szkole, Tadeusz w kostnicy, a drzwi usiłował otworzyć morderca, który przyszedł po dowody swojej zbrodni... Co do tego, że to morderca, nie miałam najmniejszych wątpliwości. Co najdziwniejsze, mniej interesowała mnie możliwość postradania życia w tych dramatycznych okolicznościach, niż nadzieja przekonania się wreszcie, kto to jest! Półprzytomna z wrażenia, od stóp do głów przepełniona ciekawością, schowałam się w przedpokoju pod niską ławą, zasłonięta jakąś dekoracyjną szmatą, na skutek ciasnoty przyjąwszy pozycję bardzo niekorzystną, a mianowicie tyłem do drzwi wejściowych, a przodem do łazienki. Morderca wszedł i nie zadając sobie trudu szukania gdziekolwiek indziej udał się wprost do owej miski klozetowej. Drzwi od łazienki zostawił otwarte i wyraźnie widziałam, jak przykucnął w tej samej pozycji co ja przed chwilą, jak wyciągnął owo pudełko...

Jeszcze chwila, a wyprostuje się i odwróci... - Joanna!!! - wrzasnęło mi coś przeraźliwie nad uchem. Skoczyłam na równe nogi. Wrażenie było okropne! Przez długą chwilę nie mogłam oprzytomnieć wpatrując się wybałuszonymi oczami w stojącą obok Alicję. Alicja zdziwiła się nieco: - Co ci się stało? Czego mi się przyglądasz, tak się ostatnio zmieniłam? Nie idziesz do domu? - Na litość boską - powiedziałam, ochłonawszy z pierwszego szoku. - Jak mogłaś!... - A co? - zacięła się Alicja. - Robiłaś coś ważnego? Wydawało mi się, że nic nie robisz. - Odkrywałam mordercę. Jeszcze sekunda, a już bym wiedziała, kto to jest. Krzyknęłaś dokładnie w chwili, kiedy miał się odwrócić do mnie przodem! - Krzyczałam przedtem kilkakrotnie, tyle że nieco ciszej, zaczęłam się już obawiać, że ogłuchłaś. A przedtem był odwrócony tyłem? - Nawet, można powiedzieć, wypięty... W tej pozycji nie sposób poznać. - Okazywał ci lekceważenie? - spytała Alicja z zainteresowaniem.

- Nie, grzebał w urządzeniach sanitarnych nieboszczyka. Przeżyłam wstrząsające chwile. Idę do domu, oczywiście. Czekaaj, zaraz się spakuję. Alicja była wyraźnie zacięta moimi wizjami, które streściłam jej pokrótce, zbierając swoje rzeczy. - Jak to, nie poznałaś nawet, czy to kobieta, czy mężczyzna? - spytała z naganą. Zaskoczyła mnie tym pytaniem, bo uprzytomniłam sobie, że istotnie nie mogłam przysiąc. Morderca miał na sobie coś w rodzaju bardzo obszernego, niebieskiego kombinezonu. W śledczym zapale i w przekonaniu, że za chwilę zobaczę jego twarz, nie zwróciłam na to dostatecznej uwagi. Opuściliśmy biuro, dojechałyśmy na Mokotów taksówką, po czym doszłyśmy do wniosku, że właściwie nigdzie nam się nie śpieszy. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby iść na kawę i kontynuować przerwane przez Wiesia śledcze rozważania. Od wczoraj wzbogaciłam się o mnóstwo wiadomości, wśród których, wbrew sugestiom diabła, najbardziej wybijały się te, dotyczące Wiesia. Zwierzyłam się z tego Alicji, która wysłuchiwała mnie bez zdziwienia.

- Ja znam Wiesia tajemnicę - powiedziała beztrząsco

- Co?!

- Znam, przypadkiem. Oczywiście, nie powiesz nikomu?

- No wiesz! Za kogo mnie masz?!

- Wiesio ma dziecko...

Przez chwilę miałam wrażenie, że któraś z nas zwariowała. Wiesio ma dziecko?! Co to znaczy?! - Sam urodził? - spytałam w osłupieniu.

- Oszalałaś! Hania... wiesz, która Hania? Ta moja przyjaciółka, która nic nie robi. Mieszka drzwiami w drzwiach z tajemnicą Wiesia. Już dawno mi opowiadała, że poznała dziewczynę, która mieszka naprzeciwko, ta dziewczyna ma dziecko, ojciec dziecka jest żonaty i odwiedza ją w tajemnicy. To jest trochę nietypowa historia, bo chodził z nią jeszcze przed ślubem... Alicja zatrzymała się i zamyśliła.

- Chodził... Czy to rzeczywiście można nazwać chodzeniem? - Na litość boską, nazwij, jak chcesz, tylko mów, co dalej!

- Dalej z nią zerwał, ożenił się, tymczasem ona urodziła to dziecko, o czym mu wcześniej nie mówiła ze względów honorowych i teraz on przez to dziecko utrzymuje z nią kontakty. To właśnie Wiesio. - Skąd wiesz? Hania go zna?

- Nie, ja go znam. Widziałam go tam przypadkiem, Hania mi go pokazała palcem i powiedziała, że to właśnie ten.

- Co ty powiesz! Wstrząsające!...

Długą chwilę siedziałam, myśląc bardzo intensywnie i w nieprzeciętnym tempie. No tak, to nic dziwnego, że Wiesiowi brakuje pieniędzy. Ale to przecież nie jest powód do morderstwa, posiadania dziecka żadne przepisy nie zabraniają. Wprawdzie Wiesio ma żonę, ale chyba raczej wolałby przyznać się do tego żonie... Alicja mówiła dalej. Hania, zainteresowana dziewczyną z przeciwka, uzyskała od niej wszelkie możliwe wiadomości. Ojciec dziecka wzenił się w bardzo bogatą rodzinę, jego żona studiuje, dzięki pomocy teściów on może robić magisterski, nie troszcząc się o premię w biurze, potem mu obiecują zaproszenie do Francji albo do Stanów Zjednoczonych... Bardzo surowa, moralna rodzina z zasadami... Wiadomość o posiadaniu przez młodego zięcia dziecka zmieniłaby sytuację diametralnie... Nie, to niemożliwe, żeby Wiesio dla parszywych pieniędzy miał się tak wygłupić! Żona by mu na pewno przebaczyła... Ale wychodził na balkon, a klucz był w wazonie

- Ja mam tego dość - oświadczyłam stanowczo - Uszami mi ta cała zbrodnia wychodzi i przestaję się nią tresować. Niech się dzieje, co chce, Alicja, zmieńmy - A właśnie - powiedziała z zainteresowaniem Alicja - A co z tym Prokuratorem? Ty go podrywasz czy on ciebie? Ładny chłopak, podoba mi się, tylko dla mnie za sztywny.

- Dla mnie nie - mruknęłam trochę niechętnie bo nie byłam pewna, czy ten temat nie jest przypadkiem jeszcze gorszy niż poprzedni. - Nie wiem, kto tu kogo podrywa, myślę, że najwięcej do powiedzenia ma diabeł Jeżeli zadzwoni i dzisiaj pod służbowym pretekstem, to będzie znaczyło, że jednak jestem podrywana... Następnego dnia od rana panował w pracowni dziwny spokój. Prokurator poprzedniego wieczoru zadzwonił spędziłam upojne chwile tym razem w Bristolu byłam mocno śpiąca i dlatego nie zwracałam uwagi na atmosferę. Gdybym była przytomniejsza, wiedziałabym od razu że ten spokój nie wróży nic dobrego. Matylda wezwała mnie do gabinetu Witka, który zażądał przyniesienia programu usług w mieszkalnym wieżowcu. Równocześnie do gabinetu zajrzał kapitan więc odpowiadając na jego powitanie, przeszłam przez salę konferencyjną, po czym wróciłam z programem znów obok Matyldy. Zdziwiło mnie nieco, że mój widok zrobił na niej jakieś niezwykle wrażenie. Wyraźnie się przestraszyła i patrzyła na mnie, mrugając oczami, jakby czymś gwałtownie zaskoczona. Nie chciało mi się pytać, dlaczego ją tak zdumiewam, oddałam Witkowi program i wróciłam do pokoju. Rozkoszny spokój trwał do południa. Wydarzenia, które potem zaszły, zlikwidowały go radykalnie. Zaczęło się od tego, że do naszego pokoju wpadli nagle kapitan, prokurator i porucznik i wszyscy trzej rzucili się na obraz Leszka, ciągle stojący pod ścianą. Nie mogliśmy pojąć, dlaczego oglądane przez nich od kilku już dni arcydzieło wzbudziło teraz nagle takie zainteresowanie. Przyglądaliśmy się im, a oni z szaloną uwagą oglądali oblicze owej megieri, niemal jeżdżąc po nim nosami. Wreszcie wyprostowali się i spojrzeli na siebie. - Rzeczywiście - powiedział z podziwem kapitan do prokuratora.-Moje uznanie... Patrzyliśmy na nich z coraz większym zaciekawieniem, wietrząc sensację. - Czy można wiedzieć, czym pan to malował? - zwrócił się uprzejmie prokurator do Leszka. - Plakatówka - odparł Leszek zgodnie z prawdą. - To wzbronione? - dodał pośpiesznie z niepokojem. - Wszystko pan malował plakatówka? To też?... Leszek spojrział na obraz, następnie wstał z krzesła i przyjrzał się z bliska miejscu, w które stukał palcem przedstawiciel władzy. Oderwał się od obrazu i popatrzył z nieopisanym zdumieniem najpierw na nich, a potem na nas.

-~ Co to? - spytał nieinteligentnie.

- To my właśnie pana o to pytamy.

- To nie jest plakatówka - stwierdził Leszek ciągle tonem głębokiego zdumienia.

- Tylko co?! Pytanie padło bardzo ostro i Leszek wyraźnie się przestraszył. - Jak Boga kocham, nie wiem! Ja malowałem plakatówka!

- Może państwo zechcą stwierdzić, co to jest i kto to malował? Tego tylko było potrzeba, żebyśmy wyprysnęli z miejsc i dopadli obrazu, bo już i tak siedzieliśmy jak na szpilkach., Od pierwszego spojrzenia wiedziałam, o co chodzi, i przypomniałam sobie tworzywo, które uzupełniło dzieło Leszka. Usta maskary pociągnięte były grubo jaskrawą, cynobrową szminką. Wiesio odsunął się od obrazu i zaczął chichotać. - To przecież szminka - powiedział Witold, zdumiony nie mniej niż Leszek. - Właśnie. Kto to malował?

- Ja - wyznał Wiesio, usiłując odzyskać powagę. Natychmiast stał się centralnym punktem zainteresowania. Leszek patrzył na niego z głębokim niesmakiem. Istotnie, zaraz po wyjściu opętanego chandrá autora Wiesio wykończył jego twór, uzupełniając maquillage damy, wyobrażonej na płycie pilśniowej, przy pełnej aprobacie Janusza i mojej. Zdziwiło nas, że Leszek dotychczas tego nie spostrzegł, bo jaskrawy cynober gryzł się okropnie z resztą barw. Nie pojmując niezwykłego zainteresowania władz śledczych problemami kolorystyki, czekaliśmy z zaciekawieniem, co będzie dalej. - Czym pan to malował? - spytał kapitan Wiesia dziwnie łagodnie. - Właśnie szminką.

- Ale pan chyba nie używa szminki - powiedział uprzejmie prokurator. - Skąd pan ją miał? - Od Joanny...

Gdyby Wiesio wystrzelił nagle z armaty, nie wywołałby większego efektu. Trzej panowie, jak piorunem rażeni, odwrócili się do mnie i zastygli w milczeniu, przyglądając mi się z nieopisanym zaskoczeniem. Nie mogłam tego w żaden sposób

zrozumieć, bo ostatecznie, fakt posiadania przez kobietę szminki, choćby nawet cynobrowej nie jest na ogół niczym szczególnym. - Czy to prawda? - spytał cicho prokurator. Przez krótką chwilę mignęło w jego oczach coś, jakby wyrzut. - Oczywiście - odparłam, zdziwiona. - Pożyczyłam ją Wiesiowi specjalnie w tym celu. To jest wprawdzie bardzo dobra, francuska szminka, ale ma głupi kolor, więc nie było mi jej żal. Bardzo rzadko jej używam. - Czy może nam pani ją pokazać?

- Ależ proszę uprzejmie...

Zabrali szminkę i wyszli, pozostawiając nas w stanie osłupienia. Popatrzyliśmy na siebie nic nie rozumiejąc. - O co chodzi? - spytał Janusz. - Przyznajcie się, co wyście namotali z tą szminką? - Głupie pomysły zawsze się mszczą - powiedział Leszek z satysfakcją. Witold pokręcił głową w zamyśleniu, wracając na swoje miejsce.

- Oj, coś mi się to nie podoba - mruknął. - Zdaje się, że oni na coś wpadli... W chwilę potem zostałam wezwana do sali konferencyjnej. Trzej panowie siedzieli dookoła stołu, a atmosfera była pełna potępienia. - Może nam pani powie, co to jest? - spytali wskazując przedmiot, leżący na stole. Przedmiot był najwyraźniej w świetle dużą, męską, chustką do nosa w biało-niebieską kratkę. Chustką przestępcy!... - O ile mnie wzrok nie myli, to jest chustka do nosa - powiedziałam ostrożnie. - Czyja? - Nie wiem. Pierwszy raz to widzę na oczy. Ale przypuszczam, że to jest właśnie ta chustka, której panowie szukali. Po mojej życzliwej uwadze na krótki moment zapanowało niezyczliwe milczenie. Po chwili padło następne pytanie: - Kiedy pani ostatni raz używała tej swojej szminki?

- Nie pamiętam, ale chyba bardzo dawno temu. Prawdopodobnie wczesną wiosną, jak miałam na sobie taką rudą bluzkę, bo to jest jedyny strój, do którego ta szminka pasuje. - A przypadkiem nie trzy dni temu?

- Wykluczone! Tę bluzkę noszę tylko, jak jest zimno. A nie oszalałam jeszcze do tego stopnia, żeby się tak głupio malować. - Pani tu zostanie. Proszę usiąść tam...

Coraz bardziej zaintrygowana i nieco zaniepokojona posłusznie usiadłam na wskazanym miejscu. Prokurator wyraźnie unikał mojego spojrzenia. Do sali konferencyjnej wezwano Alicję, co mnie szalenie ucieszyło, bo nareszcie mogłam być świadkiem cudzych wypowiedzi przy przesłuchaniu. Alicja weszła, spojrzała na mnie bez zdziwienia i usiadła, czekając na pytanie. Chustkę przed nią schowano. Prokurator poprowadził konwersację na tematy kosmetyczne. Pokazał Alicji szminkę i spytał, do kogo należy. Alicja obejrzała szminkę, pomazała się nią po ręce i zamyśliła się. - Bo ja wiem? Idiotyczny kolor... Anka się tak maluje, ale ona ma chyba trochę jaśniejszą. Monika wykluczona. Może Joanny? - spojrzała na mnie niepewnie. - Kiedy pani Joanna była tym umalowana ostatni raz?

- Przedostatni - poprawiła Alicja. - Ostatni jest przed samą śmiercią. Nie pamiętam, nie zwracam uwagi na głupstwa. - Może tydzień temu?

- Może... - zgodziła się Alicja, a mnie zimny dreszcz przeleciał po krzyżu. - A może miesiąc temu?

- Możliwe - odparła Alicja równie zgodnie,

- A może rok - w głosie prokuratora zabrzmiał jakiś podejrzenie uprzejmy ton. - Też możliwe. Nie wiem, nie rozróżniam. Ja nie mam poczucia czasu. - Alicja skupiła się, na miłosierdzie pańskie! - jęknęłam ze swojego kąta, ogarniana coraz większym niepokojem. - Proszę się nie odzywać! - krzyknął ostro kapitan. Alicja spojrzała na mnie. - Ach, zależy ci na tym?...

- Niech pani spróbuje sobie koniecznie przypomnieć. To bardzo ważne - powiedział równocześnie prokurator, całkowicie ignorując moje istnienie. Alicja utkwiała wzrok w ścianie i zaczęła wyęczać pamięć. - Już wiem! - zawołała nagle. - To mi się kojarzy... Ona tego chyba używała w większej masie. Kapitan popatrzył na nią okropnym wzrokiem, ale prokurator nie stracił cierpliwości. - Co to znaczy w większej masie? Cała była tym wymalowana? - Nie, cała była ubrana w taki kolor. Tak, z pewnością. Z każdą inną odzieżą to by się fatalnie gryzło, a nie zauważyłam, żeby się na niej kiedykolwiek kolory gryzły. Przeniknęła mnie głęboka wdzięczność dla Alicji zarówno za potwierdzenie prawdziwości moich słów, jak i za ten komplement. - No to niech pani sobie jeszcze przypomni, kiedy to

mogło być. - Myślę, że-jakoś dawno temu. Chyba to było coś zimowego. -  
Dziękujemy pani...

Następna była Anka, która się kategorycznie wyparła jakichkolwiek związków z moją szminką na dowód pokazując swoją, istotnie jaśniejszą. Monika sprawdziła efekt na dłoni z najwyższym wstrętem. Wszystkie kobiety pracowni, kolejno pytane, wykazały całkowity brak pamięci w sprawie mojego maquillageu. Wypuściwszy ostatnią, panowie przesłuchujący odpoczywali jakiś czas w milczeniu. Potem prokurator nagłym ruchem wyjął z szuflady chustkę i rozwinął ją w całej okazałości.

- Wobec tego może nam pani powie, skąd się na tej chustce wzięło to! W ciągu ułamka sekundy przestało mi się chcieć spać i przestałam być głupio i niewinnie zaciekawiona. Na biało-niebieskiej kratce wyraźnie odcinały się ślady mojej własnej, cynobrowej szminki! Siedziałam jak słup soli, wpatrzona w przekłętą chustkę, i czułam, jak mi się robi równocześnie zimno i gorąco, bo nagle odzyskałam pamięć. Wiedziałam, skąd się tam wzięły te ślady i, co najgorsze, wiedziałam także, kto jest mordercą!... Mogłam to oczywiście powiedzieć. Mogłam się też wyprzeć i nadal twierdzić, że nic nie pamiętam, mogłam zrobić móstwo rzeczy! Ale zgłupiałam do tego stopnia, że nie przyszło mi do głowy nic innego, jak tylko to, że raczej się udławię, niż powiem prawdę! Milczałam tak długo, aż stało się wyraźnie widoczne, że pozostawiona samej sobie będę milczeć do skończenia świata. Prokurator zimnym, oficjalnym tonem powtórzył pytanie: - Skąd się na tej chustce wzięły ślady pani szminki?

- Nie powiem - odparłam nieoczekiwanie dla samej siebie.

- Co takiego?!

- Nie powiem - powtórzyłam z uporem.

- Jak to pani nie powie? Już pani sobie przypomina?!...

- Przypominam sobie. I oświadczam panom, że więcej nie powiem.

- Dlaczego?!

- Bo nie! Odmawiam zeznań! Na twarzach przedstawicieli prawa odmalowała się konsternacja i wyraźne zaskoczenie. Spojrzeli na mnie i na siebie.

- Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że stawia się pani w dziwnym świetle? To jest pani szminka, pani jest podejrzana! - Niech sobie będę! Wszystko mi jedno, nie powiem!

- Pani zostanie zatrzymana.

- Możecie mnie nawet zakuć w kajdany. Nie powiem wcześniej niż stojąc przed sądem, oskarżona o morderstwo! Kapitan i prokurator wyglądali tak, jakby miał ich za chwilę szlag trafić. Porucznik patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami. Prawdę mówiąc nie byłam tym zbytnio zdziwiona. Chyba ostatnią rzeczą, jakiej się mogli spodziewać, było to, że ja, nieskalanie niewinna, posiadająca żelazne alibi, deklarująca im swoją pomoc, okażę się nagle tak dokładnie wmieszana w to zabójstwo. I to jeszcze po tych dwóch wieczorach z prokuratorem!... Siedziałam zacięta, zrozpaczona, wściekła, usiłując wymyślić jakieś wyjście. Gdybyż mnie chociaż na chwilę wypuścili z tej cholernej sali! Wiedziałam, kto jest mordercą, i okropnie mi się to nie podobało, ponieważ to była właśnie ta sama osoba, która sobie na początku idiotycznie wyobraziłam! To niemożliwe, żeby się do tego stopnia wszystko zgodziło, to złośliwość, to świństwo!... Co oni teraz robią? Władze śledcze odzyskały panowanie nad sobą. Powoli, ostrożnie, dyplomatycznie zaczęli mnie namawiać do zwierzeń. Tłumaczyli, prosili, ostrzegali, prokurator patrzył na mnie z wyrzutem i rozgorycczeniem - wszystko na nic! Zaparłam się. Miałam swoje powody... Wreszcie machnęli na mnie ręką i zaczęli znowu wzywać personel płci żeńskiej. Personel płci męskiej był tu po pierwsze niekompetentny, a po drugie zdekompletowany, bowiem Witek, Zbyszek, Ryszard, Stefan, Kacper i Włodek już wcześniej pojechali na KOPI. Znów na pierwszy ogień poszła Alicja. Alicja wiedziała. Siedziałam w swoim kącie w okropnym napięciu i wpatrywałam się w nią dzikim wzrokiem, nie odzywając się ani jednym słowem. Alicja obejrzała chustkę ze szminką. Oglądała ją długo, wytrwale i w milczeniu, co było dla mnie dobitnym znakiem, że sobie doskonale przypominała pochodzenie śladów. Potem podniosła głowę i popatrzyła na mnie. Nie wiem, co ujrzała w moim obliczu, ale myślę, że wymiana spojrzeń wystarczyła nam obu. Nic mnie nie obchodziło, co sobie pomyśla o tym władze śledcze. - Nie wiem - powiedziała stanowczo po długiej chwili milczenia. - Nie mam pojęcia. Oczywiście, wcale jej nie

uwierzyli, ale niewątpliwie utwierdziło ich to w przekonaniu o mojej winie. - A czy nie sądzi pani - powiedział uprzejmie kapitan - że to właścicielka szminki wycierała się tą chustką? - Nie wiem. Równie dobrze mogę przypuszczać, że pisała szminką wiersze na szybach, a potem je ścierała. Nie wiem. Tu jest podobno śledztwo i ważne są fakty, a nie przypuszczenia. Anka i Monika były niegroźne. Nie wiedziały, nie było ich wtedy. Potem do sali konferencyjnej weszła Wiesia. Słabo mi się zrobiło na jej widok, bo nie miałam żadnych wątpliwości, że Wiesia powie, powie z największą radością i satysfakcją, jeżeli tylko sobie przypomni. Nie daj Boże, żeby sobie przypomniała!...

- No jak to - powiedziała Wiesia godnie i jadowicie.

- Przecież to Jadwiga...

Panowie przesłuchujący rzucili się na nią jak sępy na padlinę. Wiesia obrażonym tonem udzielała wyczerpujących wyjaśnień, a ja nie mogłam udusić jej wzrokiem. To było w przeddzień śmierci Tadeusza. Jadwiga przysłała do mnie i zażądała pożyczania jej wszystkich szminek, jakie miałam, bo chciała sprawdzić, w jakim kolorze najbardziej jej do twarzy. Poza jedną, której efekt był jej już znany, miałam tylko to cynobrowe, francuskie świństwo. Jadwiga wymalowała się na grubo i oglądała się w lustrze.

Były przy tym jeszcze Alicja i Wiesia. Wiesia przyjrzała się Jadwidze z nienawiścią w oczach.

- Zetrzyjże to, bo wyglądasz jak maskara - powiedziała, pełna obrzydzenia. Istotnie, kolorek Jadwidze urody nie dodawał. Wyciągnęła z torebki wielką, biało-niebieską chustkę i starannie wytarła grube pokłady kosmetyku.

A teraz ta chustka leżała tu, na stole, i służyła jako dowód popełnienia przestępstwa. Wiesia okazywała olśniewającą pamięć. Chyba nic już nie mogło uratować Jadwigi, która miała potężny motyw, pełnię możliwości, twardy charakter i która na wszystkie świętości błagała mnie o pomoc, przysięgając, że jest niewinna!... A dla ukoronowania wszystkiego od samego początku wymyśliłam, że to właśnie ona jest zabójcą Tadeusza! Wymyśliłam to dlatego, że w jej przypadku zachodziły największe okoliczności łagodzące... Siedziałam w kącie, przeklinając w duchu okropnymi słowy siebie, Wiesię, Jadwigę, nieboszczyka, kapitana, prokuratora i w ogóle cały świat. Całą duszą chciałam, żeby się coś stało, żeby się okazało, że to jednak nieprawda, że wbrew wszystkiemu, to nie Jadwiga! Usadziwszy Wiesię w drugim kącie, wezwali Jadwigę. Chustka ze śladami, szeroko rozłożona, leżała na stole. Jadwiga weszła, spojrzała na dowód rzeczowy, potem na mnie, a potem na Wiesię. Potem znów na chustkę i znów na mnie. - Źle zrobiłam - powiedziała spokojnie. - Powinnam była powiedzieć pani wszystko. Teraz pani wierzy, że to ja, a ja wierzę, że tylko pani może mnie uratować. - Cholera ciężka - powiedziałam, dając upust uczuciom, bo miałam obawy, że się w końcu z tego wszystkiego uduszę. Kapitan okazał mi dezaprobatę i zwrócił się do Jadwigi. - Proszę się powstrzymać od tych konwersacji z postronnymi osobami i odpowiadać na nasze pytania. Czy przyznaje pani, że ta chustka należy do pani? - Pewnie, że przyznaję, a co mam robić. Głowę daję, że to ta jaszczurka wszystko wyklepała - odparła Jadwiga, czyniąc pogardliwy gest brodą w kierunku Wiesi. Wiesia wydała jakiś nieartykułowany okrzyk, ale nie zdążyła zareagować żywiej, bo kapitan natychmiast odwrócił się do niej. - Dziękujemy pani - powiedział tak stanowczo, że śmiertelnie urażona Wiesia podniosła się i wyszła. Jadwiga siedziała, beznadziejnie patrząc na chustkę. - Tą chustką został wytarty dziurkacz, którym uderzono denata w głowę - powiedział kapitan. - Stwierdziliśmy to ponad wszelką wątpliwość. Czy przyznaje się pani... - Nic z tego - przerwała mu Jadwiga stanowczo. - Ta chustka zginęła mi tego dnia, kiedy była zbrodnia. Ja go nie udusiłam, ale zaraz wszystko wyjaśnię. Pani Joanno, daję pani słowo honoru, że powiem prawdę! Byłam całkowicie zdecydowana uwierzyć jej, cokolwiek miała powiedzieć. Kapitan chciał mnie wyrzucić z sali, ale Jadwiga stanowczo zaprotestowała, domagając się mojej obecności i kategorycznie zapowiadając, że beze mnie nie powie ani słowa. Tamci byli widocznie już tak zmęczeni i skołowani, że pogodzili się z jej żądaniem. Jadwiga zaczęła opowiadać. Uczciwie opisała swoje machlojki, dotyczące byłego męża, udział w tej sprawie Tadeusza, następnie streściła kombinacje ze szminką i przeszła do dnia przestępstwa. - Już nie miałam do niego siły - mówiła. - Chciałam go namówić, żeby się przestał wygłupiać, żeby poczekał, aż wyciągnę z tamtego drania pieniądze, to mu wtedy



zapłacę. Nawet bym mu dała te pięć tysięcy dla świętego spokoju. Cholernie się bałam, że on z tym papierem gdzieś polecą i wszystko mi zepsuje. Chciałam się z nim rozmówić i to ja właśnie zadzwoniłam do niego, żeby przyszedł do sali konferencyjnej... - Dlaczego pani tego od razu nie powiedziała?

- A co pan myśli, że mam źle w głowie? Przecież by od razu na mnie padły wszystkie podejrzenia. Miałam nadzieję, że znajdziecie tego mordercę, zanim się to wykryje, i nikt się mnie nie będzie czepiał. - Proszę dalej. Zadzwoniła pani i co?

- I przyszedł oczywiście, bo myślał, że mu dam pieniądze. Wieśki nie było w przedpokoju, nikt mnie nie widział. Co ja się tego bydlaka naprosiłam, nablagałam!... A on się śmiał. Spłakałam się jak głupia i wycierałam się tą chustką. Aż mi w końcu zabrakło cierpliwości, powiedziałam, że go Pan Bóg skarże, zabrałam się i poszłam. A on tu został i widać ta chustka też została, bo potem jej już nie miałam. Poszłam od razu do umywalni, bo wyglądałam jak maskara, umyłam się i wytarłam ręcznikiem, a o chustce przypominałam sobie dopiero, jak zaczęliście szukać... - Skąd pani wzięła dziurkacz?

- Co?... Znikąd nie wzięłam, nie miałam dziurkacza. Dziurkacz stał na moim stole w przedpokoju. Jak wróciłam, to już go pewnie nie było, ale nie zwracałam uwagi, bo byłam okropnie zdenerwowana. - W co pani była ubrana?

- W fartuch, jak zawsze. Ale bez paska, paska już dawno nie miałam, gdzieś mi zginął... Byłam absolutnie przekonana, że Jadwiga mówi prawdę. To jej głos słyszał Zbyszek z gabinetu. Konferowała tu z tym Stolarkiem prawie piętnaście minut, to niemożliwe, żeby go potem zabiła! Musiałaby mieć przy sobie ten dziurkacz i pasek, a gdyby zamierzała go zabić, to by to uczyniła od razu! I skąd wzięła klucz od drzwi?! Nie, Jadwiga mówi prawdę!... - Zamknęła pani drzwi od gabinetu?

- Czym? I po co? Jakby nawet ktoś wszedł, to przecież rozmawiać mi wolno!

- Ale wiedziała pani przecież, że te drzwi bywały zamykane? - powiedział zimno prokurator. - Domyślała się pani, że musi być jakiś klucz? Przeklełam się za tę historię z kaszką. Oczywiście, że to rzuca na Jadwigę negatywne światło! Do diabła, czy wszystko, co zrobię, musi mieć jak najgorsze skutki?! Maglowali ją tak tam i z powrotem, ale Jadwiga się twardo trzymała. Widać było, że zdenerwowała się do nieprzytomności, rzucała na mnie rozpaczliwe spojrzenia, wyłamywała sobie wszystkie palce, ale trwała przy pierwszej wersji jak granit. Niewinna i koniec! - Np coś - powiedział wreszcie wyczerpany kapitan. - Pani pozwoli z nami... Jadwigę poderwało z krzesła. - Dziecko!!! - krzyknęła przeraźliwie, tracąc równowagę. - Na miłosierdzie pańskie, pozwólcie mi coś zrobić z dzieckiem!!! Pani Joanno, niech mnie pani ratuje!!! Wśród okropnego zamieszania, które zapanowało w ciągu następnych chwil, wśród szlochów Jadwigi i Danki, wezwanej na pomoc, bo znała rodzinę Jadwigi i mogła załatwić opiekę nad dzieckiem, wśród okrzyków zdumienia niedowierzania i zgrozy, wydawanych przez cały personel, siedziałam jak wmurowana w krzesło i w szaleńczym tempie myślałam. Co zrobić?! Niezależnie od tego, czy ona to zrobiła, czy nie, muszę tej idiotce pomóc! Była doprowadzona do granic rozpacz, przez całe życie miała same smutnienia i kłopoty, potem ta nędra i to uwielbiane dziecko!... Za wszelką cenę!... Szkoda Jadwigi, szkoda porządnego człowieka, szkoda tej córeczki... Co zrobić? Rzucić podejrzenie na kogokolwiek innego, jedyne wyjście! Dwóch odrębnych podejrzanych i nie ma siły, nie skarżą żadnego! Na kogo?! Jak?!... Jadwigę zabrali, a Sodoma i Gomora panowała nadal w całej pracowni. Tamci wszyscy, kolejno wracający z KOPI, wpadali w istne piekło. Wszędzie wrzały dzikie kłótnie i awantury, bo połowa była za Jadwigą, a połowa przeciw. Witek bezskutecznie próbował wprowadzić spokój i nakłonić personel do przerwanej pracy. Danką i Matyldą wytrząsały się nad Wiesią. Na to wszystko przyszedł Marek, który ostatnio miał dziwne szczęście trafiania wprost we wstrząsające wydarzenia. Poprzednia uwaga Alicji, że Marek jest po pierwsze inteligentny, a po drugie niewinny, utkwiała widać we mnie bardzo głęboko, bo natychmiast sobie ją przypominałam. Zaciągnęłam ich obydwój w najdalszy kąt za stołem Alicji i kategorycznie zażądałam skupienia się i obmyślenia sposobu ratowania przestępczyni. Obydwój bardzo lubili Jadwigę, mieli o niej jak najlepsze zdanie, więc bez oporów przystąpili do dzieła. Marek uważnie wysłuchiwał naszego sprawozdania. Był bardziej przejęty, niż się spodziewałam. Wyraźnie coś mu się

nie podobało. - To by znaczyło - powiedział powoli - że w umysłach władz śledczych zalągl się następujący obraz: Jadwiga rozmawia z Tadeuszem. Tadeusz odmawia jej błaganiom. Jadwiga bierze dziurkacz... pomińmy szczegóły... wali go w czaszkę, dusi paskiem... załóżmy, że to wszystko ma przy sobie... Wychodzi do WC-tu, zmywa ślady zdenerwowania z twarzy, topi chustkę w urządzeniach kanalizacyjnych... - Nie wiem, czy tak od razu, bo zapchało się dopiero następnego dnia - przerwała mu Alicja. W tym momencie skoczyłam nagle na równe nogi! - Czekaście! - wrzasnęłam. - Czekaście!... Czekaście!

- Na co? - spytał Marek. Obydwoje przyglądali mi się ze zdumieniem. Mamrotałam coś pod nosem, a po głowie miotał mi się obraz tego dziwoląga, którego byłam świadkiem tuż przed rewizją osobistą. Nie wyjaśniając im niczego, zawróciłam i popędziłam do sali konferencyjnej, gdzie wciąż jeszcze przebywali kapitan z prokuratorem. Wpadłam tam bez pukania, przerywając im jakieś tajemnicze czynności. - Wiem! - krzyknęłam. - Wszystko wiem! Nie, nie wszystko, część!... Dużo... - Jak pani mogła! - krzyknął w odpowiedzi prokurator. - Zawiodłem się na pani! - Guzik! Nieprawda! Ja wiem, że to nie Jadwiga! Ona jest niewinna!... - Mam dość tych pani niewinnych!

- Spokój!!! - wrzasnął kapitan i łupnął pięścią w stół. - Bardzo przepraszam, panie prokuratorze - dodał normalnym głosem. - Nie, to ja bardzo przepraszam - odparł prokurator również normalnym głosem i odwrócił się znów do mnie: - Rozumiem, że ma nam pani coś do powiedzenia? Jakiś nieważny drobiazg zapewne, bo jak przychodzi co do czego, to przy ważnych drobiazgach odmawia pani odpowiedzi?... Coś, jakby żal, drgnęło mi w sercu, ale miałam teraz ważniejsze sprawy na głowie. Na prywatne uczucie na razie nie było miejsca. Zimnym tonem zrelacjonowałam im ów dziwny wybryk urządzeń kanalizacyjnych. Słuchali w milczeniu i z uwagą. Potem spojrzeli na siebie. - Nie widziała pani, kto to był? - Nie. Jak wyszłam, to już nikogo nie było. Ale ktoś musiał przyjść ostatni do sali konferencyjnej i to tuż przede mną. Jak szłam do gabinetu, to już całe biuro było wyczyszczone. Kapitan skrzywił się niechętnie.

- Teraz stwierdzić, kto przyszedł ostatni! Rychło w czas... - Ale może wam się uda! Na litość boską, przynajmniej spróbujcie! Przecież musicie mieć rozwikłane wszystkie wątpliwości, jeżeli zamierzacie oskarżać Jadwigę! Ja to powiem przed sądem, będę świadkiem obrony! - Chwileczkę - powiedział prokurator. - Jak pani sobie właściwie wyobraża, że to było zrobione? - Bardzo prosto. Tam jest niska ścianka, dwa i pół metra, w pół cegły i na niej są zawieszane oba rezerwuary. Wszedł na sedes, wrzucił ją pionowo w dół, być może czymś obciążoną i poruszył pływakiem. I woda poleciała... To prawda, że mówiłam nieco chaotycznie, ale byłam szalenie przejęta. Przestałam czuć sympatię do mordercy, skoro pozwolił na zabranie niewinnej Jadwigi. Przedstawiciele władzy zainteresowali się moimi przypuszczeniami i poszli sprawdzić. Poszłam z-nimi, nie zajmując się tym, co sobie pomyśla współpracownicy. Prokurator osobiście wszedł na sedes i dokonał proponowanych przeze mnie czynności, poświęcając na ten cel jeden z gałganów do tuszu. Wskoczyłam z męskiego WC-tu i popędziłam do damskiego sprawdzić rezultat, a kapitan popędził ze mną. Wszystko się doskonale zgadzało. Prokurator szarpał pływakiem, a my gromkim głosem donosiliśmy zza ścianki, co widzimy. W rezultacie damski WC zapchał się po raz drugi. - o tak - powiedział prokurator, wróciwszy do sali konferencyjnej. - Ale ja osiągnąłem tego z największym trudem, a sądząc z tego, co pani mówi, on to zrobił swobodnie. Ja mam metr siedemdziesiąt dziewięć wzrostu, to musiał być bardzo wysoki facet... - A czy widział pan w tej pracowni niskiego faceta? - spytałam uprzejmie. Tamci obydwaj znów spojrzeli na siebie. Dopiero teraz dotarła do mnie myśl, że oni muszą coś wiedzieć. Coś więcej... Po zabraniu Jadwigi zostali w pracowni, niewątpliwie mieli w tym jakiś cel. Nie informują mnie przecież o wszystkim... Nie było mowy o kluczu i o ekspertyzie ani o zaginionym dokumencie Jadwigi... Coś w tym jest! Zaintrygowana przyglądałam się im, ale obaj mieli kamienne twarze. Nie dowiedziałam się niczego. Wróciłam do Alicji i do Marka, cierpliwie oczekujących wyjaśnienia moich dziwnych poczynań. W całej pracowni nadal wrzało i okazało się, że wszyscy bardzo dużo wiedzą. Właściwie nic w tym takiego niezwykłego nie było, ostatecznie inteligentni ludzie, pytani o określone rzeczy, mogli sobie coś niecoś skojarzyć. Rozpatrywana była głównie sprawa klucza, który zupełnie nie pasował do Jadwigi. Nie mieszając się do tych ogólnych rozważań,

przystąpiłam do kontynuowania konwersacji we troje. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że jednak rzecz nie jest wyświetlona w pełni. Chyba jednak Jadwiga mówi prawdę i Tadeusza zabił ktoś, kto wszedł do sali konferencyjnej po jej wyjściu. - Nie chciałbym wprowadzać zamieszania i rzucać niepotrzebnych podejrzeń - powiedział Marek z wahaniem. - Ale nie jestem pewien, czy nie powinienem podzielić się z naszą ukochaną władzą moimi podejrzeniami... - Co masz na myśli? - spytała Alicja, patrząc na niego bystro. Marek znów się zawahał. - Nie wiem, nie wiem... No nic, poczekam, Jadwigi na razie jeszcze nie wieszają. Mam nadzieję, że to się samo wyklaruje, okropnie nie lubię brać udziału w takich rzeczach... Alicja milczała. Ja też. Nie byłam pewna, czy przypadkiem wszyscy troje nie myślimy tego samego... Na razie byłam bardzo zadowolona, że udało mi się wprowadzić wątpliwości natury sanitarnej. Marek odmówił szczegółowych wyjaśnień, więc wróciłam do pokoju, gdzie panowała atmosfera pełna przygnębienia. Nikt nic nie robił, a za to wszyscy rzucali ponure przypuszczenia, dotyczące przyszłości pracowni. - Nie wyjdziemy z tego interesu - westchnął Janusz ciężko. - I tak byłoby trudno, a jeszcze teraz, bez zleceń? Leżymy, proszę państwa, martwym bykiem...

Tym razem to ja zadzwoniłam do prokuratora.

- Ma mi pan to za złe? - spytałam z rozgoryczeniem.

- Pan by oskarżył bliskiego współpracownika, który, na dobitek, pańskim zdaniem, jest niewinny?

- Czy w ogóle ktokolwiek, pani zdaniem, jest winien? - powiedział zniecierpliwiony. - Obawiam się, że pani przypisuje winę jakimś siłom nadprzyrodzonym. - Nie, teraz już nie. Teraz już nie będę protestować. Ale pod warunkiem, że wina tego kogoś będzie rzeczywiście udowodniona. A na razie to są ciągle tylko podejrzenia. A przy tym mam wrażenie, że mnóstwa rzeczy pan mi nie powiedział... - Ma mi pani to za złe? - odparł drwiąco. - Może pani zapewnić z ręką na sercu, że pani powiedziała absolutnie wszystko, co pani wie?

Nie, nie mogłam zapewnić z ręką na sercu. Obraził się na mnie prawdopodobnie, bo tym razem wcześniej poszłam spać... Nazajutrz zaczęło się już od rana. Wbrew zabraniam Jadwigi kapitan i prokurator urzędowali w pracowni, znów maltretując wszystkich po kolei. Nie mieliśmy zielonego pojęcia, o co im może chodzić, a pytania nie pozwalały się niczego konkretnego domyślić. Znów badali nasze alibi, ale nie na dzień zbrodni, tylko na dzień wczorajszy. - Do diabła, ktoś kogoś zadusił na mieście czy co? - powiedział z gniewem Janusz, wracając z przesłuchania. - Widocznie coś się gdzieś stało - odparł Leszek w zadumie. - Poszedłem sobie wczoraj na piwo i musiałem postawić świadków. Całe szczęście, że ten facet w kiosku mnie zna. - Słuchajcie, oni mają do mnie pretensję, że wracałem z KOPI tramwajem - powiedział okropnie zdenerwowany Włodek, który przyszedł pocieszyć się do naszego pokoju. - Czym miałem wracać, balonem? - Nie wróciłeś z Witkiem samochodem? - zdziwił się Janusz. - Zdawało mi się, że przyjechaliście razem. - I ty też zaczynasz? Odczep się! Nie wróciłem z Witkiem, nie ma takiego przepisu, że mam wracać z Witkiem! Witek pojechał do warsztatu! - Strasznie byli zdziwieni, że siedziałem cały czas w biurze - powiedział Wiesio, wyraźnie zadowolony, że udało mu się tak zadziwić władze śledcze. - Zdaje się, że wszystkich o mnie pytali. Ciekawe, dlaczego... Teraz dopiero zaczęłam wreszcie myśleć. Wypowiedź Wiesia natchnęła mnie, Wiesio był podejrzany... Pytanie o alibi wszystkich jest tylko pretekstem... Chodzi im o tych, którzy byli na mieście, na KOPI! Zaraz, kto to był? Zbyszek, Witek, Kacper i Ryszard... Czyżby któryś z nich coś zrobił? W pół godziny potem wiedziałam, że Kacper odpada, a zostaje trzech. Kacper bezpośrednio po KOPI wrócił-do biura taksówką razem z jednym facetem, technologiemi z sąsiedniego biura. Witek pojechał samochodem do jakiegoś warsztatu, Zbyszek zawieruszył się gdzieś na mieście i wrócił znacznie później, a Ryszard nie wrócił wcale. O cóż, na miły Bóg, może tu chodzić? Po negatywnym wystąpieniu w sprawie Jadwigi nie miałam żadnej nadziei na uzyskanie wiadomości od prokuratora. Chyba że sama wymyślę coś interesującego, co naprawi nasze wzajemne kontakty. Co by tu wymyślić? Myślałam i myślałam, a-atmosfera w pracowni robiła się coraz gorsza, aż wreszcie przygnębienie doszło do szczytu, bo trzeba było pójść na pogrzeb Tadeusza. Wszyscy jak jeden mąż w ponurym milczeniu szliśmy w kondukcje pogrzebowym i

doprawdy nie było żadnej nadziei na to, że się cokolwiek kiedykolwiek rozjaśni... Następnego dnia było cały czas niemrawo. Witek z rozpaczliwym uporem nakłaniał do pracy, która nikomu nie szła, personel był zgaszony, Jadwiga siedziała w mamrze, a prokurator z kapitanem w sali konferencyjnej. Tym razem prowadzili badania, zaproponowane przeze mnie, co mnie nieco pocieszało, bo po zerwaniu tak mile rysujących się kontaktów czułam się niezbyt radośnie. Prowadząc te same badania na własną rękę zorientowałam się, że sprawa przedstawia się dość beznadziejnie. Każdy mówił co innego. Włodek twierdził, że ostatni do sali konferencyjnej przyszedł Ryszard. Andrzej upierał się, że Witek. Janusz stawał na Zbyszka, a Kazio na Wiesia. Stefan z kolei wrabiał Andrzeja. Kompletny mętlik, w którym zgadzało się tylko jedno, a mianowicie, że pierwszy na rewizję osobistą pośpieszył Kacper. To jedno wszyscy stwierdzili zgodnie, w związku z czym Kacpra musiałam, definitywnie wykluczyć. Witold, jedyny, który usiłował normalnie pracować, pojechał odebrać projekt od architekta dzielnicowego. Jego puste miejsce natychmiast wykorzystał diabeł, do którego tym razem byłam nastawiona bardzo nieprzychylnie. - Odczep się - powiedziałam, kiedy tylko się pokazał. - Mam cię dosyć. Nic dobrego nie wynika z moich kontaktów z tobą. - Bo jesteś idiotką i to konkursową - odparł diabeł niezrażony, ustawiając sobie wygodnie krzesło Witolda. - Dlaczego nie powiesz im o skrytce Tadeusza? - Ponieważ wiem równie dobrze, jak i ty, że ta cała skrytka... zresztą ty też... jesteście produktem mojej zwyrodniałej wyobraźni. Nie zamierzam robić z siebie idiotki na tym tle bez przerwy.

- Bądźże konsekwentna! Od początku do ko ca twoja wyobraźnia jest zgodna z rzeczywistością. Nie przychodzi ci do głowy, że w tym coś jest? Zamyśliłam się przyglądając mu się niechętnie. Kto wie, czy i tym razem nie ma racji?... - Sądziś, że były jakieś przesłanki? - spytałam z wahaniem. - Że coś się kłůło w pracowni i ja to dostrzegłam podświadomie? - Oczywiście! A przy tym weź pod uwagę, że rozgłosiłaś to. Może by go wcale nie dusił paskiem, gdybyś mu nie poddała tej myśli, tylko wepchnął pod pociąg? Zwróciłaś jego uwagę na motywy, które właściwie mieli wszyscy. Mordując faceta na terenie pracowni zyskiwał prawie stuprocentową bezkarność, zważywszy nadmiar podejrzanych! - Czyli dajesz mi do zrozumienia, że ja tu jestem najbardziej winna! Dziękuję ci bardzo za tę pociechę. - Już się rozpędziłem, żeby cię pocieszać. Denerwujesz mnie, zraziłaś sobie prokuratora. - O nie, mój drogi! - powiedziałam stanowczo. - Nic z tego. Nawet dla stu prokuratorów nie zmienisz mi charakteru. Nie byłam świnia, nie jestem i nie będę! Gdybym w tej chwili wiedziała, kto jest prawdziwym zabójcą, poszłabym do niego i namawiała, żeby się sam przyznał. Nie leciałabym z jęzorem do władz śledczych!

- Ale pomagać chcesz?

- Chcę, bo jest bydlęciami w stosunku do Jadwigi. Słusznie zabił Tadeusza, ale niesłusznie pozwolił na jej przymknięcie! - No to jak chcesz pomagać, to idź i powiedz o skrytce. Ja ci radzę, idź, powiedz... Siedział i kusił jak prawdziwy diabeł, aż wreszcie uległam. Poszłam do sali konferencyjnej, gdzie akurat nie było żadnego podejrzanego, tylko sama władza, i godnie spytałam, czy zechcą mnie wysłuchać. Widocznie nie wszystko im szło jak po maśle, bo wyrazili zgodę z dużym zapalem. Pomyślałam sobie że jeśli mam z siebie robić idiotkę, to przynajmniej niech będę w dobranym towarzystwie. - Mam nadzieję, że panowie pamiętają, od czego się to wszystko zaczęło? - powiedziałam bardzo sztywno. - Pamiętamy - odparł prokurator niesłychanie uprzejmie. - Od pani jasnowidzenia. Przyjrzałam mu się uważnie i przeciągle i być może nawet trochę zaczepnie, bo w jego oczach coś mignęło, po czym ciągnęłam dalej: - Pragnę panów poinformować, że moje jasnowidzenia trwają nadal. Doszłam do wniosku, że notes Tadeusza nie był całym jego majątkiem, że musiał mieć jeszcze jakieś materiały i musiał je gdzieś trzymać. - Bardzo interesujące - powiedział prokurator jadowniczo, kiedy zatrzymałam się w celu zaczerpnięcia oddechu. Zignorowałam jego uwagę. - I zastanawiałam się, gdzie. W trakcie tego zastanawiania znalazłam się w mieszkaniu nieboszczyka, które znam, bo tam kiedyś byłam... Nie wdając się w rozgraniczanie fantazji i rzeczywistości zrelacjonowałam im moją całą dramatyczną wizję, z okrzykiem Alicji na zakończenie włącznie. Po czym zamilkłam. Przedstawiciele władzy siedzieli nieruchomo z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Pomyślałam sobie, że pewnie uważają mnie za niespełna rozumu, ale było

mi to już obojętne. - Tak... - powiedział powoli kapitan. - Czy można wiedzieć, skąd pani to wszystko wie? - Zdawało mi się, że na wstępie powiedziałam to dość wyraźnie - odparłam zimno i nagle zawartość wnętrza przewróciła mi się kilkakrotnie do góry nogami! Pojęłam sens jego pytania; - Na litość boską! - krzyknęłam, zrywając się z miejsca. - Nie powie pan chyba, że to wszystko prawda?!... - Ależ skąd! - odparł natychmiast prokurator, czyniąc jakiś gwałtowny gest. - To są, oczywiście, pani wyobrażenia? Dobrze to zrozumiałem? - Tak - powiedziałam słabo, siadając na powrót. - Wielki Boże, mam nadzieję, że istotnie to są tylko moje wyobrażenia?.. i - Tak naturalnie, bardzo pani dziękujemy - powiedział kapitan pośpiesznie. - Czy jeszcze ma pani dla nas jakieś informacje? Nie byłam w stanie mówić, więc tylko pokręciłam głową. Potem domyśliłam się, że czekają, żebym sobie poszła. Poszłam zatem, w żywe kamienie przeklinając idiotycznego diabła. Niemrawa atmosfera panowała aż do wyjścia Witka. Przedstawiciele prawa opuścili pracownię już wcześniej, prawie zaraz po moich rewelacjach. Kto pierwszy wyciągnął pierwsze pół litra, nie mam pojęcia. Nie wiem też, kto postanowił, że stypa ma się odbyć właśnie tego dnia. Możliwe, że sprawił to ponury nastrój. Dość, że do naszego pokoju zajrzał nagle Stefan. - Na co czekacie? - warknął. - Tam już lecą toasty. Jazda, za zdrowie nieboszczyka!... Przyjęcie składało się z bułki paryskiej, kilograma salcesonu i potwornej ilości wódki. Kawa była w pracowni zawsze. Kilka osób musiało wyjść, ale większość została. Przy pierwszym litrze było nam jeszcze bardzo smutno i wszyscy trzeźwi, przytomni rozsądnie rozpatrywali sytuację, mieszając tylko przewidywany upadek pracowni z podejrzeniami na temat Jadwigi. Przy drugim Zaczeliśmy dochodzić do wniosku, że właściwie żyć można wszędzie, pracować też i nie pozostaje nam nic innego, jak tylko intensywnie się pocieszać. A przy trzecim nastrój uległ już radykalnej zmianie. Ktoś nastawił radio, które nadało akurat muzykę taneczną. Równocześnie Włodek zaczął grać na organkach z początku rzewnie, a potem coraz bardziej skocznie. Litry płynęły dalej, mieszane z kawą, Leszek ruszył do tańca z okrzykiem: - Raz się żyje! Panowie bracia, tańczymy na wulkanie! W tym momencie musiałam opuścić pokój na chwilę, ponieważ usłyszałam, że dzwoni telefon. Byłam chyba najtrzeźwiejsza ze wszystkich, bo z uwagi na dolegliwości sercowe nie bardzo mogłam pić, co mnie napełniało głębokim żalem. Bez trudu jednak dostosowałam się do panującego nastroju. Po drugiej stronie telefonu wisiał Witek, mający miły zwyczaj sprawdzać, co się dzieje w pracowni w godzinach nadliczbowych. Z wielkim trudem przekonałam go, że zostało kilka osób, które ciężko pracują. Kiedy wróciłam do środkowego pokoju, stypa była już w pełni rozkwitu. Leszek szalał w dzikich skokach po całym pomieszczeniu, odbijając się o stoły i szafy, co miało oznaczać, że tańczy charlestona. - Zabierzcie to! - charczał. - Zabierzcie te meble! Nie ma dla mnie przeszkód! Jestem orzeł! Dlaczego dźwięki charlestona przemieniły go akurat w orła, nie wiadomo, zwłaszcza że tej metamorfozy nie dawało się dostrzec na zewnątrz. Monika z Wiesiem tańczyli twista, Wiesio umiał, a Monika nie. Leszek nagle zmienił zdanie i oświadczył, że jest umierającym łabędziem, przy czym dziwne wygibasy również zmieniły nieco charakter. We wdzięcznych przegięciach wypadł na korytarz aż do pomieszczenia Matyldy, gdzie skończył, przewieszony przez krzesło, wydając z siebie co jakiś czas niesamowite skrzeczenie, "które miało obrazować łabędzi śpiew. Włodek siedział na szafie z rysunkami i nie zważając na konkurencję Polskiego Radia grał przeraźliwie na organkach oberka. Alicja, doskonale zaprawiona, żądała, żeby zagrał polkę, bo ona musi zatańczyć. Poparłam ją solidarnie, ale Włodek zaprotestował, między jednym dźwiękiem a drugim wyjaśniając nam, że w organkach brakuje mu A-moll, które do polki jest mu niezbędne. To wyjaśnienie nie trafiło nam do przekonania. - Graj polkę, bo ci to rozbiję na głowie - zagroziłam, biorąc do ręki szklanekę z fusami do kawy. Włodek nadal grał oberka, udając, że nie słyszy, więc poczułam się zmuszona spełnić groźbę i chlusnęłam na niego resztkę kawy z fusami. Następnie poprawiłam wodą z wazonika do kwiatów. - Magiera - powiedział Włodek z urazą, zgarnął nieco z siebie fusy i nadal grał oberka. Alicja przyjrzała mu się z dużym zainteresowaniem. - Ona leje, to i ja! - oświadczyła stanowczo! Wzięła ze stołu wielki wazon z kwiatami i chlusnęła na Włodka całą zawartością. Muzyk obraził się, zląkł z szafy i wyrzucił organki za okno. Stefan stał przy drugiej szafie z rysunkami i mamrocząc jakieś przekleństwa wydłubywał z salcesonu ozorki, resztę

ze wstrętem wyrzucając za siebie. Anka z Andrzejem i Monika z Wiesiem twardo tańczyli twistem wszystko, cokolwiek rozbrzmiewało przez radio. Alicja zrezygnowała z polki, wyciągnęła Kacpra na korytarz i oboje runęli w kierunku drzwi wyjściowych, rycząc strasznym głosem mazura. Ryszard, siedzący dotąd melancholijnie przy stoliku, ocknął się nagle jak na dźwięk pobudki, wypchnął mnie z pokoju i poszliśmy za ich przykładem. Wpadliśmy do pokoiku Matyldy w momencie, kiedy pierwsza para zawracała już od drzwi. Równocześnie umierający łabędź, to znaczy Leszek, zerwał się z krzesła, na którym oddawał ducha, i trafił w sam środek szaleńczego mazura. Oszołomiony chciał się cofnąć, dostał dubla od Ryszarda, wpadł na Alicję i Kacpra i całe towarzystwo wyładowało na biurku Matyldy. Małe, lekkie biureczko, mające cienkie, wdzięczne nóżki i szuflady tylko po jednej stronie, nie wytrzymało tego ciosu, trzasnęło, zgrzytnęło i runęło. Hałas był najzupełniej dostateczny, żeby zwabić do pokoju Matyldy większość rozbawionego personelu. Malownicza grupa, jęcząc radośnie, pozbierała się z podłogi, na której został tylko Leszek i biurko z rozbitym szkłem i jedną nogą wyłamana. Było widać, mimo pozorów kruchości, solidne wykonanie, bo nic więcej się nie rozpadło, nie puścił też żaden zamek, szuflady zostały na swoim miejscu i skądś, ze środka, wyleciał na podłogę tylko jeden klucz. Nie dalej jak dwa dni temu nabrała rozgłosu sprawa tajemniczego zamknięcia sali konferencyjnej. Nie dalej jak dwa dni temu roztrząsano powiązania Jadwigi z kluczem od drzwi gabinetu. Od dwóch dni klucz stał się dla nas nie tylko potężną sensacją, ale także symbolem przestępstwa. Nic dziwnego, że teraz wszyscy zamarli, ucichli i znieruchomieli, wpatrzeni w znany nam dobrze klucz, który wyleciał z zamkniętego biurka Matyldy. Nie wiadomo, jak długo trwalibyśmy tak w charakterze żywego obrazu, gdyby nie to, że nagle otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich kapitan. Stanął i również zastygł, rażony zapewne dziwnym widokiem, jaki przedstawił się jego oczom. Otworzył usta, ale słowa mu na nich zamarły, spojrzął kolejno na nas wszystkich, na Leszka, a potem na leżący pośrodku podłogi klucz. - Sokole!... - powiedział nagle Leszek, któremu widać pomieszała się cała ornitologia. Wyrwany tym okrzykiem z osłupienia kapitan podszedł szybko do klucza, wyjął z kieszeni chustkę i przez tę chustkę bardzo ostrożnie podniósł go z podłogi. - Skąd to się wzięło? - spytał ostro.

-Opatrzność zesłała - odparł uroczyście -Leszek i stanął wreszcie nieco chwiejnie na nogach. - Wyleciał z biurka? - spytał z żywym zainteresowaniem Wiesio, spoglądając na mnie. - A może komuś z kieszeni? - powiedziała niepewnie Monika. - No więc? - powtórzył kapitan równie ostro jak poprzednio: - Co to było? Co tu się w ogóle dzieje? - Stypa - wyjaśniła uprzejmie Alicja. - Wyprawiamy stypę... Kapitan patrzył na nas wzrokiem pełnym potępienia. Wahał się przez chwilę i prawdopodobnie zastanawiał się, co można zrobić w obliczu takiej gromady pijanych świadków. Istniała duża szansa, że po wytrzeźwieniu nikt nic nie będzie pamiętał. - Proszę się nie ruszać - rozkazał. Przeszedł do gabinetu, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi i nie spuszczając z nas wzroku podniósł słuchawkę. Aparat Matyldy leżał na podłodze w charakterze drobnych szczątków. - Wezwał stosowne posiłki i wrócił. Przyjrzał się uważnie trwającym posłusznie w bezruchu uczestnikom stypy i zwrócił się do mnie. - Pani jest też pijana?

- Nie - odparłam z żalem. - Ja po alkoholu dostaję zapaści. Obawiam się, że jestem prawie zupełnie trzeźwa. - Chwała Bogu - mruknął. Westchnął ciężko i dodał:

- Proszę opisać, co tu się działo.

- Tańczyliśmy mazura w dwie pary. Leszek konał na krześle i odżył w niestosownym momencie, w związku z czym wszystko wpadło na siebie oraz na biurko. Skutki pan widzi. - Co to za klucz i skąd się tu wziął?

- Z całą pewnością to jest klucz od któryś drzwi wewnętrznych, zna pan już przecież nasze zamki... Urządzana niegdyś pieczołowicie przez pierwszego dyrektora pracownia wszystko miała oryginalne. Lamy, robione na zamówienie weWrocławiu, specjalnie dla nas projektowane meble, specjalnie kombinowane instalacje elektryczne i oczywiście nietypowe zamki. Klucze od tych zamków miały część z ząbkami nie płaską, a trójkątną i część, za którą się trzyma, nie okrągłą z dziurką, tylko właśnie płaską i ośmioboczną. Wszystko na odwrót. Nie

było wątpliwości, od czego jest ten klucz. - Natomiast skąd się wziął, nie jestem pewna... - ciągnęłam dalej. - Są tylko dwie możliwości: albo wyleciał z tego biurka, albo komuś z kieszeni. Wątpię, czy mógł się znajdować w aparacie telefonicznym. - Jeżeli z kieszeni, to komu? Rozejrzałam się po współpracownikach.

- Pięć sztuk tu się poniewierało, reszta wpadła później. Alicja, Ryszard, Kacper, Leszek i ja. Spojrzenie kapitana powędrowało po naszych twarzach i zatrzymało się na Ryszardzie. No tak, wyniki ich dochodzeń musiały być przecież takie same jak moich. Kacper odpadł, z potencjalnych posiadaczy klucza pozostał tylko Ryszard... Ryszard stojący dotąd bezmyślnie, zaczął nagle grzebać po kieszeniach i wyciągnął z nich pęk kluczy. Obejrzał wszystkie i schował z powrotem. - Żadnego klucza nie miałem - powiedział stanowczo i bez sensu, wobec uczynionej przez chwilą demonstracji. - Dobrze, dobrze - odparł kapitan, nieco zniecierpliwiony. - Proszę wrócić do pokoju. Tu nie wolno niczego dotykać. - O co chodzi? - zawołała z gniewem Monika. - Zabraliście Jadwigę i jeszcze wam mało? Chcecie dowieść, że udusiło go pięć osób równocześnie? - Nie, wystarczy nam jedna. Proszę wrócić do pokoju! W piętnaście minut potem na miejscu była już cała ekipa techniczna i prokurator, a zamknięty w środkowym pokoju personel wykańczał resztki alkoholu. Po jakimś czasie wezwano mnie do przedpokoju. Wokół rozbitego biurka Matyldy stało kilka zakłopotanych osób. Biurko było już dokładnie wybebeszone, szuflady, wyjęte, spoczywały na kupie pod ścianą, a stos dokumentów na drugiej kupie. Spojrzałam na to wszystko i powiedziałam ze zgrozą: - Panowie, co robicie! Matylda jutro padnie trupem na miejscu. - Co pani może powiedzieć o tym meblu? - spytał stanowczo kapitan.

- Słucham pana? Nie rozumiem...

- Proszę żeby pani powiedziała wszystko, cokolwiek pani wie o tym meblu. Skąd pochodzi, za ile, co się z nim działo... No, nie wiem, co jeszcze. Zdziwiłam się nieco, ale posłusznie wyjawiałam, co było robione na zamówienie. Nie wiem, za ile, pewnie są gdzieś jakieś kwity. Było zaprojektowane tak jak wszystkie nasze meble przez byłego dyrektora i Witka. Unikam drugiego takiego samego nie ma. Chodziło o to, by mogłoby być łączone ze stolikiem pod maszynę, który w sumie ma tylko dwie nogi, a nie cztery. Gdy jest złożony i odczepiony, to leży na tej szafie, bo tu jest ciasno. Z tyłu ma zawiaski do tego przyczepiania, o tu, widzi pan, a na wierzchu leżała szklana płyta. Matylda zamyka je na cztery spusty, żebyśmy jej czegoś nie ukradli. Nie wiem, kto to robił, pewnie jakaś wytwórnia mebli, Witek będzie wiedział...

- To wszystko?

- Nic więcej sobie nie przypominam.

- Skąd mógł wylecieć ten klucz? Jak pani myśli?

- Jeśli szuflady były zamknięte to wykluczone. Miały taką listwę chyba pan to też zauważył, że po zamknięciu szczelnie się domykały.

- Wobec tego, skąd?... chyba rozebrać na drobne kawałki - powiedział ponuro prokurator. Pomyślałam sobie, że może to i lepiej, bo brak biurka będzie można zwalić na władzę śledcze i uda nam się ująć z życiem z rąk Matyldy. Z zaciekawieniem przyglądałam się niszczycielskiej pracy, dokonywanej bardzo ostrożnie i pieczołowicie. Nie trwała zbyt długo. Zaraz po zdjęciu blatu wykryło się coś dziwnego, na co przeciętny laik zapewne nie zwróciłby nawet uwagi. Ale ja zwróciłam z tego prostego powodu, że niejednokrotnie własnoręcznie zakładałam ową część służącą jako stolik pod maszynę. Pod blatem biurka był rowek, na którym opierał się blat stolika i musiał tam być stosowny luz, żeby tym wszystkim dało się manewrować. Luz był nieco za duży. Przy stojącej pozycji biurka w normalnym stanie, z blatem na wierzchu to było zupełnie niedostrzegalne. Ale teraz dało się zauważyć, że między blatem a deską z rowkiem znajdowało się miejsce, w które na upartego można było wcisnąć płaski klucz. Oczywiście z chwilą, kiedy całość runęła, klucz miał prawo wylecieć. Tak, jeżeli nikt z nas nie miał go w kieszeni, to to było jedyne miejsce, w którym mógł się znajdować! Pomyślałam sobie, że za chwilę chyba oszaleję, bo przecież osobą, która najlepiej znała to biurko i mogła je w ten sposób użytkować, była Matylda. Skąd tu nagle Matylda, Matylda od początku ma niewzruszone alibi! - Daktyloskop - mruknął cicho kapitan do prokuratora. - Chociaż raz mamy klucz, z którego może da się coś zdjąć.

- Jeżeli trzymał za ten płaski łebek - odmruknął prokurator z powątpiewaniem. - Bo jeżeli odwrotnie?... - Musiał tak trzymać, niech pan popatrzy... Tylko tak mógł wcisnąć... No, w zasadzie mamy to załatwione, trzeba poczekać na wyniki. Nagle przypomnieli sobie o mnie.

- My do pani właściwie mamy zupełnie inną sprawę. Przejdźmy może do sali konferencyjnej... - A skąd pan się tu wziął o tej porze? - spytałam z zaciekawieniem kapitana. - Przecież już was tu nie było?

- Ze względu na panią. Dzwoniliśmy do pani, najpierw do domu, a potem tu i ktoś powiedział, że pani jest, ale nie chciał pani poprosić do telefonu. - No, na trzeźwego panowie nie trafili, to pewne. W sali konferencyjnej patrzyli na mnie przez chwilę osobliwym wzrokiem. Znów poczułam się z lekka zaniepokojona. - Może jednak niech nam pani powie prawdę. Skąd przyszła pani do głowy ta kryjówka w mieszkaniu denata? Poczułam się zaniepokojona znacznie więcej.

- Przysięgam, że powiedziałam prawdę. Wyobraziłam to sobie. Myślę, że w tych wizjach, do których, przyznam się panom, zaczynam czuć serdeczną niechęć, brałam podświadomie pod uwagę zawód Tadeusza. Znam mniej więcej urządzenia sanitarne. To była jedyna możliwość, pod warunkiem, że nic tam nie było podłączone, co się niekiedy zdarza. Ale bardzo rzadko. Błagam was na wszystkie świętości, powiedzcie, czy to się może zgadza?! - Zgadza się - odparł zimno kapitan. - Coś takiego jeszcze mi się w życiu nie zdarzyło, przecież to kompletny absurd! Ale zgadza się z jedną różnicą: nie było tam pudełka po kawie czy tam po czymś, tylko torebka z plastyku.

- I co?... - spytałam zamierającym głosem.

- I właściwie nie mamy już żadnych wątpliwości ale chcielibyśmy się upewnić co do kilku drobiazgów. Kto zdobył pierwszą nagrodę w waszym wewnętrznym konkursie piękności dla płci męskiej? Różnych pytań mogłam oczekiwać, ale takiego na pewno nie! Patrzyłam na nich w osłupieniu, usiłując zebrać myśli. - Zaraz - powiedziałam z rozpaczą. - Panowie, miejcie litość! Ja rozumiem, że bywam dla was niekiedy trochę szokująca, ale wasza zemsta jest nieproporcjonalna! Co to znaczy?! - Pytam, kto zdobył pierwszą nagrodę w konkursie piękności? To chyba brzmi zrozumiale? - Marek - odparłam, wciąż oszołomiona. - Ale co to ma do rzeczy? - Nic, drobiazg. Czy zna pani ten podpis? Wyjęli skądś i pokazali mi fragment papieru, na którym widniał nieczytelny gryzmoł. Zamarłam, wpatrzona w gryzmoł i zabrakło mi głosu.

- Tak - odparłam cicho po chwili. -

- Czy wie pani może, do kogo należy?

- Nieważne - odparłam równie cicho. - Tego kogoś nie ma w Polsce już przeszło pół roku... - A może wobec tego ważne jest, z kim ten ktoś korespondował? - Ze mną...

- Tak przypuszczaliśmy. Oczywiście na zasadzie jasnowidzenia. W tym samym stopniu, w jakim jasnowidzeniem są pani wizje, dotyczące tajemniczych kryjówek w mieszkaniach nieżyjących współpracowników... Bomba pękła i bez trudu zrozumiałam, co się dzieje. Władze śledcze dokonały ekstra odkrycia. Byłam współniczką Tadeusza i dałam mu ten list, żeby mógł szantażować niewinną ofiarę. Dlatego przewidziałam jego śmierć, dlatego znałam skrytkę... Ciekawe, co jeszcze zrobiłam? Nie zabiłam go jednak chyba?... Prokurator dla mnie przepadł. Nawet całe piekło, pełne utalentowanych diabłów, nic już nie pomoże. Jak, na miły Bóg, mam im cokolwiek udowodnić?!... - Beznadziejne - powiedziałam, do ostateczności zgnębiona. - Mam tylko jednego jedyne go świadka. Może Matylda będzie jeszcze pamiętała, że koło Nowego roku zaginał list do mnie? - Zna pani aferę, opisaną w tym liście?

- Nie znam. Znam. Nie, nie tak. Mniej więcej, coś wiem, ale mało. Nie wiem, co jest opisane w tym liście, bo go nigdy nie czytałam. - Czy pani wie, że ukrywanie osoby mordercy jest przestępstwem? - No to mnie postawcie przed sądem. Tylko przedtem powiedzcie, kto, do wszystkich diabłów, jest tym mordercą?! Ze środkowego pokoju dobiegły nagle przeraźliwe ryki. Jakiś gruchot. Kapitan, wściekły, zerwał się z miejsca i wypadł z sali konferencyjnej. Prokurator, patrząc przedtem w okno, gwałtownym ruchem odwrócił się do mnie. - Na wszystko panią proszę, niech pani powie prawdę!...

- Powiedziałam prawdę. Daję panu słowo honoru. - Spytajcie Matyldę, o Boże, nie wiem, co zróbcie! To nonsens z ukrywaniem mordercy, ale nie chcę, żeby pan coś



podobnego przypuszczał! Uważacie mnie za jego współniczkę? Bzdura!... - Czy pani nie rozumie, że wszystko na to wskazuje? Że pani stwarza pozory? - Brednie! - krzyknęłam z rozpaczą. - Gdyby tak było, nie mówiłabym tego wszystkiego! Siedziałabym cicho!... Kapitan wrócił, jeszcze bardziej wściekły. Ignorując mnie całkowicie, zabrali się i wyszli w pośpiechu. Siedziałam jeszcze przez chwilę, usiłując znaleźć jakieś odpowiednio okropne słowa, którymi zdołałabym przekląć na wieki znieprawioną wyobraźnię... Późnym wieczorem zadzwonił prokurator. - Przepraszam... - powiedział tylko. - Niech mi pani wybaczy...

Pierwsi przyszli do pracy Włodek i Stefan i wspólnie z pomstującą panią Glebowa posprzątała ślady stypy. Reszta ścigała stopniowo, gnębiona potwornym kaczem po straszliwym pijaństwie. Kacper nie przyszedł w ogóle, nie było też Witka, co przyjęliśmy z głęboką ulgą. W zupełności wystarczyła nam okropna awantura, jaką urządził Zbyszek, który zdażył jeszcze obejrzeć resztki pobojuwiska. Matylda nie mówiła ani słowa na temat biurka, za to robiła wrażenie przygnębionej i zdenerwowanej. Władze śledcze wkroczyły około południa i zażądały zebrania personelu w jednym pomieszczeniu. - Co będzie, o rany! - jęknął Leszek, trzymając się cały czas za głowę. - Niech oni ode mnie dzisiaj za dużo nie wymagają!...

- Proszę państwa - powiedział kapitan, kiedy już ulokowaliśmy się w środkowym pokoju - Czuję się zmuszony udzielić państwu pewnej informacji To nie jest może zupełnie zgodne z normalnym trybem postępowania, ale rozumiem, że sprawa rzutuje na zagadnienia natury służbowej, niewątpliwie dla wszystkich ważne - Nie rozumiem, co on mówi - mruknęła z niesmakiem Monika - Zupełnie jak Witek Niech mówi wyraźniej - Zaraz powiem wyraźniej - odparł kapitan, do którego dotarło jej mamrotanie - pani Jadwiga została zwolniona Zatrzymany jest kierownik pracowni, który po wyczekującym śledztwie okazał się sprawcą zabójstwa. To wszystko, dziękuję. Najpierw przez długą chwilę panowało milczenie. Otepiały personel patrzył wybałuszonymi oczami na drzwi za którymi zniknął przedstawiciel władzy A potem wybuchł dziki rejwach - On zwariował Zwariował!! - ryczał Stefan - Położył pracownię.

- Ale to niemożliwe, dlaczego? Powiedzcie mi, dlaczego? - pytała z irytacją Monika, szarpiąc wszystkich po kolei za rękawy i bezskutecznie domagając się odpowiedzi. Alicja wydawała z siebie radosne kwiki, skacząc po pokoju Włodek, śmiertelnie blady, usiłował ją zatrzymać wykrzykując jakieś wyrzuty pod jej adresem Leszek kiwał się na krześle. - Zbrodniarzem - mamrotał - Kierownik pracowni zbrodniarzem.

- Niemożliwe - powiedział Janusz w osłupieniu - Jak to, naprawdę Niemożliwe! - Ale skąd wiedzą? - dopytywał się Wiesio zaciekawiony - Skąd wiedzą, jak do tego doszli? Dopadłam Matyldy, siedzącej przy małym stoliku. - Pani Matyldo, byli wczoraj u pani?

- Byli - odparła Matylda twardo - Ja mówię prawdę - i nagle zaczęła płakać rzewnymi łzami - Taki wstyd, pani Joanno, taki wstyd Kierownik pracowni Dyrektor Wiesio pierwszy, a za nim reszta, przypomnieli sobie, że przecież ja tu jeszcze jestem Autorka przedstawienia! Ciasnym kręgiem otoczyli nas obie, mnie i płaczącą Matyldę, domagając się kategorycznie wyjaśnień - Odczepcie się - wrzasnęłam z furją - Tyle wiem co i wy Nie, więcej, wiem, że byłam współniczką Tadeusza, mordercy i jeszcze kilku innych zwyrodnialców Idźcie do diabła - Dlaczego pani płacze, pani Matyldo? Pani wiedziała Joanna, mów coś, nie bądź świnią - Ty powiedz prawdę, o co chodziło - dopytywał się z przejęciem Janusz - Perski konkurs Kiwnęłam głową Marek im powiedział Marek wiedział Tadeusz też W tym momencie przypomniałam sobie, że przecież ów zaginiony list do mnie jest tajemnicą, że nikt o tym nie powinien się dowiedzieć, że już sama nie wiem wobec tego, co tu wyjaśniać, a czego nie, i przyczepiłam się znów do Matyldy - Pani Matyldo, oni się już wcześniej domyślili, a pani im potwierdziła O co pania pytali"! Matylda szlochając zaczęła streszczać wczorajsze wieczorne przesłuchanie, na szczęście dostatecznie chaotycznie, żeby nie wszystko można było zrozumieć

- Najpierw o panią, wie pani, a taka byłam wtedy zmartwiona!... Jak ten list zginął... Przyszli wieczorem, bardzo późno... Potem mi powiedzieli, że już

wiedzą i wtedy musiałam im powiedzieć, co mi się przypomniało, jak pani przeszła koło mnie dwa razy w tę samą stronę... On też przeszedł- i zupełnie o tym zapomniałam... - Wtedy, kiedy go zabił? Musiał słyszeć te głosy...

- Musiał słyszeć! - powiedział z gniewem Zbyszek. - Teraz już nie ma co ukrywać. Siedział przecież razem ze mną! Z największym trudem, przy pomocy szlochającej Matyldy odtworzyliśmy czynności Witka w owych decydujących chwilach. Przyniosłam z pokoju nasz harmonogram nieobecności. Witek i Zbyszek siedzieli w gabinecie, a z sali konferencyjnej dobiegały głosy Tadeusza i błagającej go o litość Jadwigi. Witek wyszedł pierwszy, Zbyszek zaraz za nim i po chwili Witek wrócił.

Prawdopodobnie wtedy przyniósł ze sobą dziurkacz. Matylda, zajrzawszy do gabinetu, ujrzała go przy biurku. A potem Witek znów przeszedł obok niej, idąc do gabinetu, chociaż przed kilkoma minutami tam był i nie wychodził.

Wstrząśniętej morderstwem Matyldzie pomieszało się wszystko i zapomniała o tym jego podwójnym powrocie. Dopiero kiedy przeszłam obok niej w identyczny sposób, wyszedłszy z gabinetu przez salę konferencyjną, przypomniała sobie ten fakt. - Dlaczego nie powiedziała im pani tego od razu, pani Matyldo? Jak zabrali Jadwigę!? - Biłam się z myślami - wyszłochała Matylda. - Nie wiedziałam, czy nie mam halucynacji! Nie wiedziałam, czy to ważne! I jakże miałam rzucać podejrzenia na kierownika pracowni?! No tak, dla nieskazitelnie praworządnej Matyldy to musiał być okropny cios. Zwierzchnik był dla niej zawsze czymś w rodzaju Zeusa Olimpijskiego... - A dlaczego nie otworzył drzwi i nie wrócił Wprost? - spytał Kazio. Zajrzałam do harmonogramu.

- A bo wtedy pan już wrócił, panie Zbyszku. On to usłyszał. Z tego, co ja tu widzę, wrócił pan do gabinetu w momencie, kiedy on już wycierał dziurkacz. Nie mógł zrobić nic, tylko możliwie szybko wyjść przez przedpokój. Zrobił pan może coś hałaśliwego? - A owszem. Kładłem na biurku stos teczek i zrzuciłem pudełko z ołówkami... - Rany boskie, ależ on ma nerwy, popatrzcie - powiedział z podziwem Janusz. - Ja bym się załamał... - Ja ciągle nie wiem, dlaczego on to zrobił - powiedziała z niesmakiem Monika. - Sam się chciał wykończyć czy co? - Trzeba przyznać, że mu się to udało...

- A mówiłem, że wszedł ostatni na tę całą rewizję - powiedział niechętnie Andrzej. - Byłem tego pewny i od razu wiedziałem, że coś w tym musi być. I oni mnie o to maglowali, i pani. - Ja też wiedziałem, że przyszedł ostatni - mruknął Zbyszek. - Dlaczego pan tego nie powiedział? - spytałam z wyrzutem. - Już nie mówię milicji, ale mnie?... - Bo mi się to nie podobało. Od początku mi się bardzo dużo nie podobało. Powiedziałbym, gdyby się definitywnie przyczepili do Jadwigi.

- Co teraz będzie? - spytał pochmurnie Witold. Zbyszek popatrzył na niego, a potem na nas wszystkich. - Ano, cóż... Nie ma co ukrywać. Likwidacja przedsiębiorstwa. O jedno tylko was proszę: wyczyśćmy wszystko, co się da! Nie zostawiamy takiego śmietnika... Władze śledcze załatwiały jeszcze w naszym biurze jakieś swoje sprawy. Skorzystałam z tego i złapałam kapitana. Prokuratora nie miałam odwagi. - Wszystko dobrze, ale czy ja bym chociaż nie mogła tego listu przeczytać? - spytałam nieśmiało. - Rozumiem, że on będzie służył jako dowód rzeczowy, ale niechże, do licha, poznam jego treść! Przecież to list do mnie! - Polecę zrobić odpis i dam pani, skoro tak pani na tym zależy. Właściwie tak dużo to tam nie było. - Domyślam się. Wszystko, co trzeba, powiedział wam Marek? Kapitan odnosił się do mnie przyjaźnie, ale nie kwapił się z udzielaniem wyjaśnień. Prokurator jakby mnie nie widział. Pomimo to zatrzymałam się jeszcze. - Panowie, bądźcie ludźmi - powiedziałam prosząco - Powiedzcie co nieco...

Kapitan spojrział na mnie i zawahał się.

- No cóż, uczciwie trzeba przyznać, że nam pani bardzo pomogła. Trochę panią podejrzewam o współpracę z jakąś siłą nieczystą.. Co pani chce wiedzieć? Tak dużo chciałam wiedzieć, że zrobił mi się natychmiast mętlik w głowie. Resztkami przytomności wybrałam to co tylko oni mogli powiedzieć. - Klucz! - zawołałam pośpiesznie. - Co z kluczem?

- Ekspertyza, przeprowadzona zgodnie z pani życzeniem, wykazała, że ten z wazonu nie był używany. Leżał sobie i porastał pleśnią. - A ten z biurka?

- A na tym z biurka jest odcisk palca. Dziś rano udało nam się dostać wyniki. - No, a co było z tą moją wizją o skrytce? Kapitan westchnął ciężko. - Tym nas pani najlepiej ustrzeliła. Do mieszkania denata było włamanie właśnie wtedy,

kiedy w biurze brakowało kilku osób. Oczywiście morderca nic nie znalazł, bo nie jemu uczyniła pani swoje rewelacyjne zwierzenie, tylko nam. Brak mu alibi. Nie ma co ukrywać, że proces będzie poszlakowy, decydującego dowodu nie mamy, ale poszlaki są bardzo silne. Chyba że on się przyzna... Pokręciłam głową.

- Mogę panu ręczyć, że się nie przyzna w żadnym wypadku do skończenia świata. Bardzo dobrze, że będzie poszlakowy... Prokurator ciągle grzebał w papierach i tylko kiedy wychodziłam, spojrzął i uśmiechnął się trochę przepraszająco, a trochę złośliwie. Ten złośliwy uśmiech znów mi się wydał dziwnie znajomy... Wróciłam do pokoju, gdzie, wbrew oczekiwaniom, wrzała wytężona praca. Zbyszek był powszechnie lubiany i wysoko ceniony i jego prośby odniosły skutek. Rzeczywiście, skoro już bankrutujemy, to przynajmniej zbankrutujemy z honorem! Zostałam nawet nieco w godzinach nadliczbowych, przygotowałam moje warsztaty do przekazania inwestorowi, ułożyłam dokumentację w stosy i zapaliłam papierosa. Witold, jak zwykle, wyszedł punktualnie i jego miejsce znów było puste. Diabeł pojawił się w chwili, kiedy pomyślałam, że chyba mam już z nim spokój na wieki. To mi się zupełnie nie podobało. - Słuchaj no - powiedziałam z gniewem. - Czy ty mnie już będziesz do końca życia prześladował? Diabeł zachichotał jadownicie. - Do końca życia nie. Tylko do chwili, kiedy zaczniesz cię prześladować mój następca, dobry kolega, przyjaciel i najlepszy uczeń. Już on mnie zastąpi, nie bój się... W nieco innej postaci... - W jakiej? - jęknęłam. - Coś ty znów wymyślił?!

- W ludzkiej, w ludzkiej. Masz go pod nosem. I będziesz go miała przy boku do końca życia, ty idiotko, śmiertelnie głupia, jak wszystkie kobiety... Uśmiechał się ze złośliwą satysfakcją i nagle pojęłam, co mi przypominał złośliwy uśmiech pięknego prokuratora. Wielki Boże, ależ to on! Odjąć kudły i rogi, złagodzić rysy, zmienić kolor oczu z czarnego na jasnoniebieski!... Wypisz, wymaluj, prokurator! Patrzyłam ze zgrozą na przedstawiciela piekieł, a on kiwał się na krześle niesłuchanie zadowolony. - No co? - spytał. - Już się domyślasz?

- Czego ty chcesz ode mnie? Co ja ci złego zrobiłam?

- O to, to! Zapamiętaj sobie to pytanko, będziesz je zadawała nie raz, nie dwa, nie trzy... Zbuntowałam się nagle. - A guzik! To ci się tylko wydaje, nie ze mną te numery! Jeszcze zobaczymy, kto kogo przetrzymał - Głuptas! - chichotał diabeł. - Głuptas beznadziejnie! Chcesz pracować, co? Chować dzieci, zarabiać pieniądze... Masz obowiązków do diabła i trochę! A on nic nie będzie miał, tylko zatruwać ci życie. - Ale po co, opamiętaj się! Po jaką cholere?!

- Trudno, moja droga, my od tego jesteśmy. Ludzkość składa się z mężczyzn i kobiet, on został wypuszczony specjalnie na kobiety. Gdybyś wiedziała, ile już załatwił, toby ci oko zbieleło. Już niejedna oddawała nam duszę, żeby tylko do niej wrócił... - Na mnie nie licz. Ja nie oddam. Ostatnia rzecz, jaka mi jeszcze została, to dusza, nie dostaniecie jej! - Nie oddasz nam, to oddasz jemu. Wy wszystkie, kretynki oddajecie im duszę - pochylił się ku mnie i patrzył roziskrzonymi złośliwą radością oczami. - Musisz mu oddać. Musi dostać duszę od ciebie, bo nie ma własnej! - Co?!...

-- - Wyraźnie ci chyba mówię? On nie ma duszy, dostanie ją od ciebie... - Nie dostanie! - wrzasnęłam z uporem.

- Powiem ci jeszcze coś - ciągnął dalej tajemniczo.

- W gruncie rzeczy mam dla ciebie sympatię, dam ci dobrą radę. Możesz mu oddać tylko połowę duszy, ale musisz w nim wzbudzić ludzkie cechy. Musisz go chociaż raz zdenerwować. - Jak to? - spytałam, zaskoczona. - Tylko tyle?

- To ci się wydaje mało? Spróbuj, przekonasz się. Od razu ci powiem, że uda ci się doprowadzić go do wściekłości, może cię nawet wtedy udusi?... Ale zdenerwować - wykluczone! Jeszcze się to nie zdarzyło.

- Co za brednie opowiadasz, nie ma na świecie człowieka, który nigdy w życiu nie był zdenerwowany.

- A kto ci powiedział, że on jest człowiekiem? On jest naszym przedstawicielem. Twoja dusza jest dla nas dużo warta, bo ty jesteś rzeczywiście unikat nie z tej ziemi. Masz takie głupie pomysły, jak nikt na świecie. Przy tobie on zostanie do końca życia, bo ciebie opłaca się maltretować... - Zgiń, przepadnij, przekłete widziadło! Paszoł won! Niech cię więcej na oczy nie widzę!!! - Dobrze, dobrze, nie będzie potrzeby.

Wciąż chichocząc jadownicę, wstał z krzesła i złożył mi wersalski ukłon. I tak, zgięty w ukłonie, robił się coraz bledszy i bledszy, aż znikł mi z oczu w ścianie za stołem Witolda... Następnego dnia dostałam od kapitana odpis swego zaginionego listu. Przeczytawszy go, pojęłam zadziwiające pytanie władz śledczych o naszego mister uniuersum, znajdowała się tam bowiem między innymi pełna rozgoryczenia uwaga: "A jeśli chcesz wiedzieć wszystko dokładnie, to spytaj o to tego, któremu przyznałyście pierwszą nagrodę na waszym czarującym konkursie piękności..."

Siedzieliśmy sobie na kawie we troje: Alicja, Marek i ja, przeprowadzając podsumowującą konferencję, Alicja była pełna jadowniczej satysfakcji. - A już się poważnie martwiłam - powiedziała, zapalając papierosa. - Nic na niego nie wskazywało. - Sytuacja pracowni była myląca - powiedział Marek w zamyśleniu. - Nikomu nie przyszło do głowy, że mógł popełnić to szaleństwo. Przecież było jasne, że straci pracownię. - Do końca miał nadzieję, że nie - odparłam. - Wykazywał dziwny optymizm, może oszukiwał sam siebie? A zresztą... Czym była dla niego strata pracowni w porównaniu ze stratą... czego? Właściwie wszystkiego. Marek kiwnął głową melancholijnie. - Gdyby to się rozeszło, byłby skończony. W gruncie rzeczy nic nie ryzykował. Wyobrażam sobie, jakim wstrząsem była dla niego wiadomość, że Tadeusz jest o wszystkim poinformowany, był pewien, że nikt o tym nie wie. - Jak on to załatwił? - zaciekała się Alicja. - Teraz już chyba możesz mówić? - To nieprzyjemna sprawa. Przekupił jednego z naszych kolegów... Wybacz, moja droga, że nie precyzuję... Nomina sunt odiosa, zgódźmy się z tym... Żeby nie robił perskiego konkursu, bał się konkurencji, zabrał od niego materiały w celu rzekomo uzyskania pewności... - Szkice - powiedziała w zamyśleniu. - Zabrał szkice, byłam tego świadkiem... Stał mi w oczach obraz, który uporczywie od siebie odsuwałam. Zobaczyłam zaśmiecone wnętrza pracowni, późno w noc, zarośniętego, wściekłego Janusza i Witka, wiszącego przy telefonie, z zaciętą twarzą toczącego rozmowę, która byłaby zupełnie niezrozumiała, gdyby nie to, że przypadkiem wiedziałam, kto jest po drugiej stronie drutu... Potem ich obu nad kupą rysunków, przywiezionych przez Witka o drugiej w nocy. Przypomniałam sobie przysięgi i zapewnienia, że autor się zgodził... Witkowi nawet do głowy nie przyszło, że mogę być zorientowana w temacie, nikomu to do głowy nie przyszło... Nigdy w życiu nie będę mogła się przyznać do ówczesnych kontaktów z człowiekiem, który później napisał do mnie ten list. To on właśnie był autorem owych zużytkowanych przez Witka szkiców. Wyjechał i nie zdążył mi o tym dokładnie opowiedzieć. Na rozprawie na szczęście nie list będzie świadkiem, tylko Marek, a władze śledcze były na tyle taktowne, że nie zdradziły tajemnicy, kto był adresatem listu. - A potem je zużytkował jako własne - kontynuował Marek z niesmakiem. - Weźcie pod uwagę, że dostał drugą nagrodę i do tej pory nie jest rozstrzygnięte, który projekt będzie realizowany, możliwe, że właśnie jego. - Ach, to dlatego mógł sobie pozwolić raczej na utratę pracowni niż opinii! Realizacja obiektu w Persji była dla niego warta dwudziestu nieboszczyków. - Oni go jednak chyba znacznie bardziej podejrzewali niż my - powiedziałam w zamyśleniu. - Mam wrażenie, że Jadwigę wsadzili bez przekonania. - Oni sobie nie zdawali sprawy, czym jest dla Witka stanowisko dyrektora przedsiębiorstwa - mruknęła Alicja. - A myśmy z kolei nie wiedzieli, że Tadeusz wiedział o konkursie. - Mówiąc między nami, obawiam się, że to ja się tu znacznie przyczyniłem - powiedział Marek z westchnieniem. - Od chwili kiedy wyznałem, że dużo mniejsze zdziwienie wzbudziłyby we mnie kierownik pracowni w charakterze ofiary, rzeczywiście zaczęli szukać jego wrogów. No i znaleźli. Okazało się, że wśród naszych przyjaciół było parę osób, które zauważyły głęboką awersję przekupionego autora tamtych szkiców do Witka, było też parę osób, które miały o naszym kierowniku nie najlepsze zdanie... Perski konkurs był tylko gwoździem do trumny. - Dlaczego nic nie mówiłeś? - spytała Alicja z niezadowolaniem. - Pozwoliłbyś im na skazanie Jadwigi? Marek przyjrzał się jej z wyraźną dezaprobatą.

- Nie miałem żadnego powodu mówić na ten temat, ponieważ byłem zdania, że to nie ma nic do rzeczy. O -tym, że Tadeusz go szantażował, dowiedziałem się od panów śledczych przedwczoraj wieczorem. - Słusznie, masz rację...

- Swoją drogą jestem dla niego pełen podziwu. To się nazywa człowiek, który umie dążyć do wytkniętego celu! Ja bym się na to nie zdobył... - Poza tym, sądząc z tego, co wiemy o Tadeuszu, morderstwo było właściwie czynem chwalebny - zauważyła Alicja - Mam obawy, czy go aby nie uniewinnią. - Wątpię - odparłam ponuro. - Popełnił za dużo błędów. Przechytrzył z tą chustką. - Chyba nie mógł przewidzieć, że akurat będziesz tego świadkiem? To była bardzo dobra myśl, gdyby nie to, Jadwiga wpadłaby znacznie bardziej. - Tak, ale w męskim by się nie zapchało...

- Kto ci to powiedział? W męskim zapycha się tak samo! Moim zdaniem, idiotyzmem było raczej nie wytrzeć klucza. Po cholereę on go w ogóle tam chował? - Przypuszczam, że obawiał się stracić jedyny klucz od tych drzwi. Nie wiedział, że drugi jest w wazonie. Wetknął go tam pewnie w pośpiechu przed rewizją osobistą na wszelki wypadek, a potem już nie mógł wyjąć. Codziennie do wieczora ktoś tam siedział, a potem zostawili na noc dyżurnego milicjanta w holu. A poza tym zabrali mu klucze od pracowni.

- A meble znał na pamięć, bo je sam projektował i pilnował wykonania - uzupełniła Alicja. - No i trzeba trafu, że jego błędy zaznaczyły się akurat w umysłach osób, którym nie sposób nie uwierzyć. Matylda zapamiętała, że przechodził koło niej dwa razy, tylko ona jest zdolna do czegoś podobnego, wicie, ja ją podejrzewam, że ma w mózgu fotokomórkę... A jego przybycie na rewizję osobistą zauważyli Andrzej i Zbyszek, najbardziej przytomni i najbardziej prawdomówni ze wszystkich... - Pewnie, gdyby to Włodek tak twierdził, to równie dobrze mogłoby się okazać, że Witek był pierwszy, a ostatni przyszedłeś ty i to na czworakach. - Dziurkacz zabrał ze stołu Jadwigi, przechodząc... Popatrzcie, pierwszy raz się wykryło, kto ostatni używał dziurkacza! - Ja bym tylko chciał wykryć jeszcze jedno - powiedział Marek w zamyśleniu. - Oni się dowiedzieli na skutek znalezienia czegoś przy Tadeuszu. Ale jakim sposobem dowiedział się o tej całej historii Tadeusz? Dużo bym dał za tę skromną informację... Pomyślałam sobie, że niezależnie od tego, ile by dał, mam nadzieję, że nigdy się o tym nie dowie. Prawdopodobnie w tego rodzaju nadziei nie byłam odosobniona, prawie każdy z personelu liczył na takt i dyskrecję władz śledczych na rozprawie. Traciliśmy pracownię, to było dostateczne nieszczęście. Jeszcze by tylko tego brakowało, żeby się rozeszły po świecie wszystkie wiadomości, które współpracownicy nieboszczyka tak starannie i z takim wysiłkiem ukrywali. - Szkoda pracowni - westchnęła Alicja, podnosząc się od stolika. - Dobrze się tam pracowało.

- I pomyśleć, że gdyby go udusił o ten głupi miesiąc później, to dałoby się ją uratować. Takie piękne zlecenia - dodałam z żalem.

- Trudno, moje drogie panie, fatum - powiedział Marek.- Dawno wam mówiłem, że nie ma sensu walczyć z przeznaczeniem.

## Epilog

- No wiesz! - powiedział Wiesio, który skończył pierwszy. Położyłam palec na ustach, wskazując mu resztę czytających i Wiesio zamilkł, kręcąc tylko głową. W baraku na stokach Cytadeli siedziały niedobitki dawnego zespołu, czytające maszynopis kryminalnej powieści, którą wreszcie udało mi się napisać, dzięki charakterowi nieboszczyka Tadeusza Stolarka i zdeterminowaniu Witka. Tu znajdowało się biuro, w którym znalazła przytułek część personelu, część przybyła w charakterze zaproszonych gości, kilku osób w ogóle brakowało. Dawna pracownia poszła w rozsypkę. Pieczołowicie wykańczane niegdyś pomieszczenia przeszły we władanie innego biura, meble rozwłóczono po całym mieście, a my wszyscy poprzynosiliśmy się służbowo i prywatnie do rozmaitych innych miejsc pracy. Witold, Wiesio, Janusz, Monika i Kacper pracowali na stokach Cytadeli. Stefan, Włodek, Andrzej i Zbyszek przeszli do innego biura, pokrewnego tamtemu. Marek, Kazio i Anka wyjechali za granicę, każde w inną stronę. Matylda poszła na emeryturę, a Olgierd kontrolował biuro, w którym ja sama pracowałam. Leszek robił olśniewającą karierę jako malarz, impresjonista. Ryszard, ciągle nie mogąc

jakoś zrealizować swojego wyjazdu, brał udział w imponujących konkursach, Alicja zdegradowana dyscypliną pracy, przerzuciła się na graficzne zlecenia, Danka siedziała w jakimś wojskowym biurze, Jadwiga leżała, w szpitalu, Stolarek na cmentarzu, a Witek siedział w mamrze. Od zbrodni minęło prawie pół roku i lada dzień oczekiwaliśmy wyników wniesionej przez Witka rewizji. Zebrałam możliwie dużą ilość byłych współpracowników i przyniosłam im maszynopis, traktujący o ich własnych poczynaniach, spodziewając się dużego zainteresowania. - Nie zawiodłam się, siedzieli i czytali, wydzierając sobie nawzajem poszczególne kartki. Po Wiesiu skończyła Alicja, po niej Monika, Włodek, I Stefan... Nic już nie zdołało ich powstrzymać od zgłoszenia krytycznych uwag. Na szczęście byli nieco oszołomieni i otumanieni tą intensywną lekturą i nie reagowali przesadnie żywiołowo.

- Słuchaj no - powiedziała Monika. - Jeżeli wydrukujesz to wszystko i nie umieścisz na początku oświadczenia, że to jest wysrane z palca, to oświadczam ci, że twoi spadkobiercy będą mogli napisać następną powieść. Ja cię zabiję osobiście.

- Ja to nic - oświadczył Stefan złowieszczo. - Ja jestem przyzwyczajony, ale moja żona to tu chyba wkroczy.

- Twoja żona?! - zawołała Alicja. - A Zbyszka?! A tego Kacpra.

- A Witek?!

- Witek siedzi!.. Prędko nie wyjdzie!

- Dożywocia nie dostał!

- Kiedy on tam wyjdzie...

- Zobaczycie, - Złożył apelację i jeszcze go uniewinnia!

- Głupiś! Jakim sposobem?!...

Zaczęli się wszyscy kłócić jak za dawnych, dobrych czasów, aż mi się przyjemnie na sercu zrobiło. Jako ostatni czytający został jeszcze Janusz, który przyszedł nieco później i teraz doganiał zespół.

- Bądź uprzejma uczynić tu jakieś sprostowanie - powiedział do mnie głęboko urażony Włodek. - Zrobiłaś ze mnie ostatniego idiotę!

- Szczerze mówiąc, nie potrzebowała robić! Nie zełgała tam ani słowa! - Zełgała! Manuela była rzeczywiście!...

- Mów to, mów, niech się twoja żona dowie!...

- Cicho!!! - wrzasnęłam. - Uczynię sprostowanie, jak mi pożyczysz półtora tysiąca złotych - powiedziałam złośliwie do Włodka. Spowodowałam tym dziki wybuch radości.

- Hej, słuchajcie, kto napisze powieść o zamordowaniu Joanny?!... Janusz skończył wreszcie czytać, podniósł głowę i otarł pot z czoła, patrząc na nas błędnym wzrokiem. Nasze krzyki poprzednio widocznie do niego nie docierały. - No, no - powiedział nieco wstrząśnięty. - Że cię Witek zadusi, jak wyjdzie, to pewne. Za nasze wszystkie żony i mężów też nie ręczę, ale to twoja sprawa. Ja bym na twoim miejscu miał jednak dobrego pietra!... - i po chwili dodał: - No dobrze, Tadeusz leży na poziomie wody zaskórnej, kwiatki na nim rosną, msza żałobna załatwiona, ale gdzie drugi wątek? - Jaki drugi wątek? - zaciekawiałam się. Wszyscy inni zamilkli i spojrzeli na Janusza z dużym zainteresowaniem. - No, tego diabła! Chciałem powiedzieć, prokuratora! Co z nim? Pół roku mija, coś się już chyba wyklarowało? Wątek diabła... Cóż, diabeł miał rację. Wszystko się zgadza. Dlaczego, swoją drogą, to piekło tak się na mnie uwzięło? Gdybym ciężko grzeszyła, skarałaby mnie Opatrzność, ale piekło? Czyżbym była aż tak świątobliwa?... Ocknęłam się z zamyślenia.

- Diabeł miał rację - powiedziałam niechętnie. - Wątek trwa, rozwija się i kwitnie. Wszystko dokładnie według jego przepowiedni. Mam nadzieję, że cholerne piekło będzie miało trochę miłosierdzia w sercu i nie doprowadzi mnie do Urzędu Stanu Cywilnego ze swoim przedstawicielem.

- Co ty powiesz? I rzeczywiście nie ma duszy?

- Duszy! - prychnęłam gniewnie. - Nic nie ma! Żadnych ludzkich cech! Nie ma duszy, serca, nerwów, sumienia, jest pod tym względem absolutnie doskonały! Wiedzieli, kogo wysłać!

- I trwa przy tobie?

- Nawet twierdzi, że mnie kocha. I tak, kochając, wykańcza. Ale zaparłam się; skoro piekło ze mną zaczęło, no -to dobrze. Wchodzę do rozgrywki. Pamiętajcie, co diabeł mówił?
- Że powinnaś go zdenerwować?...
- Właśnie! Niech pękne, ale doprowadzę do tego! Wygram walkę z piekłem albo mnie szlag trafi.
- Albo piekło szlag trafi - powiedział Wiesio z wyraźnym zachwytem.
- Mnie by się nie chciało - mruknęła Monika.
- Jak ją znam, to i piekło załatwi - oświadczył Janusz z przekonaniem. - Wszyscy diabli razem nie dadzą jej rady.

KONIEC